



WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC – 116 stron

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 13/266 26 MARCA–2 KWIETNIA 2018

CENA 6,90 zł (w tym 8% VAT)



LISICKI o manipulacjach
w sporze o MĘKĘ ZBAWICIELA

ŁYSIAK o AZEFIE – geniuszu
rosyjskiej prowokacji

Czy KACZYŃSKI nadal stawia
na Morawieckiego

CHODAKIEWICZ o lekcjach
ze sporu z Izraelem

Spowiedź kukizowca
Marka JAKUBIAKA

Co dziś robi WASZCZYKOWSKI

Przypadki KORWIN-MIKKEGO

Fałszywa hrabina z PRL

Śledztwo w sprawie proroka Izajasza

Oferta
dla domu

Wszędzie tam, gdzie potrzebujesz pomocy.

Jesteśmy przy Tobie.

Wybierz ofertę „Przyszłość bez awarii”
i korzystaj z pomocy fachowców!



Zapewniamy energię



JUŻ DZIŚ PODPISZ UMOWĘ

Zapraszamy do
Biur Obsługi Klienta PGE
422 222 222

serwis@gkpge.pl
ebok.gkpge.pl lub **zapewniamyenergie.pl**



W RZECZY SAMEJ



PAWEŁ LISICKI

PiS zdejmuje rękawiczki

Przypadkiem przeczytałem pewien wywiad w „Gazecie Wyborczej”. Jego tezy brzmiały na tyle osobliwie, że próbowałem zapytać kilku znajomych, co o nim sądzą. Niestety, wygląda na to, że faktycznie „GW” już nikt nie czyta. A szkoda. Bo są teksty, które po prostu powinny zostać dostrzeżone.

Do nich należy wywiad prof. Jacka Leociaka dla magazynu „Gazety Wyborczej”. Według niego w dzisiejszej Polsce panuje bardziej otwarty antysemityzm niż w Marcu 1968 r. „Teraz leje się z prawicowych mediów, internetu, nawet z mediów publicznych język knajacki, kastetowy, czarnosecinny”. Kto stoi za tym wybuchem nienawiści i języka pogromowego? Łatwo zgadnąć, że Prawo i Sprawiedliwość. Och, żal mi tych wszystkich polityków PiS – tak się biedacy starają, żeby ich bracia Żydzi pokochali, tak chcieliby dobrą wolę pokazać, a tu rezultaty słabe, oj słabutkie. „PiS jest [...] emanacją narodowo-katolickiej polskości i państwowości”. Więcej. Teraz ten PiS zdejmuje rękawiczki i sięga po kastet. „Przerażająca jest ta agresja i nienawiść płynące z mediów publicznych i prawicowych. I to w rocznicę Marca '68! Marzec był jeszcze w rękawiczkach, PiS zdjął rękawiczki”. Widząc zło tego świata, prof. Leociak, jako prawdziwy holokaustianista, musi złożyć odpowiednie antychrześcijańskie wyznanie wiary. „Korzenie

tkwią w niezmiennej od dwóch tysięcy lat kulturze chrześcijańskiej, zwłaszcza w jej wydaniu katolickim, czyli u nas narodowym, ksenofobicznym, antyjudajstycznym i antysemitycznym”.

Polski katolicyzm, zdaniem tego badacza działającego w Centrum Badań nad Zagładą, człowieka wyróżnionego w 2015 r. odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, to coś chorego i niebezpiecznego. Nie ma w nim miejsca dla ludzi dobrych i szlachetnych – ci zostają z Kościoła wypchnięci. Polska religijność to „Kościół ludu i zabobonu, ks. kardynała Wyszyńskiego”. A polski episkopat? Ulega nacjonalistom.

Leociak tnie równo z trawą. Wszędzie widzi paskudne nacjonalistyczne gęby. „Na Jasnej Górze święcone są sztandary faszystowskie. Jasna Góra stała się matecznikiem polskiego faszyzmu”. Brr. W tym pogańskim kulcie uczestniczy też kard. Stanisław Dziwisz. Rozdając relikwie Jana Pawła II, tworzy „katolicyzm czysto pogański”. Doprawdy, aż trudno uwierzyć w te wszystkie brednie i głupoty, które wylewają się z ust profesora. Kolejny kwiatek: „Dzisiejszy język polskiego Kościoła to agresja, inwektywa, kruczata przeciw cywilizacji śmierci. Nie jest to język Jana Pawła II”.

W tym teatrzyku nie może też zabraknąć innych potworów. Tak, zapewne czy-

telnicy z pewną niecierpliwością czekali, kiedy to wreszcie pojawi się demon zła i zepsucia. Oto i on: „Jarosław Kaczyński umiał po nią sięgnąć. Po retorykę epidemiologiczno-parazyto-sanitarną przeciw uchodźcom, czysto nazistowską retorykę stosowaną wobec Żydów. Uchodźcy – jak Żydzi odporni na tyfus, który przenoszą – sami są odporni na zarazki i choroby, ale nas zarażają. W tym sensie Kaczyński to uczeń propagandy nazistowskiej”.

Azaraz po uczniu nazistów, Kaczyńskim, idą pozostali. „Po 1989 roku ruch nazistowski w Polsce rozwijał się cały czas. Tutaj produkowano gadżety nazistowskie, koszulki, tutaj robili to niemieccy naziści. Hajlowano po klubach i zamkniętych koncertach. To było zasłonięte, lokalne, ale kiełkowało”. Polskich nazistów wspiera teraz władza. „Przyznano im świadectwo narodowe, patriotyzmu, poprzez marsze niepodległości. Władza ich broni i dowartościowuje”. Profesor widzi podobieństwo między PiS a NSDAP: „W ideologii nazistowskiej chodziło o »Bewegung«. Wszystko jest ruchem. Ruch jest podstawą politycznego nacjonalizmu PiS. PiS nigdzie nie dojdzie, on tylko musi iść”.

Chyba starczy tych cytatów. Jest ich dość, żeby pokazać, że nie chodzi o wyrwane z kontekstu zdanie, ale o formację umysłową. Tak, ci ludzie naprawdę istnieją i naprawdę kształtują opinie znaczącej części polskiej inteligencji. Nie siedzą w Twórkach, ale na uniwersytetach. Można się śmiać. Można płakać. Można się żyzymać, że instytucje, w których działają, utrzymuje polskie państwo. Wybór zostawiam państwu. ©

**NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY”
UKAŻE SIĘ WE WTÓREK
3 KWIETNIA 2018 R.**



WIELKANOC 2018

20 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

EWANGELISTA STAREGO TESTAMENTU

Dla chrześcijan nie ma chyba
ważniejszego proroka niż Izajasz

24 PAWEŁ LISICKI

ODRZUCONY PRZEZ SWÓJ LUD

KRAJ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI

PREMIER I PIS

Prezes murem za premierem

31 ROZMOWA Z MARKIEM JAKUBIAKIEM

POLITYCY NIE MAJĄ WYOBRAŹNI

34 MACIEJ PIECZYŃSKI

DYPLOMATA Z TEMPERAMENTEM

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

POWRÓT „KRULA”

40 ŁUKASZ ZBORALSKI

NADMIAR SZCZĘŚCIA?

KULTURA

42 ROZMOWA Z MICHAŁEM URBANIAKIEM

JA JESTEM MŁODY!

Prawdziwe granie to emocjonalny striptiz

46 PIOTR GOCIEK

NOWY FILM SPIELBERGA

48 SEBASTIAN REŃCA

PISARZ, KTÓRY NIE NUDZI

50 ANDRZEJ HORUBAŁA

ARS MORIENDI

58 IGOR KOŚCIELNIAK

PO ZWYCIĘSKIEJ BITWIE

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 MAREK JAN CHODAKIEWICZ

Z WASZYNGTONU

POLSKIE LEKCJE

Polska, Izrael, Żydzi. Co dalej?

64 ŁUKASZ WARZECHA

BOGACTWO, CZYLI ZŁO?

68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POLSKA RĘKA NA PUTINA

HISTORIA

72 WALDEMAR ŁYSIAK

GENIUSZ PROWOKACJI

O politycznej maestrii
prowokatorskiej

80 TOMASZ

LENCZEWSKI

KŁAMCZUCHA

DOSKONAŁA



ŚWIAT

84 PIOTR SEMKA

PROROKINI

Wściekła i dumna Oriana Fallaci

88 ROZMOWA Z CHEMIKIEM PRACUJĄCYM
NAD NOWICZOKIEM

POMOGŁEM STWORZYĆ POTWORA

90 OLIVIER BAULT

SŁABOŚĆ DO KOMUNISTÓW

EKONOMIA

92 ADAM ZUBEK

ZAPOMNIANA AUTOSTRADA

Złote wieki Wisły

98 JACEK PRZYBYLSKI

OD ELEKTROMOBILNOŚCI NIE MA JUŻ ODWROTU

100 JAN PIENIĄŻEK

DLACZEGO BANK CENTRALNY DBA O NISKĄ, ALE JEDNAK DODATNIA, INFLACJĘ?

O ZDROWIU

106 ROZMOWA Z PROF. ARTUREM MAMCARZEM

SERCE TRZEBA ROZPIESZCZAĆ

Jak zapobiec zawałowi

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (12), WARZECHA (13), GMYZ, GOCIEK (18), POSPIESZALSKI (56), ZALEWSKI, WOLSKI (70), ZYCHOWICZ, KOPER (83), KOWALCZUK (87), GABRYEL, RYBIŃSKI (95), KOMUDA (108), TYRMAND (112), KATARYNA (114), ŁYSIAK (115)



Bank Polski

PKO BANK POLSKI Z NAJLEPSZĄ BANKOWOŚCIĄ MOBILNĄ NA ŚWIECIE

Aplikacja mobilna PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z marca 2018 r. obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wielkanocne życzenia, które zaczynają spływać do naszej redakcji. A w naszej pocztce, mimo świątecznego czasu, żywoły polemiczne.

Nie-dzielną prawica

Co roku publicyści w okolicach różnych świąt obficie komentują zjawisko długiego weekendu: Polacy chcą być ze sobą, masowo biorą po 2–3 dni urlopu, by wydłużyć weekend, jeżdżą do rodziny, na majówki, grillują, a... PKB spada! Ojej! Nawet prawicowi publicyści teraz rozrywają szaty nad wolnymi niedzielami: że nie mogą robić zakupów (Wolski), a „specyficznej kultury niedzieli w hipermarkiecie” broni Ziemkiewicz. Jednak wcześniej jakoś tej kultury nie było. Lud polski mawiał: „Niedzielną pracą się w g... obraca”. Ta „kultura” została wytworzona. Polacy ciężko harują całymi dniami i zakupy zwalają się na niedzielę. Orzą, bo mają kredyty – pewnie te złodziejskie kredyty w niemieckich bankach... dużo się o tym pisze. Tymczasem ja już w jesieni życia usłyszałem od dorosłego dziecka: „Dzieciństwo? Was nigdy nie było, wiecznie w pracy”. No tak, kredyt. Tymczasem jednak tę pustą duszyczkę mojego dziecka zapisywali inni, nie

Czy ja bytam z pieskiem, czy bez pieska?



ja – i tutaj znowu prawicowi publicyści mają dużo do powiedzenia – o szambie lejącym się z Internetu, ogłupiającym wpływie reklamy itp. Jednak przecież najważniejsze są ZAKUPY, no to ważna jest reklama...

Po „500+” pojawią się dzieci, ale te dzieci potrzebują jeszcze „Niedzieli+”, tj. czasu i uwagi rodziców. Przynajmniej w jeden dzień odrób z nim zadanie,

naucz kopać piłkę, siąść do stołu. Więc skoro dla swojego dziecka godzisz się na przymus szkolny, przymus urlopowy (a PKB?!), to poświęć czas, zajmij się nim w niedzielę, co? Zawsze myślałem, że prawica to Bóg, rodzina, ojczyzna, a tu nie – najważniejsze są ZAKUPY... Strat w duszy narodu prawicowi publicyści nie widzą. Taka „prawica”.

Tadeusz Zając

Odczepcie się od rodziców i myśliwych!

Zadziwiające, z jaką zajądłością p. Warzecha broni prawa myśliwych w Polsce do bestialstwa, jakim jest zabijanie zwierząt „dla sportu” („Do Rzeczy” 11/2018).



Pielegnowanie „tradycji”? Istnieje przecież wiele innych „tradycji”, które godzi się podtrzymywać (idąc za tokiem myślenia p. Warzechy) – kanibalizm, palenie czarownic i czarnych kotów na stosie, palenie wdów po śmierci męża itp., itd.

A jeśli chodzi o udział dzieci w zabijaniu zwierząt w lesie (co to ma wspólnego z wychowaniem?), to jak najbardziej! Dlaczego nie wcisnąć sztucera do ręki także i małolatowi, niech sobie dziecina też trochę pozabija. [...]

Jednak oskarżać Jarosława Kaczyńskiego o lewactwo, bo sprzeciwia się mordowaniu zwierząt?

Z poważaniem
Adam Bergler

Sprostowanie

W 1997 r. firma Autostrada Wielkopolska dostała trzy koncesje na budowę autostrady A2, które nie uprawniały do czerpania z niej zysków przez 40 lat.

Bogusław Liberadzki



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubala, Piotr Zychowicz**
Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i korespondenci:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewska, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmieł, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torzański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzynski, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmieł** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedziółko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotorecenzja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **BridgeMan Art Library/PhotoPower**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmgp.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż):

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmgp.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 28829

Nakład 96 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż

cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi

odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za

zgoda wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych

na www.dorzeczy.pl/regulamin/





Wybieraj czyste ciepło

Walka ze smogiem to priorytet dla Polski i kolejnych pokoleń Polaków. Dlatego Fortum od wielu lat prowadzi działania zmierzające do redukcji zanieczyszczenia powietrza. Jednym z najskuteczniejszych sposobów ograniczenia emisji szkodliwych gazów jest sieć ciepłownicza, którą konsekwentnie rozwijamy. Oferujemy również prąd i gaz w atrakcyjnych cenach, co sprawia, że wiele gospodarstw domowych nie jest już skazanych na przestarzałe, zatruwające powietrze piece. Dzięki tym staraniom sprawiamy, że powietrze nad Polską jest czystsze. Przyłącz się do zmiany! Dla nas i naszych dzieci.

www.fortum.pl

Join the
change

 **fortum**


PIOTR SEMKA
NA PIERWSZY OGIEŃ

Kościół nie jest **partią**

W niedzielę 18 marca feministki zorganizowały demonstracje pod siedzibami kilkunastu katolickich kurii biskupich w całej Polsce. Oficjalnym powodem demonstracji był apel biskupów, aby Sejm rozpatrzył obywatelski projekt „Zatrzymaj aborcję”. Transparenty feministek głosiły: „Mordercy kobiet”, „Biskupi, faszyści, policja – jedna krwawa koalicja”, „Macica to nie kaplica”, „Chcemy zdrowia, nie zdrowasiek”.

Masówki pod kuriami z zachwytem przywitał Wojciech Maziarski z „Gazety Wyborczej”, który swojemu felietonowi nadał tytuł: „Kościół jak zwykła partia”. Maziarski pisał: „Organizatorzy i uczestnicy naciśków księży na państwo w sprawie zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej uznali, że królestwo biskupów jest jak najbardziej z tego świata, więc można wobec niego stosować normalne narzędzia polityczne”. Maziarski podkreśla, że w jego opinii sprawiła to „symbioza Kościoła ze światem polityki”. Podobny ton przyjął inny publicysta „GW” – Jacek Żakowski. „Episkopat nie jest jednak bezsilnym niemową. Tylko przejściowo głos mu odebrało na

poprzednie dwa lata, kiedy przez parlament pełzła ponura zmiana. Wtedy Kościół »nie mógł mieszać się do polityki«, teraz może”.

Spróbujmy ten agresywny i pełen pogardy język przyłożyć do realiów. Po pierwsze, Kościół od tego jest, by oceniać pod względem moralnym działania publiczne i apelować do polityków, gdy ci decydują o ustawach mających wpływ na ochronę świętości życia. Nie przekreśla to rozdziału Kościoła od państwa. Uznawanie apelu za nacisk to manipulacja. Jeśliby pójść tym tokiem myślenia, to aktywiści KOD demonstrujący pod Sejmem, by posłowie odrzucili ustawy o reformie sądownictwa, także dopuszczali się niedopuszczalnego nacisku.

Po drugie, związki wyznaniowe traktowano dotąd inaczej niż partie z racji szacunku dla tak wrażliwej sfery, jaką jest religijność obywateli. Używanie wobec Kościoła języka i sposobu demonstracji typowego dla sporów partyjnych musi budzić protesty. Tak samo by było, gdyby narodowcy piketowali siedziby NGO-sów albo grup feministycznych. Krzyczano by wówczas o niedopuszczalnym zastraszaniu organizacji pozarządowych.

Po trzecie, Kościoły to nie partie. W przypadku wsparcia dla projektu „Zatrzymaj aborcję” wypowiadają się w kwestii szacunku dla ludzkiego życia. Jeśli biskupi unikali wcześniej wypowiedzania się w sprawie konfliktów na linii PO – PiS, to właśnie dlatego, że nie chcieli być postrzegani jako strona sporu w polityce. Kwestia ochrony życia to co innego. Do tego zobowiązuje Kościół jego doktryna teologiczna.

I ostatnia refleksja. Przy okazji protestów feministek – pod warszawską kurią dał się poznać Studencki Komitet Antyfaszystowski. Ta nowa organizacja lansuje demagogiczny i wyzywający język politycznej agitacji. W środę 20 marca około stu „antyfaszystów” przeszło spod Uniwersytetu Warszawskiego pod pałac biskupów przy ul. Miodowej. Skandowano: „Hej, klecho, wychodź po dobroci” i wywijano transparentem: „Zrozum, biskupie, mamy cię w dupie”. Wejście do pałacu blokowali siedzący demonstranci. Parokrotnie wdawali się w utarczki z policją. To nowy stopień agresji. Kомуś po lewej stronie marzy się nowy maj 1968 r. ©

PATRIOTY **BLIŻEJ POLSKI**

Po trwających od października negocjacjach w piątek Ministerstwo Obrony Narodowej z przedstawicielami firm Raytheon Company i Lockheed Martin Global Inc. podpisał umowy offsetowe związane z zakupem zestawów przeciwlotniczych i przeciwrakietowych średniego zasięgu. Ich łączna wartość wynosi niemal 950 mln zł. To ostatni krok przed zawarciem umowy na dostawę wyrzutni Patriot. Według nieoficjalnych informacji uzyskanych przez „Do Rzeczy” ma ona zostać podpisana jeszcze w tym tygodniu. (jap) ©


FOT. BARTOŚ KRUPA/EAST NEWS



TWOJE DZIECKO MOŻE BYĆ NARAŻONE NA CHOROBY POWODOWANE PRZEZ PNEUMOKOKI¹

INFEKcje POWODOWANE PRZEZ BAKTERIE
ZWANE *STREPTOCOCCUS PNEUMONIAE* MOGĄ
PROWADZIĆ DO:



ZAPALENIA OPON MÓZGOWO-RDZENIOWYCH



POSOCZNICY (SEPSY)



ZAPALENIA PŁUC



ZAPALENIA UCHA ŚRODKOWEGO

Choroby te mogą powodować poważne komplikacje
i problemy zdrowotne, ale można im zapobiegać¹.

W POLSCE DZIECI URODZONE PO 31 GRUDNIA 2016 R. PODLEGAJĄ
OBOWIĄZKOWYM - BEZPŁATNYM SZCZEPIENIOM PRZECIW
INWAZYJNYM ZAKAŻENIOM *STREPTOCOCCUS PNEUMONIAE*
W RAMACH PROGRAMU SZCZEPIEŃ OCHRONNYCH²⁻⁴



POROZMAWIAJ Z LEKARZEM O TYM, JAK MOŻESZ CHRONIĆ SVOJE DZIECKO

Referencje:

1. Centers for Disease Control and Prevention. *Pneumococcal Disease*, <https://www.cdc.gov/pneumococcal/about/index.html> (dostęp z dn. 26.07.2017).
2. Rozporządzenie Ministra Zdrowia z dn. 3.11.2016r. zmieniające rozporządzenie w sprawie obowiązkowych szczepień ochronnych, <http://www.dziennikustaw.gov.pl/du/2016/1815/1> (dostęp z dn. 26.07.2017).
3. Program Szczepień Ochronnych na rok 2017. Komunikat Głównego Inspektora Sanitarnego z dn. 4.01.2017r., https://gis.gov.pl/images/ep/so/pso_2017_-_nowelizacja.pdf (dostęp z dn. 26.07.2017).
4. Art. 17 ust. 11 ustawy z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi (Dz. U. z 2016 r. poz. 1866, 2003 i 2173).

Treści zamieszczone w materiale mają charakter wyłącznie informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma porady medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji z lekarzem, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02 - 222 Warszawa, tel. (22) 492 13 01, fax (22) 492 13 09, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu <http://www.urpl.gov.pl> lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy.

GSK Commercial Sp. z o. o. ul. Rzymowskiego 53, 02 - 697 Warszawa, tel. (22) 576 90 00, fax: (22) 576 90 01, <http://www.pl.gsk.com>.

PL/SYN/0038/17 Data przygotowania materiału: sierpień 2017

PiS zmieni reformę sądów

Politycy PiS zapowiedzieli, że znolizują Ustawy o ustroju sądów powszechnych i Ustawę o Sądzie Najwyższym.

W ubiegłym tygodniu w Sejmie poseł PiS Marek Ast tłumaczył, że zmieni się m.in. sposób odwoływania prezesów i wiceprezesów sądów. Dziś minister sprawiedliwości może ich odwoływać sam. Po zmianach będzie musiał taką decyzję konsultować.

– Będziemy wprowadzali dwustopniowy tryb konsultacyjny z udziałem kolegów sądów oraz Krajowej Rady Sądownictwa – powiedział Ast. – Czyli bez opinii tych organów minister sprawiedli-

wości nie będzie mógł podjąć decyzji o odwołaniu prezesa lub wiceprezesa sądu.

Z kolei decyzję dotyczącą przechodzenia w stan spoczynku sędziów sądów powszechnych podejmował będzie nie minister sprawiedliwości, ale prezydent.

W Sądach Najwyższych kobiety nie będą już musiały przechodzić w stan spoczynku w wieku 60. lat. Limit wieku zostanie zrównany i dla obu płci wynosić będzie 65 lat – kobiety sędziowie będą jednak miały możliwość przejścia w stan spoczynku pięć lat wcześniej.

To najistotniejszy ze spornych punktów – jeden



FOT. LUKASZ KOBUS/FORUM

z najbardziej krytykowanych przez Komisję Europejską, która uznawała ustalenie różnego wieku przechodzenia w stan spoczynku za dyskryminację ze względu na płeć.

20 marca minął trzymiesięczny okres, który KE dała Polsce na wprowadzenie zmian. – Zależało mi, żeby najważniejsze elementy reformy sądownictwa zostały nienaruszone, a jednocześnie,

żeby druga strona mogła powiedzieć: O, z Polską można się dogadać – tłumaczył premier Mateusz Morawiecki, który w ubiegłym tygodniu spotkał się z przewodniczącym Komisji Europejskiej. Ujawnił, że Jean-Claude Juncker pozytywnie odebrał informację o planach nowelizacji ustaw sądowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Łukasz Zboralski

FRANCUSKI KOGUCIK NA RÓŻNIE

Zatrzymanie Nicolasa Sarkozy'ego i oskarżenie go o nielegalne finansowanie kampanii pieniędzmi otrzymanymi od Muammara Kaddafiego definitywnie kończą jego życie polityczne.

Polityczną bombę pod Sarkozy'ym już w 2012 r. odpalił portal śledczy Mediapart.fr, według którego kampanię Sarkozy'ego z 2007 r. miał finansować libijski dyktator – przekazując na ten cel do 50 mln euro. Nie dość, że pieniądze przekazane potajemnie z zagranicy to złamanie dwóch paragrafów, to jeszcze sama kwota ponaddwukrotnie przekracza francuski limit wydatków na kampanię prezydencką. Od czasu tamtej publikacji francuskie media podawały w tym kontekście przeróżne liczby, wszystkie niższe niż 50 mln euro, ale sedno sprawy pozostaje to samo: Sarkozy miał finansować

kampanię dzięki brudnym libijskim pieniądзом. Od 2013 r. we Francji trwa w tej sprawie śledztwo.

Zatrzymany w ubiegłym tygodniu Nicolas Sarkozy po wielogodzinnym przesłuchaniu przez francuski odpowiednik CBA następnego dnia usłyszał zarzuty. Został zwolniony z aresztu, ale przebywał pod nadzorem sądowym. Grozi mu do 10 lat więzienia i 150 tys. euro grzywny.

– W historii Francji żaden prezydent nigdy nie był w tak trudnej sytuacji prawnej. Pokazuje to, że żyjemy dziś w czasach, gdy obywatele domagają się od polityków prawdziwej odpowiedzialności za swoje czyny – mówi „Do Rzeczy” dr Célia Belin, francuska politolog z Brookings Institution. – Tymczasem libijska afra pokazuje stare sposoby finansowania partii, niezdrowe relacje z dyktatorami i generalnie unaocznia nam metody



FOT. NIEL DICKINSON/POLARIS/FAST NEWS

stosowane przez polityczną starą gwardię. To wszystko sprawiło, że w 2017 r. wyborcy zaprotestowali w czasie wyborów.

Za kluczową uznawana jest w tej sprawie relacja libańsko-francuskiego handlarza bronią Ziada Takieddinego, który twierdzi, że w latach 2006 i 2007 przewiózł z Libii do Francji 5 mln euro, a następnie przekazał je bliskiemu współpracownikowi ówczesnego kandydata na

prezydenta Claude'owi Guéantowi (w latach 2011–2012 minister spraw wewnętrznych Francji). Zarzut nielegalnego finansowania przez Libię kampanii prezydenckiej Sarkozy'ego potwierdzają też byli najwyżsi funkcjonariusze reżimu Kaddafiego. Jak donosi „Le Monde”, Baszir Saleh, który w czasach reżimu Kaddafiego odpowiadał za publiczną kasę, potwierdził, że dyktator finansował kampanię „Sarko”.

Sarkozy od lat informacjom w tej sprawie zaprzecza. Twierdzi, że to zemsta ze strony byłych funkcjonariuszy reżimu Kaddafiego za interwencję przeciw dyktatorowi, w której w 2011 r. Francja wzięła udział. Ale oficjalne relacje Sarkozy'ego z Kaddafim nie zawsze były złe. Do dziś wypomina mu się przyjęcie z ogromną pompą dyktatora w Paryżu tuż po wygranych wyborach w 2007 r. © ©

Piotr Włoczyk

Brudna gra na Facebooku

Mark Zuckerberg został wezwany przez brytyjski parlament, a akcje Facebooka zaliczyły największe spadki od lat. To efekt skandalu z polityką i Facebookiem w tle i brytyjskim przedsiębiorstwem Cambridge Analytica (CA) w roli głównej.

Jeden z byłych kluczowych pracowników Cambridge Analytica – Christopher Wylie – ujawnił nieetyczne praktyki przedsiębiorstwa. Na podstawie tego, co piszą, z kim się przyjaźnią, co lajkują, w co klikają etc. użytkownicy Facebooka, firma mogła opracować takie formy przekazu (w tym fake newsy), by trafić do emocji każdej z milionów osób. Wpłynąć na ich preferencje polityczne, zmobilizować do oddania głosu na konkretną osobę/sprawę lub do pozostania w dniu wyborów w domu. – Mając konkretne informacje na ich temat i znając ich wewnętrzne demony, mogliśmy tworzyć skuteczne przekazy polityczne. To był fundament tej firmy – powiedział brytyjskiemu tygodnikowi „Observer” Christopher Wylie.

Wszystko zaczęło się od aplikacji thisisyourdigitallife, którą stworzył Aleksandr Kogan, naukowiec z Cambridge. Program miał służyć do badań psychologicznych. Około 270 tys. osób zalogowało się do niej, używając do tego swojego facebookowego konta, zaakceptowało regulamin, zgadzając się na udostępnianie informacji o swoich profilach. Jednak aplikacja

zbierała informacje także o znajomych, którzy już żadnej zgody na to nie wyrażali. W ten sposób okradziono z prywatności ok. 50 mln osób! Kogan w 2015 r. sprzedał bazę danych Cambridge Analytica. Co można było ustalić na podstawie danych z FB? Między innymi preferencje polityczne, orientację seksualną, satysfakcję z życia, a nawet to, czy ludzie łatwo zmieniają przekonania w zależności od otoczenia. Facebook już w 2015 r. wiedział o zgromadzeniu tych informacji i ich odprzedaży. Jak zareagował? Poprosił firmę o usunięcie danych. Dopiero kilka dni po wybuchu afery głos w sprawie zabrał szef Facebooka Mark Zuckerberg. Wziął na siebie odpowiedzialność za to, co się dzieje na jego platformie, i zapowiedział, że dołoży starań, by takie sytuacje się nie powtarzały. Wyjaśnień domagają się już m.in. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, Cambridge Analytica miała być bowiem zaangażowana w kampanię Donalda Trumpa, a wcześniej w referendum dotyczące brexitu.

Niektóre polskie media próbowały połączyć aferę z kampanią prezydencką Andrzeja Dudy. Próba znalezienia polskiego wątku ma bardzo mizerne podstawy. Wzięła się bowiem z tego, że na stronach brytyjskiego dziennika „Guardian” pojawiło się stwierdzenie, iż działalność na Facebooku była nieodzowna w zwycięstwie Andrzeja Dudy. „Język i twierdzenia są bardzo podobne do tych używanych przez

podmioty takie jak Cambridge Analytica” – dodają dziennikarze „Guardiana”. Na polski ślad miała wskazywać również rozmowa zarejestrowana ukrytą kamerą dziennikarza Channel 4 News (podającego się za bogatego człowieka zainteresowanego wpływami na wyniki wyborów na Sri Lance) z przedstawicielami Cambridge Analytica, m.in. jej prezesem Alexandrem Nixem. Jeden z rozmówców chwali się „udanym eksperymentem w jednym ze wschodnioeuropejskich krajów”. Czy może chodzić o Polskę? Już w ubiegłym roku „Guardian” pisał o działaniach CA m.in. w Rosji, na Ukrainie czy Litwie.

W nagranej przez dziennikarzy rozmowie Alexander Nix przyznaje, że manipulacje polityczne jego firmy nie ograniczają się jedynie do Internetu. Mówi m.in. o używaniu fałszywych tożsamości, składaniu ofert korupcyjnych i tworzeniu kompromitujących materiałów z udziałem podstawionych prostytutek. Mark Turnbull, dyrektor zależnej od CA spółki Political Global, na tym samym spotkaniu stwierdził: „Nic dobrego nie wynika z prowadzenia kampanii opartej na faktach, bo w tym wszystkim chodzi o emocje”. I dodawał, że na świecie jest wiele organizacji zbierających w podobny sposób materiały wykorzystywane w politycznej walce. ©

Radosław Wojtas

REKLAMA



MECENAT KONCERTU



WSPÓŁORGANIZATOR

Wrocław the meeting place

PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Odpędzani

Podziwiam naukowca niezbyt lotnej myśli, który jednym numerem od lat wielu jedzie: wszyscy wiedzą, że facet prochu nie wymyśli – ale że w razie czego również nie zawiedzie” – pisał przed laty śp. Andrzej Waligórski. I od jego czasów w kwestii „la dolce vita”, które może sobie zapewnić „naukowiec niezbyt lotnej myśli”, zmieniło się tylko jedno. Kiedyś swymi „badaniami” dowodził taki wyższości socjalizmu nad kapitalizmem i demaskował zakusy kapitalistycznych imperialistów. Dzisiaj te same apanaże, tytuły, granty i katedry najskuteczniej zapewnia „naukowe” dowodzenie niższości i zacofania „polskiego ciemnogrodu” oraz tropienie antysemityzmu.

Jednego z takich właśnie profesorów (mówiąc ściślej – doktora habilitowanego) Michała

Bilewicza, który w ramach marcowej kampanii muzeum POLIN wygłosił wiele uciesznych bredni o „polskim antysemityzmie”, wyszydziłem ostatnio w swoim felietonie na Interii. Wyszzydziłem, bo szyderstwo jest jedyną bronią bezsilnych – a my jesteśmy wobec niego bezsilni. Facet z profesorskim tytułem wymyśla – wzorem chruszczowskiej „schizofrenii bezobjawowej” – „antysemityzm wtórny”, czyli „naukowo” uzasadnia, że antysemitą jest także ten, kto nie głosi wrogości do Żydów (czyli „wypiera się” jej) i czasem nawet nie zdaje sobie z niej sprawy, ale np. czci Armię Krajową. A co najgorsze, dobra zmiana daje mu na te badania z naszych kieszeni dwie bańki, tytułem okupu, żeby i jej nie nazwał antysemitami (a i tak nazywa).

Moje kpiny okazały się jednak mieć swoją wagę, bo pobudzi-

ły do natychmiastowej reakcji dwóch kolegów – profesorów odkrywców „antysemityzmu wtórnego” – którzy na łamach „Wyborczej” natychmiast uznali je za – jakżeby inaczej! – antysemityzm. Kolega Bilewicz krytyce bowiem nie podlega, bo to się panom Dolińskiemu i Łukaszewskiemu kojarzy z Marcem 1968 r. i wypędzeniem Leszka Kołakowskiego. Nie wiem, czemu tak skromnie. Za te pieniądze kwestionowanie zasadności utrzymywania z podatków tego rodzaju „badań” mogłoby się im skojarzyć z nocą kryształową i Auschwitz. Co się szczypią?

Zapewniam: nie marzy mi się wypędzanie kogokolwiek. Marzy mi się natomiast, owszem, odpędzenie. Odpędzanie od, mówiąc potocznie, budżetowego koryta, zapełnionego naszymi, podatników, pieniędzmi. ©©

WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Fachowcy od nienawiści

Prawicowi aktywiści mają zastanawiający dar wywoływania burzy wokół spraw, które nie są tego warte. Ot, oburzyli się, że do organizowanej przez lewackie środowiska w muzeum POLIN dyskusji o antysemityzmie i nienawiści zaproszono z tychże właśnie, jedynie bliskich „GW”, środowisk. Że niby pluralizmu nie było.

I o co ten gwałt, ja się pytam? Dyskutowali przeciw reprezentanci lewicowej ideologii i środowisk, które mówią nienawiści mają wpisane w kod genetyczno-kulturowy. Weźmy np. antysemityzm. „Zasługi” lewicy na tym polu robią

wrażenie. Rabunkowe mordy komunistów z GL na Żydach, zbrodnie bandy „Grzegorza” Korczyńskiego – później szefa Zarządu II Sztapu Generalnego WP, wyczyny Moczara, wreszcie Marzec ’68 z niechlubną rolą, jaką odegrał Wojciech Jaruzelski, dziś ulubieniec tych, którzy to „oodpieprzyć się od generała” wołają.

Mowa nienawiści? Lewica w awangardzie. Kampania przeciw studentom w ’56, ’70, ’76, studentom i robotnikom w ’81, w międzyczasie przeciw katolickim księżom. Wreszcie po przełomie w ’89 kampania wykluczeń, której głównym celem

uderzenia stali się Jan Olszewski i zwolennicy lustracji, prawica narodowa, o. Rydzyk i słuchacze toruńskiego radia, pisarze Herbert i Rymkiewicz, prezydent Kaczyński... Co na tle takich osiągnięć lewicy mogliby wnieść do dyskusji pravicowcy poza przypomnieniem, że to właśnie oni przez ostatnie 27 lat byli ofiarami nienawiści, zamknięci w getcie dla „oszołomów”, w którym rolę kluczników pełnili środowiska Michnika, Sierakowskiego?

Szkoda łez, trzeba się cieszyć, że od kilku lat lewicowe kampanie nienawiści zaczęły przynosić efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Napęd czy rozpęd?

Z okazji 100 dni rządu Morawieckiego przypomniałem sobie raport otwarcia PiS. Idę o zakład, że część z państwa już nie pamięta, co to było, więc przypomnę: w lutym 2016 r. poszczególni ministrowie ówczesnego rządu Beaty Szydło wychodzili na sejmową trybunę, żeby raportować, w jak strasliwym stanie Platforma Obywatelska i PSL zostawiły państwo. Panowało powszechne przekonanie, że za ujawnianymi rewelacjami pójdą prokuratorskie postępowania, a z czasem procesy. Wspominano przy tym m.in. o zakupie pendolin,

nięcia się wzmaga. Rząd Morawieckiego miał być nowym otwarciem, a wygląda, jakby zabuksował i ugrzązł już na wstępie. Ogromne zasoby dyplomatyczne musiały zostać zaangażowane w odkręcanie awantury związanej z ustawą o IPN, a nie zanoszą się, żeby miał to być jej koniec.

Procedura artykułu 7 wciąż nad Polską wisi, a że Komisja Europejska nie doczekała się żadnego ustępstwa, które mogłaby uznać za pretekst do jej zakończenia, czeka nas kolejne starcie dyplomatyczne. Za chwilę obywatele dostaną w prezencie dodatkowe 10 gr podatku od benzyny na litrze paliwa, część posłów PiS forsuje zakaz hodowli zwierząt futerkowych, podczas gdy w tym samym czasie środowiska konserwatywne dostają cios w postaci odłożenia ad Kalendas Graecas obywatelskiego projektu delegalizującego aborcję eugeniczną. Emocje publiczności skupił na moment zakaz niedzielnego handlu, czyli – znów – regulacja o negatywnym charakterze, a nie żadne konkretne osiągnięcie.

Wizjonerskie plany milionów samochodów elektrycznych do 2025 r. (elektromobilność tylko do 2020 r. ma kosztować ok. 19 mld zł!) czy Centralnego Portu Komunikacyjnego coraz bardziej wyglądają na czystą megalomanię. Zgubił się gdzieś kierunek, zaczęło się łatanie dziur. Statek wciąż płynie szybciej od innych, ale na ile to kwestia sprawnego napędu, a na ile już tylko rozpędu? ©©

Rząd Morawieckiego miał być nowym otwarciem, a wygląda, jakby zabuksował i ugrzązł już na wstępie

autostradach, poczynaniach w spółkach Skarbu Państwa. I co? I nic. O raporcie otwarcia wszyscy zapomnieli, prokuratura nie zabrała się do nikogo, kto się w nim pojawił.

Czemu to przypominam? Bo było to jedno z wówczas najbardziej spektakularnych przedsięwzięć PiS – podliczamy, rozliczamy, oskarżamy – z którego nic nie wyszło. A przecież nie chodziło o stworzenie czegoś. Jedynie o zbadanie, czy rządy poprzedników opierały się na przekrętach. Mimo to sprawa ugrzązła.

To było ponad dwa lata temu. Dzisiaj poczucie grzęź-



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Tweetup na ratunek

Jak Twitter długi i szeroki, lotem błyskawicy przeszła zapowiedź medialnego kontrataku Mateusza Morawieckiego. Po tygodniach w defensywie nadeszła pora na użycie broni ostatecznej – Tweetupu. A po ludzku? Zaproszenia kilkudziesięciu dziennikarzy z kilkunastogodzinnym wyprzedzeniem na dwugodzinne spotkanie w KPRM. „Strasznie zabawna ta ekscytacja jakimś títapem. Nie bardzo wiem, jaka jest różnica między títapem a ochłapem” – odparł rozczarowany Tomasz Lis, który najwidoczniej zaproszenia nie dostał.

„Drogie dzieci, wiem, że trudno dziś uwie-
rzyć, iż przed laty pan Tomasz był poważnym dziennikarzem” – skomentował Marcin Kędryna. Gdybym miał obstawiać, przemawiała przez niego czysta złośliwość, bo ludzie z Kancelarii Prezydenta też obeszlą się smakiem. A całkiem dobry bufet był.

Do grona wylewaczy smutków możemy również dopisać Katarzynę. „50 tys. followersów, a na tweetupa nie zaprosili. Smutek” – napisała.

„Nie ma czego żałować” – pospieszył z pocieszeniem Łukasz Warzecha, który na spotkaniu w KPRM był, ale ironicznie. Ubolewać według redakcyjnego kolegi mógł tylko ten, kto „w realu” chciał poznać nowy nabytek TVP Info od mediów społecznościowych, czyli „Radosława”.

Dodatkową atrakcją miał być natomiast „redaktor Karnowski w lansadach”. Dla tych, którzy nie znają owego wyszukanego zwrotu, spieszę z definicją słownikową – „z przesadną uprzejmością, z dozą uniżoności”.

Z rzeczy naprawdę ważnych: przez Polskę i nasze ulubione medium kolejny raz przetacza się debata (histeria?) na temat zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej. I choć „Gazeta Wyborcza” nieraz potrafiła tak odwrócić kota ogonem, że zakręciło mu się w głowie, tym razem przeszła samą siebie.

„Zaprotestujmy przeciw barbarzyństwu!

My, kobiety »Gazety Wyborczej«, różnimy się poglądami na aborcję, ale wszystkie w piątek zaprotestujemy przeciw prawnemu zmuszaniu nas do rodzenia ciężko chorych dzieci” – to jeden tweet, a po nim kilka godzin później drugi. „Dziś pierwszy dzień wiosny, ale także Światowy Dzień Zespołu Downa. Wspierajmy się!” Aha. ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI

Kochani, przed nami kolejne Spring Holidays, za nami prawie już Wielki Post, jakby się nie obrócić, jesteście zewsząd atakowani przez wszechobecny katolaliban i podkarpacie, które za cichym przyzwoleniem partii rządzącej dyktują nam, jak należy żyć. Iż faszycja społeczeństwa tego kraju, postanowiliśmy odwiedzić bohaterów naszego springholidejowego reportażu sprzed roku, izby sprawdzić, czy nie wyemigrowali, a jeśli nie, to czy nadal dają radę tu, w tym kraju, wytrzymać.

MARYNA, CZYLI JAK SIĘ WYRWAĆ Z KUCHNI

Z Maryną umawiamy się w centrum handlowym. Z powodu nadchodzących Spring Holidays wszędzie wiszą świąteczne dekoracje przedstawiające kurczęta, jajeczka i osobojazdki. Niby świecko, ale nie do końca. W Krakowie, żeby dotrzeć do jakiegokolwiek galerii handlowej, trzeba minąć przynajmniej pięć kościołów, w tym jedną bazylikę. Przynajmniej w trzech z nich trwają rekołeksje wielkopostne, a w jednym agresywny wikary zagania przechodzących młodych ludzi do spowiedzi. Z tego powodu na zakupy udaje się dotrzeć jedynie najprzebieglejszym.

Marynie się to udaje. Przybiega na miejsce spotkania, niosąc ze sobą kilkanaście toreb i reklamówek z zakupami. – To przez te niedziele bez handlu – wyjaśnia. – Kompletnie zdezorganizowały mi one życie. Przez to czasem wpadam w panikę i nie mogę spać.

Przynajmniej w życiu zawodowym Maryna odnosi sukcesy. – Dostałam awans z junior assistant graphic designera na senior assistant graphic designera. Moja

kariera w korporacji nabiera rozpędu, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, iż to wszystko jest wbrew sytuacji kobiet w tym kraju. Przez ostatni rok nie zmieniło się nic na lepsze, a nawet zmieniło się na gorsze, iż brak zmian na lepsze jest tak naprawdę wielką zmianą na gorsze. Pytamy Marynę, co jako waginoosobę szczególnie ją oburza w trakcie Spring Holidays. – Chyba ta atmosfera przygotowań, w której wszyscy oczekują ode mnie, iż będę siedziała w kuchni, drapała kroszonki czy co tam się kroszonkom robi, ewentualnie sprzątała i nakrywała do stołu. Nie zgadzam się z taką rolą. A już zupełnie milczeniem pominię fakt, iż gdybym chciała oderwać się od rodzinnych spotkań i kupić pigułkę „dzień po”, to pewnie apteki i tak będą zamknięte. To drastycznie ogranicza moją seksualność i prawo do wyboru. Jedyny wybór, jaki ma postępową, normalną waginoosoba w czasie tych holidays, to wybór między mazurkiem a sernikiem.

ALEX, CZYLI KONFLIKT Z TRADYCJĄ

Jeszcze na inny problem zwraca uwagę Alex, wcześniej znany jako Olek, pochodzący spod Limanowej student prestiżowego humanistycznego kierunku. Nie chce zdradzać jego nazwy, aby osoby płodzące z rodzinnej wsi nie wykleły go i nie wykluczyły z testamentu.

– Dla mnie jako dla osoby, która jest gender fluid, niedopuszczalne jest sformułowanie „baba wielkanocna”. Jako zadeklarowany feministą stanowczo sprzeciwiam się owemu określeniu, iż ma ono charakter definitywnie zaściankowy i sięga czasów, kiedy tradycyjnemu waginoosobie, nazywanej

z podkarpacką „babą”, w czasie Spring Holidays musiały realizować wiele uciążliwych domowych obowiązków, podczas gdy jej wąsaty janusz wyrażał wobec tego daleko idące lekceważenie.

Pytamy Alexę o źródło tych rewelacji. Ten poprawia spokojnym ruchem rejbrany zerówki i patrzy na nas, świadomy swojej erudycyjnej i intelektualnej przewagi. – Na kole naukowym powstała taka teoria. Nikt nie był świadkiem, iż było inaczej, więc przegłosowaliśmy ją jako obowiązującą – wyjaśnia.

Alex także uważa, iż w ciągu minionego roku jego życie stało się trudniejsze. – Szczególnie mocno przeżyłem awanturę wokół sądownictwa – wyznaje. – Nie mogę również pogodzić się z ustawą o IPN. W ogóle czy to przypadek, że ustawa o IPN zbiega się prawie w czasie ze Spring Holidays, kiedy to przypomina się ludziom i podburza ich przeciwko postaci Judasza, który miał donosić? Zaskakujący zbieg okoliczności? Nie, ani trochę nie był zaskakujący. Nie dla mnie.

Alex nerwowo przegląda swojego ajfona. – Wiecie, jakoś kalendarz w moim ajfoniku nie ma zaznaczonej informacji o zbliżających się Spring Holidays. Zachowanie neutralności światopoglądowej polegające na wycofaniu z dyskursu publicznego świąt katolickich jest możliwe. Trzeba tylko chcieć tę neutralność osiągnąć.

JAGODA, CZYLI WALKA KLAS

Jako ostatnia na miejsce dociera Jagoda. Pochodząca spod Rzeszowa feministka, uczestniczka czarnych marszów i właścicielka imponującej kolekcji czarnych parasoli z Rossmanna. W ubiegłym

roku najbardziej obawiała się wyjazdu na Spring Holidays do swojego małego ośrodka. W tym roku tego błędu już nie popełni.

– Na pewno nie wrócę na Spring Holidays do osób płodzących. Nie mogę pogodzić się z tym, iż te święta są pozbawione świeckiego uniwersalnego charakteru, tylko trzeba przez pięć dni z rzędu chodzić do kościoła. Uważam, iż w ogóle Kościół nadużywa przy tej okazji swojej pozycji. Of kors ma na to ciche przyzwolenie władz. Jagoda wzdycha i nerwowo zagląda się dokoła. – Ostatnio znalazłam księdza pod łóżkiem i w przedpokoju. Martwię się, czy za chwilę następny się nie pojawi, sprawdzając moje zakupy. Tak, kupiłam prezerwatywy – dodaje prowokacyjnie głośnym tonem i zagląda się wokół. Księdza jednak nie stwierdzono.

– No, w każdym razie jestem zdania, iż Kościół powinien otworzyć się na różnorodność, a nie tak zachłannie przyciągać wiernych. Przecież każdy może być zainteresowany, aby np. poznać, co o Spring Holidays sądzą muzulmanie. To byłoby niezwykle ubogacające dla przeciętnych grażyny i janusza. Dlaczego wciąż tylko mamy ograniczać się do jednej opcji?

W tym momencie w słowo wchodzi jej Alex. – Wiesz, o to właśnie chodzi. Żeby mieć tylko jedną, słuszną i właściwą opcję. Inaczej taki janusz czuje niepokój. Nie wie, co wybrać i co myśleć, więc oczekuje, iż inni zrobią to za niego. Of kors my też lubimy wiedzieć, co należy myśleć, ale z zupełnie innych powodów – chcemy wiedzieć, co jest aktualnie ważne, modne i co z nas uczyni Europejczyków. Nie po to, iżby umacniać się w podkarpackich poglądach.

I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Nasi rozmówcy wskazują także, iż pewną ulgę przynosi im koniec Wielkiego Postu.

– Wreszcie będę mogła zrzucić ten pokutny wór i ubrać się jak normalna osoba – mówi Maryna. – U nas w korpo codziennie obsypują nas popiołem. To staje się nie do wytrzymania – skarży się Alex. – Mój partner pomyślał nawet, iż mam łupież. To obrzydliwe.

SPRING HOLIDAYS W MIEŚCIE

Zapytaliśmy naszych osobobohaterów, jak będą spędzać tegoroczne Spring Holidays. – Ja przeproszę, że się wtrącę, ale razi mnie słowo „bohater” – zauważa Maryna. – To jest słowo nadużywane w prawicowym dyskursie. Chyba w naszym gronie, osób wiedzących, jak

rozmawiać bez takich naleciałości, trzeba używać innej komunikacji, prawda?

Cóż, Maryna ma rację. Jakie więc młodzi wykształceni mają plany na ten czas?

JAGODA: Nie popełnię więcej tego błędu i do małego ośrodka nie wyjadę. Zostanę tu, na miejscu, w Krakowie. Niestety, sklepy będą wówczas zamknięte, ale z frendziarami z lokalnej kooperatywy może otworzymy własny spółdzielczy sklepik, z którego wtajemniczeni będą mogli zakupić niezbędne artykuły pierwszej potrzeby w czasie, kiedy katofashysm zabrania kapitalizmu. Myślę tu oczywiście o kielkach sushi z wolnego wybiegu, ekologicznym jarmużu i batatach. No, z tymi batatami może być problem, ale to kwestia nastawie-

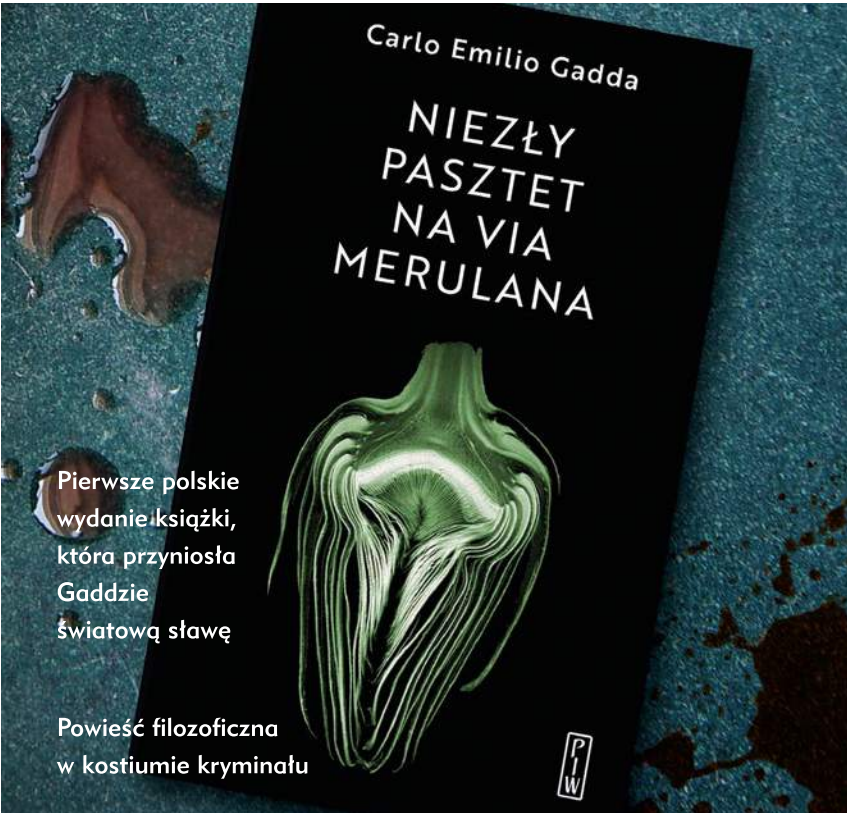
nia. Ziemniaki też się nadadzą. Wystarczy o nich myśleć jako o batatach i to w zasadzie będzie bez różnicy. Chciałabym też zorganizować jakąś manifę. Może kilka frendziar również tu zostanie i nie pojedzie po słoiki. Wtedy damy radę. Chociaż taki marsz szmat we dwie? Hm, to może jednak źle wyglądać.

ALEX: Nie mam żadnych konkretnych planów. W zeszłym roku z frendami zrobiliśmy maraton filmowy. Oglądaliśmy tytuły najniżej oceniane na Filmwebie, iż – jak wiadomo – tłum ma zawsze kiepski gust i do pewnych artystycznych fenomenów nie dorasta. Po tym doświadczeniu jednak niebezpiecznie zbliżyliśmy się do głosu. W tym roku wybierzemy więc jakieś nieobciążające intelektualnie rozrywki,

poczytamy trochę „Wysokich Obcasów”. Żeby odpocząć i podładować akumulatory. Oczywiście ekologiczne, nie takie jak do poloneza, hi, hi.

MARYNA: Będę miała wreszcie trochę czasu, żeby zadbać o swoją duchowość. Jasna, tzn. neutralna barwnie sprawa, iż chodzi mi o egzotyczne i rozwijające medytacje i jogę, których skuteczność jest naukowo udowodniona, w przeciwieństwie do modlitw i czuwań. Poza tym zadbam, iżby negatywna energia generowana przez społeczeństwo tego kraju nie zakłóciła moich czakrów. Kto wie, może na ujęcie odbędzie się kolejny wykład o transmigracji duszy i reinkarnacji? To bardzo ważne, iżby się interesować takimi sprawami, w końcu dotyczy to każdego z nas! © ©

REKLAMA



Carlo Emilio Gadda
**NIEZŁY
PASZTET
NA VIA
MERULANA**

Pierwsze polskie wydanie książki, która przyniosła Gaddzie światową sławę

Powieść filozoficzna w kostiumie kryminału

PIW Państwowy Instytut Wydawniczy

„Twórczość Gaddy stała się punktem odniesienia i busolą dla włoskiej awangardy lat sześćdziesiątych i dla późniejszej prozy eksperymentalnej. Całkowita emancypacja języka wyznacza Gaddzie w literaturze miejsce obok Joyce’a i Céline’a.”

Z posłowia Anny Wasilewskiej, tłumaczki

Polecamy również:
Carlo Emilio Gadda
POZNAWANIE CIERPIENIA

Carlos Fuentes
KRAINA NAJCZYSTSZEGO POWIETRZA

Zapraszamy do księgarni internetowej www.piw.pl

 /PaństwowyInstytutWydawniczy



JAK W HIPNOZIE

Prezenter Filip Chajzer zawodowo nie ma ostatnio dobrej passy. Prowadzony przez niego nowy show „Hipnoza” został powszechnie okrzyknięty „klapą”, „porażką” i „żenadą”. Kiedy prezenter w zastępstwie poprowadził jedno z wydań telewizyjnej śniadaniowej, widzowie nie zostawili na nim suchej nitki.

Że źle, że sztywny, że niesympatyczny i zmanierowany. W ramach odreagowania Chajzer postanowił nakręcić nowy filmik na swój kanał na YouTube, na którym testuje różne rzeczy. Tym razem przetestował wstrząśnięcie sobie botoksu. Serio. I tak najpierw widzimy Chajzera siedzącego w wannie, jak robi sobie zabiegi upiększające, a następnie jak udaje się do gabinetu medycyny estetycznej, by pozbyć się zmarszczki na czole. – Tę włosą muszę sobie z nosa wyrwać, bo to przecież nieemisyjne jest – relacjonuje Chajzer. – Bardzo często słyszę, że mam tu taką zmarchę, że to jest nieakceptowalne i powinienem coś z tym zrobić. Nawet matka mi to powiedziała. A Gosia to codziennie – opowiada. W sumie to lubimy Chajzera. Kiedy już wydaje się, że polska rozrywka sięgnęła dna, on udowadnia, że jeszcze wszystko przed nami.

GWIAZDORZYĆ JAK GWIAZDA

Maja Sablewska, eksmenedżerka gwiazd, która sama została celebrytką, próbuje pokazać, jak wielką jest już gwiazdą. W tym celu oczywiście gwiazdorzy. Do tego stopnia, że coraz mniej osób w show-biznesie chce z nią współpracować. Także przy tworzeniu jej programu. – Majka jest niemiła i wywyższa się na planach swoich programów. Traktuje ludzi z góry i ma się za nie wiadomo jaką gwiazdę – mówi Pudelkowi osoba z jej otoczenia. – Jest opryskliwa dla ekipy technicznej i często po skończonych zdjęciach niektórzy dźwiękowcy czy ludzie planu mówią, że nigdy więcej nie wezmą roboty przy programie, w którym jest gwiazdą – dodaje. Co konkretnie

irytuje współpracowników Sablewskiej. Ponoć często chodzi o drobniaki, o które awanturuje się Maja. – To są zwykłe drobniaki, ale mocno utrudniają i tak już zwykle nerwową atmosferę na planie. To choćby sytuacje, kiedy ktoś przykleja Majce mikroport przed nagraniem i zostaje



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER



FOT. PAVEŁ GROMADA

zrugany za to, że ta taśma na bank zostawi klej na jej drogocennych ciuchach – opowiada rozmówca plotkarskiego portalu. Tak zły wizerunek może mieć tylko ktoś, kto zajmuje się kreowaniem wizerunku innych. Chodząca reklama swoich usług!

JAK ŻYĆ BEZ BURBERRY

Maja Bohosiewicz, znana z bycia siostrą aktorki Soni Bohosiewicz i z tego, że dokumentuje na Instagramie swoje macierzyństwo, znów zabłysnęła. Tym razem opowieścią o swoim dobrym sercu. Niestety, okrutna gawiedź nie doceniła dobroci Mai i spotkały ją same przykrości. Jednak od początku. Maja zaapelowała, by oddawać dziecięce ubranka, z których dzieci wyrastają, biednym rodzinom. I pochwaliła się, że sama tak robi. Z zastrzeżeniem, że dotyczy to wyłącznie tych tańszych ubrań, bo te droższe markowe woli jednak sprzedać. – Wiadomo, czasem są takie rzeczy, które fajnie sprzedać, bo wydałicie na nie kupę kasy, ale zdarzają się też takie, które kupiliście w zwykłym sklepie, dziecko miało je na sobie dwa razy, a komuś innemu naprawdę mogą one uratować życie – napisała. W odpowiedzi na lawinę krytycznych komentarzy, Maja wyjaśniła swój punkt widzenia. – Widzę, że wiele moich znajomych zwyczajnie wyrzuca wyrosnięte ubranka, bo sądzą, że skoro to H&M czy Tesco, to nie nadają się na sprzedaż. A można je przecież podarować – napisała dumna z siebie Maja. – Ludzie potrzebujący nie potrzebują dresików Burberry – dodała. Wszyscy normalni nie potrzebują. Tak, wiemy, dla Mai to może być szok.

O GODNOŚCI KOBIEC

Nie milkną echa akcji „MeToo”, w której ramach gwiazdy światowego show-biznesu ujawniały, że były molestowane seksualnie. Najczęściej dotyczyło to znanych aktorek. Akcja dotarła także do Polski, u nas też celebrytki chętnie opowiadały, że często były nagabywane i oferowano im np. rolę w zamian za seks. – To żadna nowość. Miałam dużo podobnych sytuacji, bo byłam cyma i podobno nawet seksowna – wyznała np. aktorka Zofia Czerwińska. W sprawie głos postanowiła zabrać także aktorka Magdalena Cielecka, zdeklarowana feministka, walcząca o prawa kobiet. – Teraz dużo mówi się o przemocy wobec aktorek, przypadkach molestowania. Dziwi mnie trochę i wzbudza moje podejrzenia, gdy aktorka po 20 latach przypomina sobie, że producent położył jej rękę na kolanie, że ktoś proponował jej, żeby wpadła do niego do pokoju hotelowego – mówi w wywiadzie dla „Twojego Stylu”. – Mnie także składano takie propozycje. I jeśli chciałam w tych pokojach zostawać, zostawałam. A jeśli nie, wychodziłam – dodaje. Proste? Proste. To teraz można ruszać na marsz w obronie praw kobiet. I ich godności. Bo godność jest najważniejsza. ©©



*Zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych wiary, nadziei i miłości.*

*Pogody w sercu i radości płynącej ze Zmartwychwstania Pańskiego
oraz serdecznych spotkań w gronie rodziny i wśród przyjaciół.*

*Zarząd, Rada Nadzorcza
oraz Pracownicy Cedrob S.A.*





Chodzi o to, żeby było, jak było. Przynajmniej w kancelarii premiera. Stąd powrót PR-owców z Solve-re, czyli duetu Plakwicz-Matczuk. Było tak: okrutny Kaczafi zażyczył sobie, żeby polityka wizerunkowa rządu Mateusza była równie fajna jak kiedyś rządu Bełaty. Więc duet wrócił. Premier Mateusz nie miał tu nic do gadania.

Duet zaczął od spektakularnych posunięć. Najpierw zorganizował tweetup dla premiera Mateusza, a potem wysłał wicepremier Bełatę do Sejmu, żeby nakrzyczała na opozycję. Z tych dwóch przedsięwzięć bardziej za-interesowało nas to pierwsze. Ponieważ nigdy niczego nie kasujemy, odkryliśmy, że rozsyłane zaproszenia na tweetup były słowo w słowo identyczne z tymi, które zachęcały we wrześniu 2016 r. do tweetowania z premier Bełatą. Jest tylko jedna różnica, ale znacząca. W przypadku Mateusza słowo „premier” napisano wielką literą.

Nie minął tydzień od wizyty frau Angeli w Warschau, a już stał się cud, a nawet dwa cuda. Dobra zmiana chce opublikować zaległe wyroki Trybunału Konstytucyjnego, a poza tym przebąkuje coś o tym, że różny wiek emerytalny pań i panów sędziów to dyskryminacja i coś trzeba z tym zrobić. Paryż wart był mszy, a Bruksela, jak widać, warta jest tych paru sędziowskich emerytur.

Zgóry odrzucamy protesty wszystkich, którzy przypominają, że dla Komisji Europejskiej zróżnicowanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn w Polsce jest dyskryminacją w każdym zawodzie, więc skoro ustąpimy w sprawie sędziów, to będzie większy paszтет. Otóż sędziowie są nadzwyczajną kastą, więc zasługują na specjalne traktowanie. Kto tego nie rozumie, ten jest faszystą i nie wie, na czym polega aktualna mądrość etapu w procesie wstawania z kolan.

Jakie jest ulubione słowo Tyszki Stanisława? Partio-kracja. Tak, wiemy, zagadka była łatwa, bo używa tego słowa przeciętnie 16 razy

Nie minął tydzień od wizyty frau Angeli w Warschau, a już stał się cud. Dobra zmiana chce opublikować zaległe wyroki Trybunału Konstytucyjnego

w jednym wywiadzie. Kukistowski wice-marszałek Sejmu będzie musiał jednak zmienić zdanie i zacząć na partię patrzeć przychylnym okiem. Wszystko dlatego, że niedługo Ruch Kukiza zamieni się w partię. Przeciwno czemu będzie wtedy gardłował Tyszka? W sumie to jest nam wszystko jedno.

Apropos kukistów. Wpływowy kukista Marek Jakubiak, browarnik i esteta, wygrał w 2016 r. proces z pewną tancbudą, która wzywała do bojkotu jego piwa i demonstracyjnie je wylewała do ścieku. Teraz sprawa trafiła do apelacji. I Jakubiak niby znowu

wygrał, ale w dość dziwny sposób. Sąd uznał, że co prawda wylewacze go obrazili, ale to Jakubiakowi kazał pokryć koszty procesu. Przytaczamy tę opowieść, bo lubimy symbole III RP, a takim bez wątpienia jest ten wyrok. „Poniżyli cię? Trudno, musisz za to zapłacić”. Jak widzicie, takie hasło pasowałoby też do transformacji ustrojowej.

Wzwiązku z powstaniem piosenki o Gowinie autorstwa Kukiza Pawła chcemy przypomnieć, że byliśmy pierwsi. W naszej rubryce piosenka o Gowinie ukazała się już w maju 2013 r., by uczcić wywalenie Gowina z PeŁo. W dodatku rymowała się lepiej od piosenki Kukiza. Szczególnie fragment: „Mam frakcję, którą dojrzeć trudno / a także reputację cudną / Tusk mnie raz łaja, a raz łechce / A ja jak Jurek skończyć nie chcę”. Oczywiście dziś zamiast „frakcję” trzeba śpiewać „partię”, a zamiast „Tusk” – „Kaczor Dyktator”.

Aha, ważna rzecz – tamta piosenka o Gowinie z 2013 r. nie została nigdy ukończona. Czego życzymy i Pawłowi Kukizowi, oceniając po zaśpiewanej przez niego w Trójce zwrotce. Sorry, Paweł.

Potwierdzają się nasze doniesienia sprzed roku – Kazimierz Budyń Ujazdowski chce kandydować na prezydenta Wrocławia. Nowością jest pomysł, o którym donosi „Rzeka”, żeby zrobił to w charakterze kandydata PeŁo. Ujazdowski jako stara konserwa jest nie do przyjęcia dla Kaśki Lubnauer, więc z koalicji we Wrocławiu nici. Co nie martwi Nowoczesnej Kropki, która i tak wystawia tam Michała Jarosa. Kandydatów łączy ważna rzecz: „ja” w nazwisku jednego i drugiego jest rozmiarów większych od przeciętnych.

Mało kto pamięta, ale stare wiewiórki pamiętają: Michał Jaros, zanim poszedł do prawdziwej polityki, uczył się jej w Parlamencie Studentów RP. Zasłynął wtedy tym, powiadając wiewiórki, że jako jeden z bardzo niewielu w historii nie dostał absolutorium dla członka zarządu PSRP. To mniej więcej tak, jakby w parlamencie niemowlaków został uznany za trwale niezdolnego do ssania smoczka.

dwaj panowie



Tymczasem w Krakowie. Jacek Majchrowski długo się wahał, ale już zdecydował. I w kwietniu ogłosi, że gród Kruka, przepraszamy – gród Kraka, jednak nie może się bez niego obyć przez kolejne lata. Jesteśmy innego zdania.

Tymczasem w Gdańsku. Nie uwierzcie, w kim Grzegorz Schetyna pokłada nadzieję na spacyfikowanie Pawła Budynia Adamowicza, który chce znowu kandydować, wbrew zaleceniom Peło. Otóż Grzegorz wierzy w CBA. Ale nie mówicie o tym głośno, bo się w partii zdziwią. Oficjalnie w kwestii CBA Grzegorz jest bowiem niewierzący.

Kampania samorządowa już się zaczęła. Jaruzelska sprząta po psie – informuje „Superak”. Tym samym oświadczamy oficjalnie, że Monika ma kwalifikacje na prezydenta. Nie tylko jakiegoś nieznanego miasta, które wskaże SLD, lecz także prezydenta całego kraju. Przypominamy bowiem, że Bronisław Komorowski nie sprzątał. Nawet kiedy pies narobił w Belwederze. Są świadkowie.

Tymczasem w „Lisweeku”. Tomek Lis, całoroczny i dożywotni laureat Lisa Roku, opowiada o swym życiu ciekawe rzeczy. Nie o dawnym życiu, lecz przyszłym. Otóż Tomek jest przekonany, że uratuje Polskę. Już niedługo. W roku 2020. Kiedy okaże się, że Polacy zmęczeni Dudařim i Tuskařim zapragną nowego prezydenta ponad podziałami i tym prezydentem zostanie Tomek Lis. To jest

wystąpien wpłatano przede wszystkim odniesienia do spraw, które chce się załatwić.

Ponieważ polityka zagraniczna już nas trochę nudzi, zagłębiamy czasem do Sejmu. A tam np. taki obrazek: Aśka Schmidt, bogdanka Ryśka z Planu, czule rozmawia z pewnym posłem. Oczy jej się śmieją, dusza śpiewa. Potem Aśka wraca na salę obrad, gdzie siedzi obok Ryśka. Rysiek

Będziemy brutalni. Wolelibyśmy, żeby do różnych wystąpień wpłatano przede wszystkim odniesienia do spraw, które chce się załatwić

jakiś pomysł. Proponujemy, żeby w drugiej turze Tomek zmierzył się z kandydatką zjednoczonej lewicy – Moniką Jaruzelską sprząającą po psie.

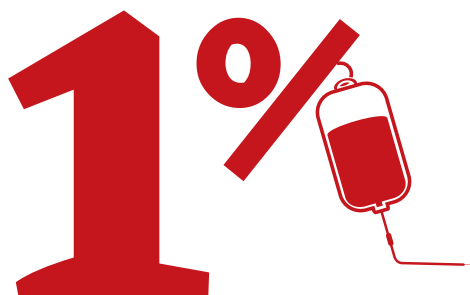
Nie widzę niczego złego, żeby w dłuższych wystąpieniach wpłatał wątki historyczne, odniesienia do literatury. Myślę, że to świadczy dobrze o nim jako o osobie inteligentnej” – powiedział o premierze Mateuszu Adam Bielan. Będziemy brutalni. Wolelibyśmy, żeby do różnych

też chce czule porozmawiać, ale Aśka fuka na niego i traktuje go dość obcesowo. W miłości, widzicie, jak na wojnie, a na wojnie – jak w polityce.

Rubryka kryminalna. Jak donoszą wiewiórki z drogówki, podczas kontroli byłego pośa i byłego mikkeanisty Przemysław Wiplera okazało się, że samochód, który kupił w dobrej wierze, jest kradziony. Szkoda auta. A takie ładne było. Amerykańskie. ☹☹

REKLAMA

Czasami życie zależy od rzeczy...



Wpłacając 1% dla Caritas Polska – **KRS 0000198645**, wspierasz zakup specjalistycznego, kosztownego sprzętu rehabilitacyjnego nier refundowanego przez NFZ, który będzie dostępny dla wszystkich potrzebujących pomocy w 114 wypożyczalniach Caritas na terenie całej Polski.

jedenprocent.caritas.pl





Ewangelista Starego



Tomasz P. Terlikowski

Dla chrześcijan nie ma chyba ważniejszego proroka niż Izajasz, który określany jest niekiedy „ewangelistą Starego Testamentu”. Jego pisma są pełne zapowiedzi prawd wiary, które Ewangelia ujawniła w całej pełni

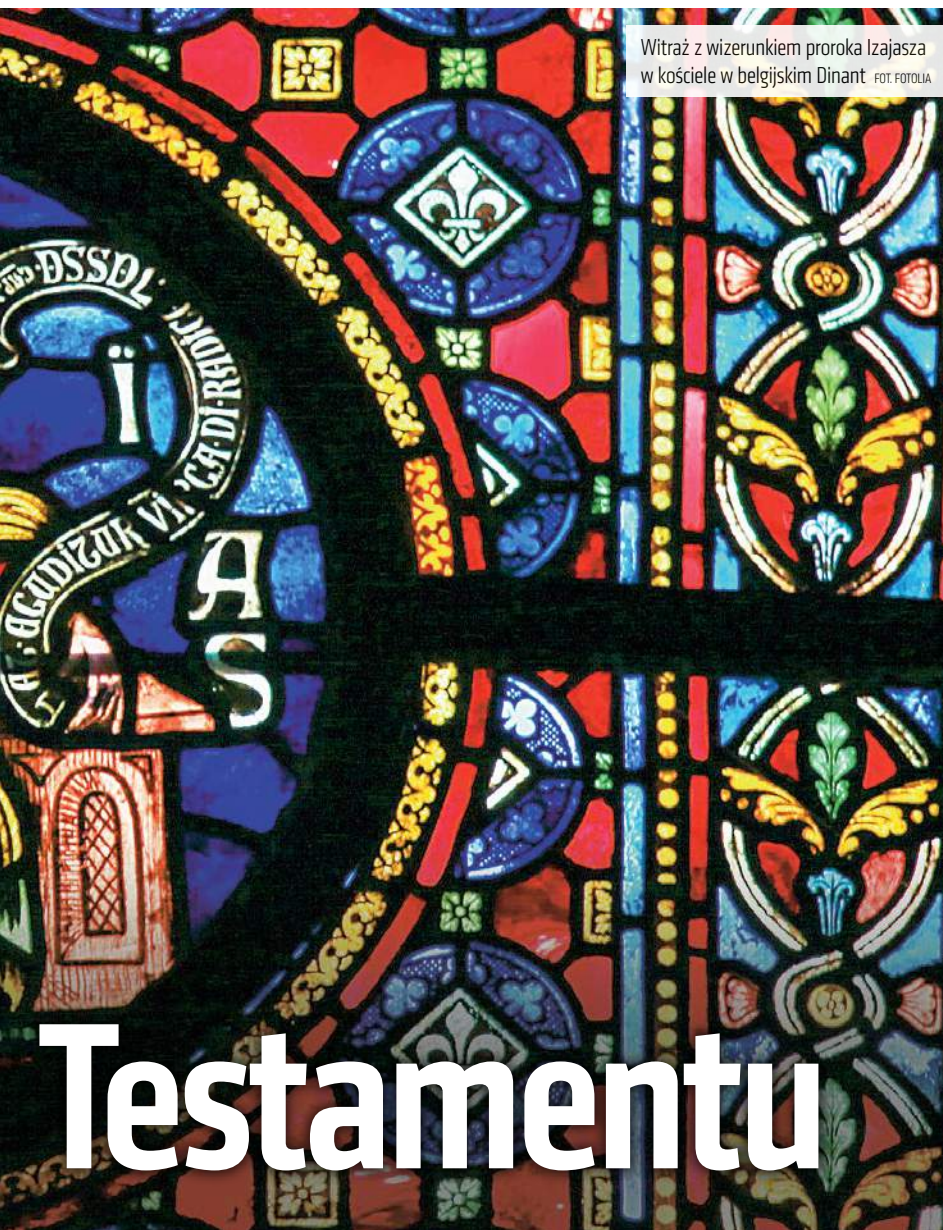
Spór o historyczność Starego Testamentu wciąż trwa. Nie brak (choć trzeba przyznać, że jest ich coraz mniej) biblistów, których w ogóle – szczególnie jeśli chodzi

o Stary Testament – ona nie interesuje. Archeologia biblijna jednak coraz częściej potwierdza to, w co chrześcijanie (i żydzi) wierzyli od dawna. Teraz, zaledwie kilka tygodni temu, potwier-

dziła ona – wszystko na to wskazuje – istnienie proroka Izajasza.

„NALEŻĄCE DO PROROKA IZAJASZA”

O czym mowa? Otóż w połowie lutego 2018 r. na łamach „Biblical Archaeology Review” izraelska archeolog Eilat Mazar ogłosiła odkrycie pieczęci, która jej zdaniem mogła należeć właśnie do tego biblijnego bohatera. Litery zawarte na tej pieczęci – pochodzącej sprzed 2,7 tys. lat – układają się, jej zdaniem, w napis [יֵשַׁעְיָה] lejesza’jah[u] Nwi, czyli „należące do Izajasza, proroka”. Pieczęć, która



Witraż z wizerunkiem proroka Izajasza w kościele w belgijskim Dinant FOT. FOTOLIA

Testamentu

ma być archeologicznym potwierdzeniem istnienia tego proroka, została odnaleziona podczas archeologicznych prac w najstarszej części Jerozolimy, rozpoczętych w 2009 r. To właśnie tam Mazar znalazła 34 gliniane odciski pieczęci. Jedną z nich była właśnie pieczęć Izajasza.

Wcześniej w tym samym miejscu archeolog odnalazła królewską pieczęć Ezechiasza, czyli władcy Izraela, którego Izajasz był bliskim współpracownikiem. Oba znaleziska, co potwierdza ich prawdziwość, znajdowały się w tych samych warstwach, a dzieliła je od siebie odległość zaledwie trzech metrów. Zdaniem

Mazari prawdopodobieństwo, że w Jerozolimie, w tym samym czasie i za tego samego władcy, działało dwóch proroków, którzy określali się imieniem Izajasz, jest minimalne, a zatem... pieczęć należy do tego, którego teksty znamy z kanonu Pisma Świętego.

Pieczęć, którą odkryła izraelska archeolog, ma mniej więcej centymetr średnicy i jest podzielona na trzy pola. Niestety, górne niemal się nie zachowało, ale – według badaczki – prawdopodobnie zawierało ono obraz pasącej się łani, który miał symbolizować Boże błogosławieństwo i ochronę nad Jerozolimą. Środkowe

pole zawiera wspomniane już słowa: „na-leżące do Izajasza”, a dolne pole zawiera (wszystko na to wskazuje) słowo „prorok”. Wszystko wskazuje więc na to, że mamy do czynienia z archeologicznym potwierdzeniem faktu działania za czasów króla Ezechiasza proroka Izajasza.

PROROK ARYSTOKRATA

Pieczęć, jak zresztą większość odkrytych archeologicznych, jest jedynym potwierdzeniem wiedzy, jaką mamy z innych źródeł. A ta w odniesieniu do proroka Izajasza jest naprawdę bogata. Nie ma wątpliwości, że działał on w Jerozolimie za panowania królów judzkich Ozjasza, Jotama, Achaza i Ezechiasza (o tym zresztą traktuje pierwszy wers Księgi Izajasza). Wytworny język hebrajski, jakim się posługuje, doskonała znajomość tradycji mądrościowej, a także bliskie współdziałanie z dworem królewskim i znajomość dworskich zwyczajów wskazują także na jego arystokratyczne pochodzenie oraz staranne wykształcenie. Nie ma też wątpliwości, że prorok miał żonę, która także nosiła tytuł prorokini, a także synów, którzy otrzymali symboliczne imiona: Szezar-Jaszub (reszta się nawróci) i Maher-Szalal-Chasz-Baz („Szybko łup – prędko rabunek”).

Nie jest jasne, kiedy narodził się prorok, ale wedle tradycji rabinicznej (niepotwierdzonej w samym Starym Testamencie) był potomkiem Judy i Tamar, a jego ojciec był prorokiem i bratem króla Amazjasza. Do jego powołania dojść miało w roku śmierci króla Judy Azariasza, czyli w roku 739 (738?) przed Chrystusem.

Jak doszło do powołania? I znowu z pomocą przychodzi nam tradycja żydowska. Otóż, według midraszy, gdy Izajasz studiował święte teksty, usłyszał głos Pana, który zadawał pytanie: „Kogo mogę posłać?”. Odpowiedź późniejszego proroka była natychmiastowa: „Oto ja, posłij mnie”. Jednak Bóg powiedział do niego wówczas, że jego dzieci (Izrael) sprawiają wiele kłopotów i są niezwykle wrażliwe.

„Jeśli jesteś gotów być przez nie obrażany, a nawet pobity, to możesz przyjąć moje powołanie, jeśli nie, to lepiej z niego zrezygnuj” – miał powiedzieć, wedle midraszy, Bóg do Izajasza. Ten zdecydował się powołanie przyjąć, a jego miłość do narodu wybranego, żydowski patriotyzm, nieustanne błaganie o wybaczenie grzechów Izraela ma mieć swoje korzenie właśnie w takiej, a nie innej formie



powołania. Tradycja żydowska uznaje, że wielka miłość do Izraela była jedną z przyczyn, dla której Izajasz otrzymał łaskę bezpośredniego kontaktu z Bogiem. Jednak gdy wspominał o tym, że „mieszka wśród ludzi o nieczystych wargach”, został za to surowo przez Boga zganiony.

Sama Księga Izajasza przedstawia powołanie nieco inaczej, a słowa o nieczystych wargach nie zdają się mieć w niej owego znaczenia, jakie przypisuje im tradycja rabiniczna. Izajasz wspomina, że gdy modlił się w świątyni, ujrzał Pana „siedzącego na wysokim i wyniosłym tronie”, a obok niego aniołów wysławiających świętość Boga. „Od głosu tego, który wołał, zadrgały futryny drzwi, a świątynia napełniła się dymem” – wspominał Izajasz. I właśnie te słowa (świętość jest zjawiskiem, które nie tylko zachwyca, ale – jak przypomina choćby Rudolf Otto – nieodmiennie także przeraża) sprawiły, że Izajasz ukorzył się przed Bogiem. „Biada mi! Jestem zgubiony! Wszak jestem mężem o nieczystych wargach i mieszkam pośród ludu o nieczystych wargach, a oczy moje oglądały Króla, Pana Zastępów!” – wykrzyknął. I wtedy przyleciał do niego jeden z serafinów, który dotknął jego warg węglem, który wziął z ołtarza, i powiedział: „Oto dotknęło to twoich warg: twoja wina jest zamazana, zgładzony twój grzech”. Wtedy też usłyszał głos Boga, który pytał go: „Kogo mam posłać? Kto by Nam poszedł?”. Odpowiedź była natychmiastowa: „Oto ja, poślij mnie”. A na to Bóg powiedział: „Idź i mów do tego ludu”.

Powołanie nowego proroka dokonało się w momencie, gdy królestwu Judy zagrażał rozwój imperium nowoasyryjskiego. Dwór w Jerozolimie, pochłonięty zbytkiem, zabawą i rozpustą nie przejmował się szczególnie radami proroka, ten jednak – za czasów Achaza – mocno optował za zachowaniem neutralności w wojnie syro-efraimskiej, a gdy władca jego rady odrzucił, wycofał się na jakiś czas z publicznej działalności prorockiej. Gdy jednak za czasów króla Ezechiasza Jerozolimie zaczęło ponownie zagrażać ogromne niebezpieczeństwo, powraca i angażuje się przeciwko polityce króla, którego jednak – podczas oblężenia Świętego Miasta w 701 r. – podtrzymuje na duchu. Co się działo później, tego nie wiemy, ponieważ wystąpienia z 701 r. są ostatnimi, które przechowało Pismo Święte. Tradycja żydowska sugeruje jednak,



Odnaleziona przez archeologów pieczęć sprzed 2700 lat to pierwszy naukowy dowód na to, że prorok Izajasz istniał naprawdę. FOT. OURLIA TADMOR/© EILAT MAZAR

że prorok poniósł śmierć męczeńską po przez przepiłowanie (nawiązuje do tego autor Listu do Hebrajczyków, wskazując, że proroków „przerzynano piłą”, w czasach panowania Manasses. Tradycja Talmudu opowiada o tym, że król Manasses, który nie akceptował nauczania Izajasza, ścigał go, a prorok ukrył się na drzewie. Jego obecność tam zdradził jednak rąbek jego szaty, władca nakazał więc przepiłować drzewo na pół. Krew proroka wyciekła z przerzynanego cedru.

PROROK ODRZUCONY

Niezależnie jednak od tego, czy rzeczywiście tak było, jedno nie ulega wątpliwości, choć rady Izajasza zazwyczaj były trafne, a jego diagnozy polityczne skuteczne, to niemal nikt go nie słuchał. Władcy Judy wybierali sprzeczne z jego radami drogi, a grono uczniów było raczej niewielkie. To jednak właśnie oni zebrali – być może na jego polecenie – proroctwa, rady i słowa swojego mistrza i zaczęli je przekazywać dalej. Z tego okresu mogą pochodzić zbiory mów zawarte w księdze Izajasza. Jednak nie zdobyły one sobie wówczas wielkiej popularności i dopiero 200 lat później, podczas niewoli babilońskiej, teksty proroka Izajasza (aktualizowane, przepisywane, odczytywane wciąż na nowo) zdobyły sobie ogromną popularność, uznano bowiem, że trafnie opisują one trudne losy Izraela.

To wtedy słowa samego proroka zostały uzupełnione o dotyczący go rys historyczny, a także o wypowiedzi kolejnych proroków, którzy należeli do szkoły izajaszowej i chcieli kontynuować misję, którą powierzył mu Bóg. Ostatecznie Księga Izajasza ukształto-

wała się właśnie po powrocie z niewoli babilońskiej i składa się z trzech, wyraźnie od siebie oddzielonych części, które bibliści przypisują Izajaszowi (choć sama redakcja tekstu jest późniejsza), Deutero-Izajaszowi i Trito-Izajaszem. W tradycji żydowskiej Izajasz uchodzi za drugiego – po Mojżeszu – pod względem ważności proroka, a w pewnych kwestiach nawet go wyprzedza. O co chodzi? O to, że w odróżnieniu od Mojżesza wyraził całe prawo nie w dziesięciu, a w sześciu przykazaniach (uczciwości w postępowaniu, szczerości w mowie, odmowie nielegalnych korzyści, odrzuceniu korupcji, niechęci do przelewania krwi i wreszcie pogardy dla zła), a ostatecznie wszystko sprowadził do dwóch zasad: sprawiedliwości i miłosierdzia.

Sprawiedliwość rozumiana była jednak przez Izajasza bardzo szeroko. Prorok ostro krytykował nadmierne bogacenie się elit, uznawał, że nie da się pogodzić braku solidarności z ubogimi z wiarą Izraela. „Troszczcie się o sprawiedliwość, wspomagajcie uciśnionego, oddajcie słusność sierocie, w obronie wdowy stawajcie!” – wskazuje Izajasz (1, 10). „Twoi książęta zbuntowani, współnicy złodziei; wszyscy lubią podarki, gonią za wynagrodzeniem. Nie oddają sprawiedliwości sierocie, sprawa wdowy nie dociera do nich. Przeto [taką jest] wyrocznia Pana, Boga Zastępów, Wszechwładcy Izraela; »Ach! uraduję się kosztem moich wrogów, pomszczę się na mych nieprzyjaciółach. Obrócę rękę moją na ciebie, wypalę do czysta twą rudę i usunę cały twój ołów«” (Iz 1, 23–24) – wskazywał. „Biada prawodawcom ustaw bezbożnych i tym, co ustanowili przepisy krzywdzące, aby słabych odepchnąć od sprawiedliwości i wyzuć z prawa biednych mego ludu; by wdowy uczynić swoim łupem i by móc ograbiąć sieroty!” (Iz 10, 1–2) – grzmiał prorok.

PROTOEWANGELIA IZAJASZA

Najpełniejsze znaczenie jednak Księga Izajasza, a szerzej – posłannictwo proroka, uzyskała dla chrześcijan. W Nowym Testamencie niektóre wypowiedzi prorockie zostały wprost odniesione do Jezusa Chrystusa. Jezus w Ewangelii według św. Mateusza zostaje utożsamiony ze sługą Jahwe z Księgi Izajasza. „Oto mój Sługa; którego wybrałem, Umiłowany mój, w którym moje serce ma upodobanie. Położę ducha mego na Nim, a On

zapowie prawo narodom. Nie będzie się spierał ani krzychał, i nikt nie usłyszy na ulicach Jego głosu. Trzciny zgniecionej nie złamie ani knota tlejącego nie dogasi, aż zwycięsko sąd przeprowadzi. W Jego imieniu narody nadzieję pokładać będą” – cytuje proroka św. Mateusz. Święty Jan Chrzciel, określając Jezusa mianem „baranka Bożego”, także odnosił się do pieśni o Słudze Pańskim z Księgi Izajasza.

Pieśń o cierpiącym słudze Jahwe (autorstwa Deutero-Izajasza) jest także, zdaniem chrześcijan, zapowiedzią Męki Jezusa Chrystusa. „Pan Bóg otworzył mi ucho, a ja się nie oparłem ani się nie cofnąłem. Podałem grzbiet mój bijącym i policzki moje rwącym mi brodę. Nie zasłoniłem mojej twarzy przed zniewagami i opluciem” (Iz 50, 5-6) – czytamy w Księdze Izajasza, a opis męki Jezusa odtwarza ten szczegółowy opis. Jezus jest znieważany, opluwany, wyszydzany, biczowany oraz wyśmiewany i u Piłata, i na samej Golgocie. Nie jest zatem zaskakujące, że uznano, iż prorok Izajasz przepowiedział los Jezusa Chrystusa, a jego proroctwa interpretowano w kluczu nowotestamentowym.

Niemal równie istotne są słowa samego Izajasza (tego pierwszego), który zdaniem chrześcijan wyprorokował sposób, w jaki zostanie poczęty i narodzony Jezus. „Słuchajcie więc, domu Dawidowy: Czyż mało wam naprzykrzać się ludziom, iż naprzykrzacie się także mojemu Bogu? Dlatego Pan sam da wam znak: Oto Panna pocznie i porodzi Syna

**Chociaż rady Izajasza
zazwyczaj były trafne,
a jego diagnozy polityczne
skuteczne, to niemal nikt
go nie słuchał**

i nazwie Go imieniem Emmanuel” (Iz 7, 14) – głosił Izajasz. I choć słowa te odnosiły się bezpośrednio do młodziutkiej małżonki króla Achaza (do którego owo proroctwo zostało wypowiedziane), która miała wkrótce urodzić Ezechiasza (tego, obok którego pieczęci odnaleziono pieczęć Izajasza), to chrześcijanie od zawsze traktowali je jako zapowiedź

tego, że „dziewica” (a tak właśnie tłumaczone jest hebrajskie sformułowanie w Septuagincie) pocznie i porodzi Emmanuela. Zgodne świadectwo ojców Kościoła potwierdza taką interpretację i dostrzega w Izajaszu pierwszego obrońcę prawdy wiary o tym, że poczęcie Jezusa było dziewicze i że Maryja była dziewicą „przed, w trakcie i po” narodzinach Chrystusa (by posłużyć się sformułowaniami dogmatycznymi). Jednak od Izajasza chrześcijanie czerpią nie tylko prawdy chrystologiczne, lecz także poszukują u niego źródeł innych prawd wiary. W ostatniej części tej książki odnaleźć można mocne opisy Sądu Ostatecznego, zapowiedzi istnienia piekła czy Nieba.

Oczywiście istnienie pieczęci nie potwierdza ich prawdziwości, ale po raz kolejny w jednoznaczny sposób uświadamia, że Biblia jest nie tylko zbiorem pobożnych legend, lecz także jest oparta na twardym fundamencie historii. Dobrze, że archeologia to uświadamia. Zamiast jednak skupiać się na niej, warto wrócić do samego tekstu. Szczególnie w okresie pasyjnym.

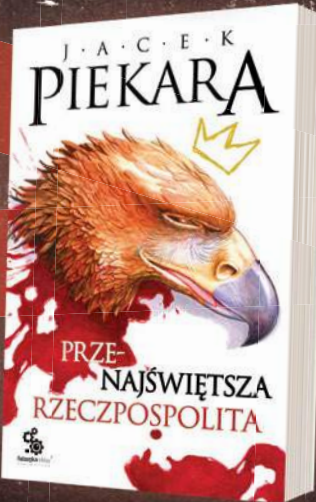
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

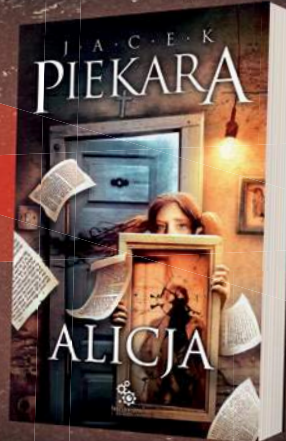
KULTOWY PISARZ W TRZECH ODSŁONACH



PIEKARA
BESTIE
I LUDZIE



PIEKARA
PRZE-
NAJŚWIĘTSZA
RZECZPOSPOLITA



PIEKARA
ALICJA



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



Paweł Lisicki

Od publikacji pierwszego wydania „Kto zabił Jezusa?” minęły zaledwie cztery lata. Obecne ukazuje się w niemal niezmienionej postaci. Podkreślam tak mocno tożsamość tekstu, bo właśnie mimo upływu czasu i licznych, ostrych, niekiedy wręcz brutalnych polemik nie wydaje mi się, żeby moi oponenci potrafili wskazać choć jeden błąd lub niewłaściwą interpretację.

Tak, oczywiście, wybierając taki, a nie inny temat – jak doszło do śmierci Jezusa z Nazaretu, kto ponosi za nią odpowiedzialność – zdawałem sobie doskonale sprawę, że wchodzę na pole minowe. Spór o Mękę Zbawiciela ma znaczenie tyleż historyczne, ile współczesne. Wraz z radykalnym przewartościowaniem swojego stosunku do judaizmu katolicy teologowie musieli bowiem przyjąć nowe rozumienie tego, co wydarzyło się na Golgocie. Uciekając przed oskarżeniem o antysemityzm, wielu z nich dokonywało i dokonuje coraz bardziej radykalnej reinterpretacji tekstów ewangelicznych. Ich wysiłek ma doprowadzić do jednego celu: w jak największym stopniu ograniczyć winę władz żydowskich oraz ludu żydowskiego i przenieść ją na starożytnych Rzymian. Jedni robią to zręcznie i niemal subtelnie, pisząc o tym, że ewangeliczi „oczerniali Żydów”, lub wskazując na rzekomo „pozytywny obraz Piłata”, inni dowolnie usuwają niewygodne świadectwa, przedstawiają je, kiedy trzeba, zmieniają ich sens. Są nawet i tacy, którzy zonglując świadectwami i dodając do nich inne, późniejsze lub niewiadomego pochodzenia, konstruuja na nowo Pasję.

Wszystko to po to, żeby jedynymi winnymi śmierci na Golgocie okazali się rzymscy przywódcy – prefekt, jego żołnierze, w ostateczności kolaborujący z nimi żydowscy arystokraci skupieni wokół świątyni. W całej tej pozornie historycznej debacie chodzi wyłącznie o to, żeby zminimalizować, wbrew oczywistym przekazom pierwszych świadków wydarzeń – odpowiedzialność żydowską, żeby za wszelką cenę usunąć zmasę z ludu żydowskiego.

Doskonale widać to na podstawie kilku najostrzejszych polemik z moją książką. Pewnie najbardziej niedorzecz-

Odrzucony przez swój lud

Spór o Mękę Zbawiciela ma znaczenie
tyleż historyczne, ile współczesne



na pojawiła się na łamach, a jakże mogłoby być inaczej, „Gazety Wyborczej”. Jej autor, ks. John T. Pawlikowski, guru dialogistów, żywy pomnik porozumienia i nowej katolickiej wrażliwości wobec Żydów po Soborze, chciałoby się wręcz powiedzieć wzór z Sevres, profesor etyki społecznej, dyrektor Programu Studiów Katolicko-Żydowskich w Catholic Theological Union w Chicago, już w tytule się nie patyczkuje. Z prawdziwą otwartością i miłością pisze: „Bałamutny Lisicki. Od takich biblistów uchowaj

nas, Panie” („GW”, 6 września 2013 r.). Dalej może być tylko lepiej. Otóż ks. Pawlikowski stwierdza, że próbuję bronić klasycznej tezy o tym, że to przede wszystkim Żydzi są odpowiedzialni za śmierć Jezusa, ale „przecież obalili ją współczesna wiedza o Biblii, a także, od czasu Soboru Watykańskiego II, oficjalne nauczanie Kościoła katolickiego”. Czyli dwie święte wyrocznie – współczesna wiedza o Biblii i oficjalne nauczanie Kościoła katolickiego – wydały głos i mamy milczeć. To skądinąd zabawne,



Nie istnieje żadna „współczesna wiedza o Biblii”, która negowałaby odpowiedzialność Żydów za śmierć Jezusa. Jest to najwyżej dominująca wśród wykładów teologii tendencja, którą opisałem. Jest to przejaw ideologizacji nauki, a nie żadna wiedza. Pokazuje to, jak dużą wagę władze uniwersytetów i wydziałów teologicznych przykładają do tego, żeby na stanowiska wykładowców mianować odpowiednich ludzi. Zresztą, co dostrzeże każdy uważny czytelnik mojej książki, pokazałem także wybitnych i jak najbardziej współczesnych biblistów, którzy tej tendencji nie ulegają. Po drugie zaś oficjalne nauczanie Kościoła również nic takiego nie głosi. Przeciwnie, nawet często dwuznaczna i mglista deklaracja „Nostra aetate” przyznaje, że „według świadectwa Pisma Świętego Jerozolima nie poznała czasu nawiedzenia swego i większość Żydów nie przyjęła Ewangelii” oraz że „władze żydowskie wraz ze swymi zwolennikami domagały się śmierci Chrystusa”. Oczywiście proste pytanie brzmi: Ilu tych zwolenników było? Soborowy tekst wskazuje, że „to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisane ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym”. Z pewnością. Jak choćby przypisać winę za śmierć Jezusa jego uczniom, Żydom przecież? A jednak ta pozorna oczywistość tekstu soborowego zderza się ze słowami apostoła Piotra z jego pierwszego publicznego wystąpienia w Jerozolimie, gdzie mówi on wyraźnie, zwracając się do „Judejczyków i wszystkich mieszkańców Jerozolimy”, „Izraelitów”, że „przybiliście rękami bezbożnych do krzyża i zabiliście [Jezusa z Nazaretu]” (Dz 2, 14–23).

Trzeba wyodrębnić różne znaczenia odpowiedzialności. Czym innym jest wina historyczna, a czym innym odpowiedzialność religijna. To prawda, że ta pierwsza dotyczy tylko sprawców oraz ich popleczników, jednak ta druga obejmuje tych wszystkich, którzy z działaniem sprawców się zgadzają, uważają i uważali je za właściwe oraz słuszne. Tą drugą kwestią praktycznie w „Kto zabił Jezusa?” się nie zajmuję. Zgodnie z teologią katolicką za śmierć Jezusa, co wyraził jasno Sobór Trydencki, odpowiadają wszyscy ludzie. „Mój grzech Ciebie zabił” – śpiewają katolicy. Odpowiedź zaś na pierwsze pytanie – kto w sensie historycznym doprowadził do śmierci Jezusa – jest jasna i podaje ją właśnie cytowany

tekst soborowy: „władze żydowskie ze swoimi zwolennikami”. Można go odczytywać wąsko, jak chciał tego choćby później Benedykt XVI w „Jezusie z Nazaretu”, gdzie owymi władzami byłiby tylko kapłani i arystokracja świątynna. Można jednak szeroko. W końcu władze żydowskie i ich zwolennicy byli, w sensie faktycznym, realną reprezentacją Judei.

To, co musi uderzać, to to, z jaką dezygnacją ks. Pawlikowski potrafi jednocześnie głosić wielkość Soboru i dezygnować sens jego tekstów. Majstersztyk. Na coś takiego może się zdobyć jedynie odpowiednio giętki umysł wykształcony w szkole współczesnego dialogu religijnego, w której to każde „tak” jest trochę „nie”, a każde „nie” trochę „tak”, w której absolutnie dominuje Nietzscheańska zasada, że nie ma prawdy, a jedynie jej interpretacje. Otóż ks. Pawlikowski pisze, że przedstawiam „ewangeliczne narracje z procesu, ukrzyżowania i śmierci Jezusa tak, jak gdyby ewangeliciści byli tego naoczniymi świadkami i relacjonowali to, co się rzeczywiście działo”. Nigdzie nie stwierdzam, że wszyscy ewangeliciści byli naoczniymi świadkami wydarzeń, choć prawdopodobnie dwóch tak. Wiadomo, że takimi świadkami nie byli Łukasz i, rzecz mniej pewna, Marek. Jednak wszyscy opierają się na zeznaniach naocznych świadków!

Według ks. Pawlikowskiego Ewangelie, choć zawierają ziarenka prawdy, to w istocie są opowieściami teologicznymi i „nie możemy poznać szczegółów sytuacji, jaka miała miejsce w czasie, kiedy odbywał się proces”. Zabawne, nieprawdaż? Autor zaczyna od tego, że niszczy oficjalną naukę Kościoła wyrażoną w tekstach Soboru, a następnie uważa, że mimo tego, iż teksty te uznają bez wahania historyczną ważność Ewangelii i potwierdzają to, że ewangeliciści podają wiernie to, co Jezus czynił, o najważniejszym akcie Jego życia nic dokładnego nie wiemy! Nic? O, przepraszam. Nic, co by sugerowało prawdziwość przekazów. Przeciwnie, wiemy całkiem sporo, o ile ta wiedza będzie zaprzeczeniem przekazu. Oto jak funkcjonuje ten mechanizm: to, co zostało przekazane, z natury jest podejrzanym o fałsz. Przekaz jest z definicji nieprawdziwy, to, co przekazane, jest tylko nadbudową na przemilczaniu. Jeśli zatem ewangeliciści piszą o winie całego ludu, to znaczy to, że tej winy nie było. Piszą o wezwaniach do ukrzyżowania, to znaczy, że ich nie było. Żeby tę jawnie niedorzeczną tezę podbudować,

jak szermierze rozumu i zwolennicy racjonalizmu wzywają do ślepego postuśseństwa autorytetowi, pod warunkiem wszakże że jest im to na rękę. Tyle że wielbny ks. Pawlikowski nieco sobie zadanie ułatwia. Robi to, co większość polemistów w takich sytuacjach – po pierwsze próbuje przedstawić swoje stanowisko jako jedyną słuszną wykładnię nauki, po drugie chce reprezentować to, co współczesne, w opozycji do tego, co przeszłe. W obu przypadkach popełnia, łagodnie to nazwę, nadużycie.



■ autor stwierdza, że: „Ewangelie powstały ponadto po wyniszczającym buncie Żydów przeciw rzymskim władzom okupacyjnym w Jerozolimie”. Skąd to wie? Znikąd. Ot, po prostu tak przyjął. Jednak dzięki temu może twierdzić, że: „Piszący Ewangelie niewątpliwie chcieli odłączyć rodzącą się dopiero wspólnotę chrześcijańską od głównego nurtu żydowskiego, aby uchronić ją przed karą ze strony Rzymian”. Dobrze sobie! Otóż okazuje się, że aby uchronić się przed karą Rzymian, chrześcijanie nie chcieli się utożsamiać z Żydami. Aż się nie chce wierzyć, że takie rzeczy może wypisywać profesor teologii. Czyżby zapomniał o tym, że pierwsze wielkie prześladowanie, o którym pisał Tacyt, spadło na chrześcijan, zanim doszło do wybuchu wojny żydowskiej? Że to nie Żydzi nie chcieli mieć nic wspólnego z chrześcijanami? Że po wojnie, po 73 r. n.e., religia żydowska była nadal prawnie dozwolona, a chrześcijanie uznawani byli za wywrotową sektę? Zatem to nie chrześcijanie mieli interes w tym, żeby pokazywać swoją odrębność, ale, przeciwnie, Żydzi. To oni mogli chcieć pokazać, że owa znienawidzona powszechnie sekta jest czymś im obcym i odległym od prawdziwego judaizmu. Chrześcijanie od początku byli grupą prześladowaną i niszczoną dla samej zasady, status prawny i polityczny Żydów był zupełnie inny.

Co się dotyczy kwestii historycznych, to ks. Pawlikowski używa jeszcze jednego argumentu. Klasycznej zasady dowodzenia z autorytetu. Otóż stwierdza, że jego teza o rzymskiej winie „znajduje potwierdzenie u przywódców Kościoła takich jak papież Franciszek”. I powołuje się na rozmowę ówczesnego arcybiskupa Buenos Aires z rabinem Abrahamem Skórką, który powiedział, że obwinianie Żydów o śmierć Jezusa przypomina „obarczanie całego narodu argentyńskiego odpowiedzialnością za decyzje konkretnego rządu”. Rozumiem, że to ta wypowiedź ma być przejawem oficjalnego nauczania Kościoła! No po prostu paradne. Okazuje się, że rozstrzygającym argumentem w debacie historycznej ma być fragment rozmowy byłego arcybiskupa Buenos Aires z rabinem Skórką. I że to ma być głosem Kościoła, a nie dogmatyczna konstytucja soborowa. Nic nie słyszałem, prawdę powiedziawszy, o dokonaniach byłego arcybiskupa Buenos Aires na polu biblistyki, pewne jest, że sprawie śmierci Jezusa nie poświęcił nigdy żadnego

tekstu. Co więcej, całe to porównanie zdaje się chybione. W starożytnym Rzymie w ogóle nie było rządów wybieranych w powszechnych wyborach. Nie znaczy to wszakże, żeby nie istniały partie, frakcje, stronnictwa i ugrupowania, podobnie pewne decyzje władz cieszyły się większym, inne mniejszym poparciem. Akurat, co się tyczy wydania Jezusa na śmierć, wszystkie wczesne świadectwa chrześcijańskie i żydowskie (właśnie: i żydowskie!) wskazują na to, że nałożona na Nazarejczyka kara była przez Jego rodaków uważana za słuszną.

I są to, mogę powtarzać do znudzenia, liczne i należące do różnych źródeł świadectwa. Tekst ks. Pawlikowskiego godzien jest szczególnej uwagi nie tylko ze względu na rangę autora, lecz także na jego zakończenie. Wołał prof. Pawlikowski: „Książka zasługuje na surową krytykę ze strony biblistów i historyków, a także ze strony władz Kościoła katolickiego w Polsce, gdyż pozostaje

oryginalny. Choćby wtedy, kiedy – tak, to na serio – przestrzega katolików, żeby nie czytali sami Biblii: „Katolicki punkt widzenia nie zakłada wcale, że osoba wierząca może odkryć znaczenie Pisma Świętego przez samą jego lekturę”. Niby to słuszne. Tylko co z tego? Ano to, że nawet jeśli świadectwa biblijne mówią o winie Żydów, to... nie mają znaczenia. A dowodem na to jest, proszę państwa, zwracam się do czytających te słowa, to naprawdę nie jest kabaret, Katechizm Kościoła katolickiego, który: „W przeciwieństwie do Lisickiego nie poświęca zbyt wiele miejsca na rozważanie, kto był »odpowiedzialny« za śmierć Jezusa”. Tylko co ma piernik do wiatraka? Dlaczego to Katechizm, który jest dziełem teologicznym, miałby się zajmować w istotnym stopniu kwestią historyczną, którą ja zajmuję się w swojej książce?

Jak można się było spodziewać, Connelly też próbuje wykazać, że w książce odrzucam naukę soborową, zapominając, iż właśnie Sobór broni historyczno-

Wszystkie wczesne świadectwa chrześcijańskie i żydowskie (właśnie: i żydowskie!) wskazują na to, że nałożona na Nazarejczyka kara była przez Jego rodaków uważana za słuszną

w sprzeczności z oficjalnym nauczaniem Kościoła w ostatnim półwieczu. Brak takiej krytyki byłby skazą na polskim katolicyzmie”. Znowu ta niezwykła logika. Książka, zdaniem księdza, nie wnosi nic nowego, jest wadliwa i pełna błędów, ale jednocześnie dopomina się on jej oficjalnego potępienia przez „władze Kościoła katolickiego”.

Drugim, bliźniaczo podobnym głosem krytycznym, który pojawił się po publikacji książki, był sżnisty esej Johna Connelly’ego w październikowym „Znaku” z 2013 r. Podobnie jak wielebny Pawlikowski, tak i profesor z Berkeley uznał, że: „Odczytanie Lisickiego jest sprzeczne z coraz szerszym konsensusem wśród teologów, jak również z nauką Kościoła katolickiego”. Jest to fraza tak bliska ustaleniom księdza z Chicago, że przez chwilę przemknęła mi myśl, czy aby obaj autorzy nie konsultowali ze sobą tekstów, ale ponieważ jestem sceptykiem co do różnych teorii spiskowych, odrzucam i tę. Jednak muszę przyznać, że wkład prof. Connelly’ego jest w niektórych aspektach, w porównaniu z krytyką ks. Pawlikowskiego,

ści opisów ewangelicznych. Pewnym novum jest twierdzenie, że w książce odrzucam taką interpretację Ewangelii św. Mateusza, jaką przedstawił Benedykt XVI. Ulubiona to zagrywka liberalnych teologów, którzy kiedy tylko mogą, próbują zrobić ze swych oponentów przeciwników współczesnych papieży. Tyle że sam Benedykt XVI traktował swoje rozważania w „Jezusie z Nazaretu” nie jako oficjalny głos nauki kościelnej, ale – jak to podkreślał – jako wyraz jego osobistych przekonań teologicznych. Oznacza to zatem, że można inaczej niż on interpretować fragmenty Ewangelii św. Mateusza, pozostając w całkowitej zgodzie z wiarą katolicką. Benedykt XVI pisał: „Fatalne w skutkach poszerzenie wzmiankowanego przez Marka ochłos znajduje się u Mateusza (zob. 27, 25); zamiast o ochłos mówi on o »całym ludzie« i jemu przypisuje domaganie się ukrzyżowania Jezusa. Mateusz nie podaje tu z pewnością faktu historycznego. Jak w tym momencie mógłby tam być obecny cały lud i domagać się śmierci Jezusa? W sposób poprawny rzeczywistość histo-

ryczna jest ukazana u Jana i Marka". Nie-
stety, Benedykt XVI nigdzie nie przedsta-
wił argumentów, na mocy których uważa
opis Marka i Jana za bardziej wiarygodny
niż Mateusza. Powołał się wprawdzie na
Joachima Gnilkę, innego teologa z Mona-
chium, ten wszakże też dowodów na to,
że tekst Mateusza jest reakcją na wojnę
Żydów z Rzymianami, nie przedstawił.
Klasyczny to, pokazywałem, przykład
błędnej koła w dowodzeniu. Żeby wy-
jaśnić znaczenie danego fragmentu, trze-
ba się odwołać do chwili jego powstania
– po roku 70 n.e.; żeby ustalić chwilę
powstania tekstu – trzeba odwołać się
do interpretacji fragmentu. Skoro brak
zewnętrznej miary, np. prostej informacji
historycznej, która pozwoliłaby ustalić,
kiedy tekst powstał, jesteśmy skazani na
hipotezy. Takimi hipotezami posługuje
się cała współczesna biblistyka. I do nich
odwołuje się też papież: to, co przedsta-
wia, to jedynie prywatne hipotezy.

Dlatego inaczej niż Benedykt XVI
uważam, że Mateusz przedstawił
wiernie fakt historyczny – cały lud to
po prostu wszyscy zgromadzeni przed
pretorium, reprezentujący jednocześnie
lud Izraela. Jest prawdą historyczną, że
od ogłoszenia przez Sanhedryn Jezusa
błaznierzą i skazaniem Go na śmierć
(o tym pisze Marek), cały lud opowie-
dzał się przeciw Niemu. Takie samo
prześłanie płynie z pozostałych frag-
mentów Pisma Świętego. Wynika z nich,
że Jezus miał poczucie, iż został przez
swoją lud odrzucony. Nie zmienia to fak-
tu, że złożył siebie za ten lud w ofierze,
że Jego krew odkupiła Izrael.

Tak jak ks. Pawlikowski John Con-
nelly, wielki zwolennik otwarcia i dia-
logu, najchętniej by mnie umieścił poza
Kościołem. Aż łapkami przebiera, żeby
tak tylko mnie z niego usunąć, żeby mnie
napiętnować i z Kościoła wypchnąć. „List
do Rzymian dał Kościołowi język, którym
może on mówić do Żydów (i o Żydach) po
Holokaście. Lisickiemu może się to nie
podać, ale ojcowie Soboru nie mogli
zignorować mroku rzuconego przez ludo-
bójstwo na ich epokę i w związku
z tym postanowili stanowczo
wykorzenić z Kościoła postawy
wrogo judaizmowi, które
przyczyniły się do tej tragedii.
Można to nazwać poprawnością
polityczną, jednak ci, którzy
taką postawę odrzucają, robią
to poza i wbrew katolickiej
wspólnocie”. Czyli krytyka no-

wej posoborowej postawy, mimo tego, że
promujący ją tekst „Nostra aetate” żadnej
dogmatycznej treści nie zawiera, ozna-
cza, że robię to „poza i wbrew katolickiej
wspólnocie”. I jeszcze ta pompatyczna
deklaracja o mroku rzuconym przez ludo-
bójstwo na epokę współczesną i pośred-
nie przyznanie, że do tragedii przyczyniły
się wrogie judaizmowi postawy Kościoła.

Pokazałem gdzie indziej, że teza ta
ma się nijak do faktów. Tutaj powiem
tylko tyle, że jeśli prawdą jest teza
Connelly’ego, iż to owa nadzwyczajna
wrażliwość na tragedię Holokaustu
kazała zmienić ojcom rozumienie
judaizmu, to powstaje pytanie: Dłaczego
podobnej wrażliwości zabrakło im,
żeby wspomnieć o nie mniejszej tragedii
komunizmu? A skoro nie pokazali jej
w odniesieniu do ofiar komunizmu, o ileż
liczniejszych od ofiar Holokaustu, to
może nie o wrażliwość chodziło? I jak ma
się twierdzenie o tym, że katolicy mają
czytać Biblię w świetle tradycji, czego
dopomina się amerykański profesor, do
jego innej tezy, zgodnie z którą: „Biskupi
[...] pomijając niemal całą tradycję – Hie-
ronima, Augustyna, Orygenes i innych –
sięgnęli do najwcześniejszych dokumen-
tów chrześcijańskich, listów Pawła, i to
nie wybranych przypadkiem, ale do tego
najważniejszego, zwanego niekiedy jego
testamentem”. Biskupi, zdaniem Con-
nelly’ego, pominęli zatem całą tradycję,
wszystkich doktorów Kościoła i sięgnęli
do dwóch rozdziałów Pawła, ale też nie
całych, tylko trzech wyrwanych z kon-
tekstu zdań, co pozwoliło im przewrócić
do góry nogami cały sens rozumienia
judaizmu. I to się ma nazywać... katolic-
kim podejściem!

O ile ks. Pawlikowski domaga się pod
koniec swojego artykułu interwencji od
władz polskiego Kościoła, o tyle profesor
z Berkeley idzie jeszcze dalej. Najpierw
ogłasza, że „Lisicki nie słyszał o Soborze
Watykańskim II”. Spokojnie, panie profes-
rze, odpowiedziałbym, słyszałem, podob-
nie jak i o tym, że trzeba oddzielić realny
Sobór od jego Ducha lub może, jak mówił
Benedykt XVI, anty-Ducha.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



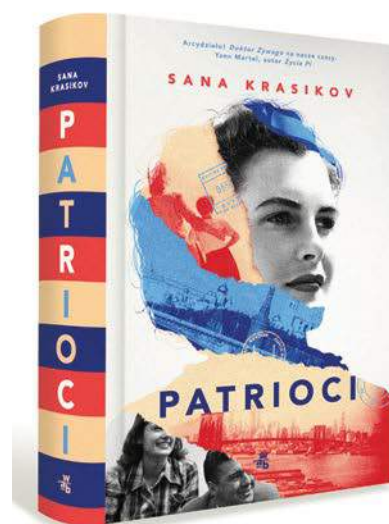
*Tekst ten oparty jest na przedmowie
do drugiego wydania książki „Kto
zabił Jezusa?”, wydawnictwo M, 2018 r.
Pierwszy raz obszernie fragmenty
książki zostały opublikowane
w wydaniu tygodnika „Do Rzeczy”
z 4-10 marca 2013 r.*



Co poświęcisz dla idei?

PATRIOCI

SANA KRASIKOV



**Wielka powieść o Amerykanach
zafascynowanych ideami
komunizmu, którzy osiadają
w Rosji Sowieckiej,
ze wszystkimi tego
konsekwencjami.**

**Arcydzieło! Doktor Żywago
na nasze czasy.**

Yann Martel, autor *Życia Pi*

W
ab

YORK
MAY 1931





Premier



Wojciech Wybranowski

Premier Mateusz Morawiecki wciąż ma duży kredyt zaufania u lidera PiS. Poparcie szefa rządu w partyjnych dołach już tak dobrze nie wygląda

Dryfowanie – takim słowem określił sto dni rządów premiera Mateusza Morawieckiego jeden z internautów sympatyzujących z PiS, podkreślając, że nadal czeka na daleko idące zmiany społeczno-ustrojowe w Polsce. Podobnych opinii wśród

popierających władzę jest wiele. Jednak w kulisach Sejmu i partyjnych dołach PiS coraz częściej słychać plotki o rosnącym zniecierpliwieniu Jarosława Kaczyńskiego i symptomach rozczarowania pierwszym kwartałem rządów nowego premiera.

„Do Rzeczy” postanowiło sprawdzić, ile prawdy jest w plotkach o spadającym zaufaniu Kaczyńskiego do premiera; o rzekomo gorszych stosunkach między liderem Prawa i Sprawiedliwości a szefem rządu; o tym, jak to Kaczyński miał się „wściec” na szefa prawicowego rządu, i wreszcie – bo takie doniesienia też się pojawiły w mediach – czy w kierowniczym gronie PiS zastanawiano się nad alternatywą, jaką miałyby być powrót Beaty Szydło na stanowisko szefa rządu. Okazuje się, że w tych wszystkich plotkach prawdy jest niewiele. Chociaż jeśli Morawiecki szybko nie upora się z najważniejszymi problemami i nie zdoła narzucić w publicznym



dyskursie swojej narracji, może stracić status ulubieńca prezesa.

NIE TONIE, ALE...

Problemów, z którymi premier musiał się zmierzyć w ciągu pierwszych trzech miesięcy rządów, nie brakuje. Miał wygaszczyć konflikty wewnątrz rządu, poprawić stosunki z partnerami Polski w Unii Europejskiej i zakończyć spór z Komisją Europejską. Przełomu w tych sprawach nie widać, a w dodatku wybuchł konflikt z Izraelem, co wpłynęło na ważne dla Polski relacje ze Stanami Zjednoczonymi.

Jak twierdzą nasi informatorzy – to miało sprawić, że podczas jednego z ostat-

nich posiedzeń Komitetu Politycznego PiS Morawiecki miał usłyszeć kilka gorzkich słów krytyki, na razie bardzo ostrożnej, od osób związanych z dawnym „Zakodem PC”, czyli frakcją tworzoną przez wieloletnich współpracowników Jarosława Kaczyńskiego. Przez pierwsze dwa lata rządów PiS większość z nich została odsunięta od realnego wpływu na władzę, teraz jednak, wraz ze zmianą gabinetu, ich znaczenie znów wzrosło.

– To nie było żadne ultimatum, miażdżąca krytyka, raczej wyraz niezadowolonia, że sprawy idą zbyt wolno, że rząd wpakował się w konflikt, z którego nie bardzo potrafi wybrnąć, i wreszcie, iż

kilka miesięcy przed wyborami samorządowymi zaliczamy straty wizerunkowe, które są całkiem niepotrzebne – opowiada jeden z naszych informatorów, z kręgów bliskich Beacie Szydło. Zauważa też jednak: – Znamienne jest jednak to, że gdyby nie było przynajmniej cichego przyzwolenia prezesa Kaczyńskiego, żaden z krytyków nawet by nie pisnął.

Morawiecki musi liczyć się z tym, że stara gwardia PiS, której nie podoba się, iż Kaczyński nadal ma ponoć myśleć o Morawieckim jako ewentualnym przyszłym liderze obozu dobrej zmiany, wykorzysta każde jego potknięcie. Niechęć wpływowych polityków PiS zwiększyło

FOT. ALEKSANDRA SZMIDT/REPORTER



■ odchudzenie rządu i zdymisjonowanie dwudziestu wiceministrów, a także zapowiedź przyszłej likwidacji premii i nagród dla ministrów i wiceministrów. Na wiceministerialną „czystkę” miał osobistą zgodę Kaczyńskiego. Jednak uderzyło to w imperia ludzi z obozu Zjednoczonej Prawicy i z pewnością na Nowogrodzkiej wydłużą się kolejki rozżalonych, skarżących się Kaczyńskiemu na premiera.

– Zarówno słabą, jak i silną stroną Morawieckiego jest to, że nie zbudował i nie próbuje zbudować wewnątrzpartyjnej frakcji. Słabością, bo nie ma przeciwwagi na docierające na Nowogrodzką jęki rozżalonych, że burzy status quo. Silna strona to fakt, że będąc zależnym od Kaczyńskiego, odpłaca mu się lojalnością, a prezes to docenia – mówi nam jeden z wiceministrów w rządzie Morawieckiego, który ocalał z niedawnej „czystki”.

ZAUFANIE PREZESA

„Niezwykle zdolny człowiek. Może najzdolniejszy w polskiej polityce po 1989 roku” – komplementował Morawieckiego prezes PiS Jarosław Kaczyński w grudniu ubiegłego roku, po exposé wygłoszonym w Sejmie przez nowego premiera. Czy jednak ciepły stosunek Kaczyńskiego do syna Kornela Morawieckiego nie osłabł wraz z problemami na arenie międzynarodowej i spadkami poparcia dla PiS? Według ostatniego sondażu IBRS dla Onet.pl poparcie dla PiS nadal było wysokie (37,1 proc.), ale w porównaniu z wcześniejszym badaniem spadło o 2,6 pkt proc. W dodatku – o czym w lutym informował dziennik „Fakt” – prezes PiS miał „być wściekły” na Morawieckiego po tym, jak odpowiadając na prowokacyjne pytania izraelskiego dziennikarza o rzekomej polskiej współodpowiedzialności za Holocaust, zripostował, że „tak samo byli żydowscy sprawcy, tak jak byli rosyjscy czy ukraińscy, nie tylko niemieccy”, co izraelskim mediom pozwoliło na kolejne podgrzanie dogasającej już wówczas awantury wokół nowelizacji ustawy o IPN.

– Nie było awantury. Jasne, premier mógł użyć nieco ostrożniejszych sformułowań, ale wszyscy mamy świadomość, że nasz twardy elektorat uznał reakcję Morawieckiego za obronę polskich interesów, polskiej racji i prawdy historycznej. Obronę, której przez lata żaden polski rząd nie realizował – twierdzi członek gabinetu Morawieckiego, polityk PiS.

To, że wbrew medialnym spekulacjom nie doszło do gwałtownego pogorszenia

relacji Kaczyński – Morawiecki, potwierdzają inni politycy PiS. Mówią o nieoficjalnych obiadach, które odbywają się poza siedzibą partii. Morawiecki i Kaczyński mają w ich trakcie dyskutować o sytuacji w Polsce, o strategiach działania i możliwym rozwoju sytuacji. To właśnie podczas jednego z takich prywatnych spotkań zorganizowanego u przyjaciół Kaczyńskiego, na które prezes PiS zaprosił również Morawieckiego, szef rządu dostał zgodę na „odchudzenie” ministerstw. – Kaczyński na takie spotkania w gronie przyjaciół zabiera tylko ludzi, którym ufa, i udział w nich to wyraz uznania, wyróżnienie. Tymczasem podobne spotkania Kaczyńskiego i Morawieckiego według mojej wiedzy odbywają się regularnie. Mam wrażenie, że prezes bardzo ceni możliwość takiej intelektualnej dyskusji z Morawieckim – opowiada nam jeden z wiceministrów.

Podczas nieoficjalnych obiadów poza siedzibą partii Morawiecki i Kaczyński dyskutują o strategiach oraz rozwoju sytuacji w Polsce

Kornel Morawiecki, legendarny przywódca Solidarności Walczącej i ojciec premiera, przyznaje, że niedawno sam miał okazję uczestniczyć w takim spotkaniu. – Może dwa, trzy tygodnie temu byłem na spotkaniu z Jarkiem, rozmawialiśmy przy kolacji na wiele tematów, także dotyczących polskiej polityki, i bardzo ciepło wyrażał się o moim synu – mówi „Do Rzeczy”. – Usłyszałem nawet: „Dziękuję ci za Mateusza”. Powtórzył też to, co już mówił publicznie, że to jest po 1989 r. jedna z najwybitniejszych postaci polskiej polityki. Może przesadzał, ale wie pan, jaka to przyjemność dla ojca słyszeć takie słowa? – dodaje. Gdy pytamy, czy Morawiecki junior często spotyka się z prezesem PiS i konsultuje decyzje, nasz rozmówca odpowiada ze śmiechem: – Nie pytałem, ale myślę, że częściej się spotykają niż ja z Mateuszem.

Zdaniem ojca premiera o dużym zaufaniu do jego syna decydują z jednej strony jego przygotowanie merytoryczne, dobre relacje ze światem zachodniego biznesu i finansów, a jednocześnie zaangażowanie w działalność promującą polską historię i wzmacniającą państwowość.

Jeden z bliskich współpracowników Morawieckiego, który wcześniej współprowadził kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości, przypomina słowa Jarosława Kaczyńskiego, które prezes PiS powiedział w wydanej przed laty książce, wywiadzie rzece „O dwóch takich. Alfabet braci Kaczyńskich” autorstwa Piotra Zaremby i Michała Karnowskiego: – Jarosław powiedział tam, że premierem powinien być albo prezes partii, albo człowiek, który ma głowę jak komputer. I właśnie za takiego człowieka uważa Morawieckiego. Prezes bardzo ceni ludzi, którzy mają wiedzę o gospodarce i potrafią go do swoich pomysłów przekonać. Na pewno pamięta pan, jaką estymą otaczał Zytę Gilowską czy Romana Kluskę?

PARTIA NIEPRZEKONANA

Morawiecki ma jednak problem z przekonaniem do siebie sympatyków PiS w terenie, zwłaszcza w średnich i małych miasteczkach. Twardy elektorat partii nie do końca zrozumiał powody usunięcia Beaty Szydło. – Miała coś takiego, co ma też prezydent Duda. Wychodzą do ludzi, ściskają im ręce, a ludzie się do nich garną, opowiadają o sobie, machają chorągiewkami. Morawiecki też na spotkaniach wychodzi do tłumu, ściska ręce, ale wielkich pozytywnych emocji w tym nie ma – opowiada nam działacz PiS z południa Polski.

Dzisiejsza wicepremier Szydło wie, że wielu wyborców chciałoby kolejnej zmiany – żeby to ona znów zajęła miejsce Morawieckiego. Dbą więc o podkreślenie swojej niezależności. Na ubiegłotygodniowym TweetUpie w kancelarii premiera pojawiła się nieco spóźniona – oficjalnie z powodu ważnego spotkania, z którego nie mogła wyjść wcześniej. Nie znalazła się więc tym samym w gronie ministrów otaczających wianuszkami Morawieckiego. Jej pojawienie się w czerwonej garsonce przyciągnęło uwagę internautów i dziennikarzy. – Beata jest politykiem, który nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, i na pewno będzie chciała odegrać jeszcze znaczącą rolę na scenie politycznej. Jednak Mateusz szybko się uczy funkcjonowania w polityce i pola łatwo nie odda. Czy dojdzie do poważniejszej rywalizacji między nimi? Dopóki Morawiecki ma jednoznaczne poparcie prezesa, to z pewnością nie – mówi jeden z ministrów jego gabinetu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MARCIN WIDONTEK/EAST NEWS

Z Markiem Jakubiakiem,
biznesmenem, posłem klubu Kukiz'15
rozmawia Wojciech Wybranowski

Politycy nie mają wyobraźni

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Wirtualna Polska napisała, że pieniędzmi otrzymywanymi z Sejmu na działalność parlamentarną płacił pan za publikacje o sobie i swojej aktywności w Sejmie gazecie „Tygodnik Ilustrowany”, która de facto należy do pana, czyli płacił pan publicznymi pieniędzmi sam sobie. Dziennikarze piszą też o biurze poselskim na terenie pańskiego browaru...

MAREK JAKUBIAK: Co tu komentować... Według mnie rozpoczęła się już lokalna kampania wyborcza i władze Ciechanowa zaczynają nerwowo reagować. Moje biuro poselskie, które znajduje się przy ul. Kilińskiego 8 w Ciechanowie na terenie moich browarów, nie pociąga za sobą żadnych wydatków podatnika. Natomiast jeśli chodzi o „Tygodnik Ilustrowany”, to po prostu zamawiam w nim ogłoszenia, pokrywam ich koszty zgodnie z cennikiem, tak samo jak kilku innych parlamentarzystów kupujących w nim materiały reklamowe. Jak mógłbym ogłoszenia o spotkaniach z wyborcami, o funkcjonowaniu mojego biura otrzymywać za darmo? Przecież byłoby to działanie na szkodę spółki wydającej „Tygodnik”. Natomiast w związku z wątpliwościami mediów poproszę teraz Biuro Analiz Sejmowych o sprawdzenie, czy było to działanie prawidłowe – nie mam przecież jeszcze aż tak dużego doświadczenia parlamentarnego. I w ogóle nie chodzi mi tu o pieniądze. Jeśli eksperci odpowiedzą, że popełniłem błąd, to natychmiast kwoty wydane na ogłoszenia w tygodniku zwrócę do Sejmu. To żaden problem.

Ważniejszy jest biznes czy polityka?

Zdecydowanie biznes. Biznes to poważne wyzwanie, kampania, w której trzeba stoczyć i wygrać wiele bitew, by pójść dalej, natomiast polityka jest sztuką wirtualnej



■ przestrzeni intelektualnej. Widzę w tym pewien problem, ponieważ – mam takie wrażenie – większość polityków nie nadąża za zmianami, które zachodzą w Polsce. Dlaczego? Bo nie mają wyobraźni niezbędnej do skutecznego uprawiania polityki, czyli sztuki abstrakcyjnego myślenia. Podobnie zresztą jest w biznesie, też bez wsparcia wyobraźni nie ma szans.

W maju ubiegłego roku media donosiły, że pana majątek to ok. 60 mln zł...

Czytał pan nieaktualny już artykuł (śmiech). W tej chwili podchodzę do kolejnej inwestycji, otwieram browar w Darłowie. To zupełnie nowe spojrzenie na działalność piwowarską, ponieważ takich browarów średniej klasy już się w Polsce nie buduje. Zobaczymy, może uda mi się przełamać to tabu. Traktuję całą sprawę jako poważne wyzwanie, kolejną życiową bitwę, którą trzeba wygrać. Mam już pozwolenie na budowę – trzy lata trwało, zanim ją dostałem – no i ruszamy. Nie zdradzę szczegółów biznesplanu, natomiast jeżeli chodzi o ogólny zarys projektu, to powiem panu, że w Darłowie stanie browar z możliwością turystyki, interaktywnego zwiedzania, wielką restauracją z salą konferencyjno-balową.

Słyszałem też, że będzie pan produkował whisky.

Nie „będę”, tylko już produkuję. W moich leżakowniach leży ponad 40 tys. litrów destylatu whiskyowego i prawdę powiedziawszy, pierwsza partia 2 tys. butelek mojej whisky jest już za nami. Oczywiście nie jest to produkcja na skalę masową, moja whisky nie trafi do marketów. Będzie to bardziej whisky dla kolekcjonerów, zwłaszcza że każda jest inna – od różowej do jasnej. Jestem z tej mojej

whisky bardzo dumny. To nowe doświadczenie biznesowe, które daje mi więcej frajdy niż warzenie piwa. Zwłaszcza że każda partia po leżakowaniu może smakować inaczej, to naprawdę wielka przyjemność, jak się ją degustuje i za każdym razem ona odmiennie smakuje.

Powiedział pan kiedyś, że do Sejmu powinno się chodzić „w sprawach, a nie po pieniądze”. Jednak udział w polityce poprawia znacząco możliwości biznesowe. Wszak dowiaduje się pan jako jeden z pierwszych, jakie będą wprowadzone nowe przepisy, poprawki do obowiązujących przepisów...

Mam trudną sytuację. Żeby nie być posądzonym o lobbing czy nie być oskarżanym o to, że działam na własną korzyść, często wychodzę z dyskusji, które oscylują w granicach moich zainteresowań biznesowych. Natomiast pracując nad zmianami w prawie dotyczącymi kwestii gospodarczych, nad rozwiązaniami dla biznesu, mogę z czystym sumieniem mówić, że niektóre ścieżki już przeszedłem, że znam błędy. Mogę wskazać ewentualne rozwiązania i widzę, że moje wskazówki są słuchane. Jeżeli byłoby nas, przedsiębiorców, w parlamencie więcej, to moglibyśmy nie tyle lobbować na rzecz swoich przedsiębiorstw – bo to jest nieetyczne – ile wprowadzić racjonalizm „przyziemny”. Może udałoby się doprowadzić np. do tego, że dwa plus dwa równa się cztery i kropka.

„Polityka to brak czasu dla rodziny”. To także pańskie słowa. Chciałem więc zapytać, jak pan sobie z tym radzi. Ma pan troje dzieci, najstarszy syn jest wiceprezesem w browarach.

Już obejmuje odrębny browar, awansuje. Ma 31 lat. To ten wiek, w którym trzeba pomyśleć o własnej rodzinie i odpowiedzialności, więc obejmuje browar w Bojano-

wie i zaczyna samodzielnie działać, co mnie bardzo cieszy. A wracając do pańskiego pytania – polityka dzieli rodziny. Zdarza się, że przy tym świątecznym stole pojawiają się po dwie, trzy racje polityczne i święta zamiast mając w cieplej rodzinnej atmosferze, zaczynają być bardzo przykre, pełne wzajemnych konfliktów i sporów o to, który polityk jest głupi, który złodziejem, a który zdrajcą. Za bardzo pozwolił mi, by polityka weszła do naszych domów i wpłynęła na stosunki wewnątrz rodziny. I jest to również przytyk pod adresem pana i innych mediów, bo przecież nieustannie politykę pokazujecie. Niezależnie od tego muszę przyznać, że dla dzieci czasu nie mam. Polityka ukradła mi ten czas. Nawet wtedy, gdy się nią nie zajmuję, to i tak o niej myślę.

A myśli pan o Justynie Samolińskiej? Działaczka partii Razem twierdziła, że składał jej pan, delikatnie mówiąc, niemoralne propozycje.

Raz w życiu tę panią widziałem. Dobrze, że przypomniał mi pan jej nazwisko, bo zupełnie go nie pamiętałem. Jeśli chodzi o jej absurdałne oskarżenia, to cóż... Złożyłem przeciwko niej do sądu pozew o zniesławienie, domagam się od niej wpłaty odszkodowania dla Stowarzyszenia na rzecz Nowej Konstytucji i czekam na proces. Z informacji, jakie otrzymałem od mojego prawnika, wynika, że dla tej pani odpowiedź na pozew pisze jedna z najdroższych w Europie kancelarii prawnych, co mnie, przyznaję, dodatkowo rozbawiło. Niech pan powie – jak to się dzieje, że z takiej rzekomo biednej partycji Razem, socjalistów mających pełne usta troski o najbiedniejszych, nagle może się zrobić podmiot wspierany przez europejskich bogaczy?

Wygrał pan już proces z Tomaszem Lisem, redaktorem naczelnym „Newsweeka”, za artykuł w tej gazecie, w którym zarzucono, że w początkach działalności biznesowej miały panu pomagać osoby związane z trójmiejską mafią.

Zdaje się, że Tomasz Lis od wyroku się odwołał, natomiast nie ma szans, by proces wygrał. Będzie musiał mnie przeprosić. I obiecuję, że tego dopinuję.

Co pan sądzi o planach debekizacji w wojsku i ewentualnym pozbawieniu komunistycznych oficerów – Jaruzelskiego, Kiszcza, Siwickiego – stopni generalskich? Sam był pan żołnierzem.

Idąc do wojska, nie zastanawiałem się nad tym, czy ono jest ludowe czy nie. To nie było dla mnie ważne. Chciałem latać, tak jak Skalski, chciałem być pilotem. I nie przypominam sobie – oczywiście oprócz takich ludzi, którzy co prawda czerwonych otoków nie nosili, ale byli oficerami politycznymi – by wojsko polskie, mówię tu o liniowych jednostkach, odbiegało od dobrych wzorców. Nosiliśmy oficjalnie, co prawda, orzełki bez korony otoczone skrzydłami husarskimi. Jednak co z tego, skoro my i tak na łańcuszku nosiliśmy orzełki w koronach. Młode chłopaki byliśmy i chcieliśmy w ten sposób demonstrować swoje poglądy. I to pokolenie nie miało nic wspólnego z tym, co dzisiaj czasami słyszę – że LWP była organizacją przestępczą. Trzeba mieć coś z głową, by tak twierdzić.

Pan mówi o młodych żołnierzach, którzy szli do wojska na dwa lata, a ja mówię o wysokich oficerach sztabowych. Tych, którzy decydowali o czystce w 1968 r., którzy wysyłali wojsko przeciw Polakom w czerwcu 1956 r., w grudniu 1970 r. czy w stanie wojennym.

Nie mam wątpliwości, gdy chodzi o dowódców typu

Siwicki, Jaruzelski, Kiszczak, że jeżeli działali na dwie strony i będąc w wojsku polskim służyli Związkowi Radzieckiemu, to są zdrajcami. Natomiast mam wątpliwości jako były żołnierz, czy z trupami należy walczyć. Był czas, gdy należało Jaruzelskiemu spojrzeć w oczy i powiedzieć mu prosto w twarz: Zdrajco! Dzisiaj to już nie jest ten moment. Wewnętrznie nie zgadzam się z tym, by po śmierci danej osoby nabierać odwagi i walczyć ze zmarłymi.

Przeszłość odgrywa ostatnio dużą rolę w politycznych wojnach. Na przykład w sporze Polski z Izraelem o to, kto ponosi odpowiedzialność za Holocaust. Pan sam wywołał małą burzę, mówiąc, że znamy przykłady Żydów, którzy wydawali swoich braci. To fakt, o którym od lat się publicznie nie mówi.

Bo to już jest „antysemityzm”. Dopóki Izraelczyk mówi o Polaku źle, dopóty to jest dla nich wszystko dobrze. Jeśli Polak prostuje i mówi: „Chwileczkę, sami macie sporo na sumieniu”, to jest już źle. Gorzej, Żydzi, by użyć wobec przeciwnika pałki antysemityzmu, potrafią nawet wyrwać jego wypowiedź z kontekstu, czego sam doświadczyłem. Kiedyś w Polskim Radiu 24 komentując wypowiedź pani, która w TVN24 twierdziła, że „Polacy z Żegoty dostawali pieniądze, za które mieli ratować Żydów, ale te pieniądze kradli, więc Żydów uratowali niewielu”, powiedziałem: Co będzie, jeśli spytam, ilu Polaków w analogicznej sytuacji, po 17 września, uratowali Żydzi przed sowieckimi zbrodniami? Hejt, który mnie spotkał – również ze strony Żydów – za tę wypowiedź, spowodował, że zaczynam się zastanawiać, czy cała ta sytuacja wokół ustawy o IPN, kolejne wydarzenia, to nie jest element zwykłej prowokacji. Proszę sobie wyobrazić, że

niedawno w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN była dyskusja o antysemityzmie i ta moja wypowiedź została zacytowana jako przykład współczesnego antysemityzmu Polaków! Ja sobie takich oszczerstw, takich manipulacji, robienia z igły wideł, nie życzę. Nie wiem, z kim walczyć Izrael, ale jeśli chcą zdeprecjonować naród polski, mówiąc, że tylko oni, Żydzi, mają prawo mówić o cierpieniu podczas II wojny światowej, to są w głębokim błędzie. Zależy mi, by polski rząd, by zainwestował kilkaset milionów dolarów i zbudował polską stację telewizyjną w Stanach, pokazującą europejską rzeczywistość widzianą oczami Polaków.

W 2015 r. Jacek Kurski mówił o zbudowaniu angielskojęzycznej stacji. Został prezesem TVP, ale stacji jak nie było, tak nie ma. Amerykanie i Izrael mają media, my mamy tylko rację.

Otóż to! Trzeba zbudować studio, wykupić częstotliwości, puścić przekaz również do Internetu. Jednak nie z Polski, tylko ze Stanów, z okolic Chicago. Musimy mieć silne narzędzie, które będzie odpowiedzią na antypolską narrację, jaką różne środowiska szerzą obecnie w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli chcemy mieć z Amerykanami dobre relacje, również wojskowe, to musimy na tę propagandę odpowiadać, pokazując i tłumacząc, gdzie leży prawda, zwłaszcza zwykłym amerykańskim obywatelom. Rozpaczliwie naprawiamy stosunki z krajami UE. Jednak niezbyt skuteczną narrację o Polsce w UE zbudowano dokładnie w taki sam sposób, w jaki dziś próbuje się ją zbudować w Stanach. Czy tego nikt z rządzących nie widzi? Dobrze, że do Stanów jeździ i rozmawia minister Marek Magierowski. Natomiast powtórzę – jeżeli nie będzie-

my mieli tam własnej stacji telewizyjnej pokazującej nasz punkt widzenia, to Amerykanie nie uwierzą, że Polska i Polacy to głupki, niedorozwoje, awanturnicy, prymitywne, pijane dzikusy. To już się dzieje, bo taka narracja jest w Stanach wciskana bez skutecznej reakcji z naszej strony. Nie zapomnę kubka, który mi jeden z nowojorskich Żydów przywiózł i myślał, że to jest bardzo dowcipne. Wie pan, jak według nich wygląda kubek Polaka?

Jak?

Ucho ma w środku. Że niby Polacy są tacy głupi. Tak w Nowym Jorku nas się pokazuje.

Wracając na polskie podwórko. Jak wyglądają przygotowania ruchu Kukiz'15 do wyborów samorządowych? Jakiś czas temu pojawiły się pogłoski o planowanym sojuszu z partią Korwin-Mikkego?

To już nieaktualne. Nie ma już planów wspólnej listy z JKM. A co do wyborów – jestem pełnomocnikiem ds. Mazowsza i u nas dużo się dzieje. Powołaliśmy pełnomocników powiatowych, tworzymy listy osób chcących kandydować, przygotowujemy się. Tyle że w mediach narodowych pan o tym nie usłyszy, bo Nowoczesna ma więcej czasu antenowego w TVP i TVP Info niż Kukiz'15. Ja np. mam tzw. bana, czyli nie zaprasza się mnie do mediów narodowych.

Korzystając z tego, że u nas pan właśnie jest, chciałbym zapytać o zwyczaje wielkanocne. Są w pana rodzinie jakieś regionalne zwyczaje?

Muszą być żurek, jajko, biała kiełbasa, „zajaczek” po mszy świętej. Zawsze, odkąd pamiętam, Wielkanoc miała dla mnie kolor żółty. Zawsze na stole wielkanocnym są u nas jajeczka, kurczaczek i bukiety żonkili. Zawsze. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

**Dołącz do ludzi
o WIELKICH sercach**

Przekaż 1% podatku KRS: 000 000 4522



www.hospicjum.lublin.pl  **Lubelskie Hospicjum dla Dzieci
im. Małego Księcia**

Materiał promocyjny został sfinansowany
ze środków finansowych pochodzących
z 1% podatku dochodowego
od osób fizycznych.

Maciej
Pieczyński

Wpadki byłego szefa MSZ będą pamiętane jeszcze długo. Jednak pogłoski o politycznej śmierci Witolda Waszczykowskiego są mocno przesadzone

FOT. RAFAŁ OLESIEWICZ/REPORTER

Był głównym bohaterem medialnej telenoweli pt. „Planowana rekonstrukcja rządu”. To właśnie nazwisko ministra spraw zagranicznych pojawiało się najczęściej w kontekście dymisji. Witold Waszczykowski stał się bardzo łatwym celem do atakowania przez opozycję przede wszystkim z powodu licznych wpadek, lapsusów, przejęzyczeń, które w opinii publicznej przesłaniały zarówno poważne błędy, jak i realne zasługi szefa dyplomacji. Zaslęgnął także z kwiecistego języka, który u publicysty byłby zaletą, u ministra spraw zagranicznych już, delikatnie pisząc, niekoniecznie. „Mamy okazje prawie do 20 spotkań z różnymi ministrami. Z niektórymi, jak np. na Karaibach, po raz pierwszy chyba w historii naszej dyplomacji. Na przykład z takimi krajami jak San Escobar czy Belize” – to niestety chyba najbardziej znana i najczęściej cytowana wypowiedź Waszczykowskiego jako ministra. O nieistniejącym państwie San Escobar powstały nawet prześmiewcze piosenki. Mało kto jednak pamięta, że minister spraw zagranicznych zaliczył tę „geograficzną” wpadkę podczas rozmowy z dziennikarzami, tuż

problemem było przejęzyczenie, a dziś „marzymy o tym, żebyśmy się tylko śmiali z San Escobar”. „Niestety, rzeczywistość tak było, mimo licznych sukcesów dyplomacji w dwóch ostatnich latach [...] stygmatyzowano, szydzono i wymyślano rzekome wpadki z jakichś lapsusów” – bronił się były szef MSZ. W wielu swoich wypowiedziach Waszczykowski twierdzi, że wpadki były „kreowane” przez jego przeciwników. Mazurkowi nie dał się sprowokować do oceny działań swojego następcy.

Tak czy inaczej, porównania narzucają się same. Waszczykowski miał to szczęście, że ustawa, która wywołała być może największą dyplomatyczną burzę podczas tej kadencji PiS, została uchwalona już po jego odejściu. – Nie mam z tego powodu żadnej satysfakcji czy schadenfreude – zapewnia w rozmowie z „Do Rzeczy” były szef MSZ. – Wszyscy wiedzieli, że to, co można było uzyskać na ten czas, uzyskaliśmy w ciągu dwóch ostatnich lat. Było wiadomo, że następne miesiące czy lata będą trudne. Jestem w kontakcie z ministrem Czaputowiczem i jestem gotów pomagać – dodaje.

Profesor Rafał Chwedoruk uważa, że awantura wokół nowelizacji ustawy

Dyplomata z

po zakończonych ostatecznie sukcesem negocjacjach w sprawie miejsca dla Polski w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. – Jeżeli ktoś od tylu lat funkcjonuje w polityce, to normalne, że co paręnaście dni zdarzy mu się jakaś wpadka językowa. Natomiast na mnie został przypuszczony wściekły atak ze strony tych, którzy nie potrafili podjąć ze mną merytorycznej dyskusji – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Witold Waszczykowski.

SUKCESY DYPLOMACJI I PREMIE

Jacek Czaputowicz miał przynieść dobrą zmianę przede wszystkim pod względem wizerunkowym. Konciliacyjny, spokojny ton nowego szefa MSZ nie zdołał jednak zapobiec lawinie międzynarodowej krytyki, która spadła na Polskę po uchwaleniu nowelizacji ustawy o IPN. W tym kontekście Robert Mazurek na antenie Radia RMF FM zapytał Waszczykowskiego, czy nie ma wrażenia, że kiedyś największym

o IPN będzie per saldo działać na korzyść oceny dorobku Witolda Waszczykowskiego. Politolog używa przy tym barwnego porównania. – Tuż po klęsce wrześniowej nowe polskie władze wszczęły śledztwo przeciwko piśsudczykom, którzy w powszechnym przekonaniu byli uważani za winnych tej katastrofy. Jednak gdy niecały rok później dość szybko Niemcy pokonali Francję, sanacyjni politycy mogli podnieść głowy. Okazało się bowiem, że na tle potężnego sojusznika nie wypadliśmy wcale najgorzej. Zachowując wszelkie proporcje i patrząc z przymrużeniem oka, właśnie tak może być w przypadku Witolda Waszczykowskiego – mówi prof. Chwedoruk. I dodaje: – Na tle obecnej sytuacji, można powiedzieć, że były szef MSZ jest wręcz symbolem udanych relacji z USA, bez których trudno byłoby sobie wyobrazić ustabilizowanie swoich rządów przez PiS. Co innego już np. stosunki z Ukrainą. W relacjach z Kijowem próbowaliśmy asertyw-

ności, co skończyło się tym, że dostaliśmy, mówiąc metaforycznie, prawym prostym w twarz. Generalnie z merytoryczną oceną dorobku Waszczykowskiego jako ministra przyjdzie jeszcze poczekać.

Sam Waszczykowski nie ma problemu z oceną swojego dorobku. Udowodnił to, gdy w mediach wybuchła afera związana z wysokością premii przyznanych ministrom. Utrata wizerunku partii skromnych ludzi, którzy dbają o najuboższych, jest dla PiS większym zagrożeniem niż międzynarodowe awantury z polityką historyczną w tle. Premier Morawiecki zdecydował się oddać swoją premię na cele charytatywne. Witold Waszczykowski, zapytany, czy zrobi to samo, stwierdził, że taki krok byłby niemożliwy, ponieważ te pieniądze zostały już zaksięgowane i został odprowadzony od nich podatek. A tak poza tym, jak stwierdził otwarcie, „to uczciwie zarobione pieniądze za sukcesy dyplomacji polskiej”. – Przecież nikt z nas, ministrów, nie wręczał sobie osobiście tych premii. To były decyzje podejmowane w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, wynikające z konkretnych zasług, zaangażowania. Takie premie dostawali również ministrowie

prezydenci, był też prezydent Chin i wielu innych przywódców? Kto to robił? Kto namawiał? Kto przekonywał? Kto te wizyty organizował? Dyplomacja, którą kierowałem – mówi Waszczykowski. – Zdobyliśmy miejsce w RB ONZ na dwa lata, nawet nikt z Unii Europejskiej nie zgłaszał przeciwko nam pomimo debaty, jaka toczy się na nasz temat w UE. To ważny instrument, nasi następcy będą mieli okazję się popisać i to wykorzystać – dodaje.

PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

Tymczasem warto przypomnieć, że Witold Waszczykowski pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych od początku lat 90. Doświadczenia (m.in. wiceszef MSZ, wiceszef BBN) i przygotowania intelektualnego (studiował w USA i Szwajcarii, napisał doktorat na temat „Stany Zjednoczone a strategiczne rokowania rozbrojeniowe 1919–1936”) nie odmawiają mu nawet jego przeciwnicy. A jednak gdy był ambasadorem w Iranie, usłyszał od swojego ówczesnego przełożonego Władysława Bartoszewskiego: „Pan nie jest dyplomatą. Pan ma poglądy. Pan będzie ministrem”. Zdaniem prof. Chwedoruka problemem

pracował w jednej z parlamentarnych grup bilateralnych, np. polsko-amerykańskiej, albo wystartuje w wyborach do europarlamentu. Rozważa też kontynuację zarzuconej pracy naukowej. – Być może spróbuję zrobić habilitację, do której już zbierałem materiały. Na jaki temat? To już słodka tajemnica, ale z pewnością będzie dotyczyć spraw międzynarodowych: polityki zagranicznej jednego z ważnych krajów, który od czasu do czasu pojawia się na czołówkach gazet. Jaki to kraj? Można spekulować, jeśli spojrzeć, w jakich krajach pracowałem – mówi Witold Waszczykowski.

Niedawno w rozmowie z Interią były szef MSZ powiedział, że być może za jakiś czas w pamiętnikach odsłoni kulisy sprowadzenia do Polski Komisji Weneckiej. – Na pewno kiedyś napiszę swój polityczny pamiętnik, postaram się wytłumaczyć pewne procesy, w których brałem udział przez lata pracy w dyplomacji. Jednak jeszcze na to za wcześnie, bo mam dopiero 61 lat i nie wybieram się na emeryturę – mówi „Do Rzeczy” Waszczykowski.

Chociaż jako szef MSZ zapisał się w opinii publicznej głównie za sprawą wpadek, a nie sukcesów, na politycznej scenie

temperamentem

PO. Nie bardzo rozumiem, o co ta dyskusja – tłumaczy Witold Waszczykowski. – Nie dostałem jednorazowo 72 tys. zł. Premie wystawiane były na przestrzeni całego okresu mojego urzędowania. Można oczywiście zrobić z tego kumulację i epatować tym społeczeństwo, natomiast jeżeli to się rozłoży na ponad dwa lata, to wcale nie są to jakieś wielkie pieniądze, które powinny budzić aż taką zazdrość – dodaje.

Wśród sukcesów dyplomacji, za które należała się premia, Waszczykowski wymienił wizyty w Polsce amerykańskich prezydentów, papieża Franciszka, obecność wojsk NATO, tarczę antyrakietową, niestałe członkostwo Polski w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. – Czy bezpieczeństwo Polski zostało podniesione w wyniku działań dyplomacji na rzecz obecności wojsk amerykańskich w Polsce? Zostało! Czy prestiż Polski nie został podniesiony przez to, że odwiedził nas Ojciec Święty, że dwukrotnie odwiedzili nas amerykańscy

Waszczykowskiego jako dyplomaty był nie tylko polityczno-publicystyczny temperament. – Pamiętajmy, że PiS jest niemalże debiutantem w roli partii rządzącej. Lata 2005–2007 to był właściwie epizod, od tamtego czasu wiele się zmieniło – analizuje politolog. Zwraca też uwagę na to, że Waszczykowski swoje życie publiczne rozpoczął w latach 90., kiedy obecność w mediach ograniczała się do krótkich wystąpień w telewizji i wywiadów dla prasy, zaś w dobie współczesnych mediów elektronicznych każdy lapsus urasta do rangi wielkiego wydarzenia.

Witold Waszczykowski spełnił już swoje największe zawodowe marzenie, jakim było przewidziane przez Bartoszewskiego stanowisko ministra spraw zagranicznych. Co dalej? Przede wszystkim chciałby nadal pracować w dyplomacji. Być może wygrzybie Grzegorza Schetnę i zostanie przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Być może będzie

zapewne nie powiedział jeszcze swojego ostatniego słowa. Do wpadek ministra zaliczano także jego kwieciste wypowiedzi, które u dyplomaty mogły razić, natomiast w ustach polityka brzmią już zupełnie inaczej i mogą wpadać w ucho wyborcom ceniącym postaci barwne i zdecydowane.

Indywidualnie Waszczykowski osiągał dobre wyniki wyborcze, liczone w dziesiątkach tysięcy. Kandydował w okręgu łódzkim, gdzie w ostatnich wyborach PiS odniósł spory sukces. – Nie wszyscy politycy byli zdolni zdyskontować czołowe miejsca na listach – zauważa prof. Chwedoruk. – Dla wyborców PiS Waszczykowski jest postacią wiarygodną, kojarzącą się z trzonem tej partii. Myślę, że w zamian za lojalną pracę na rzecz partii będzie miał otwarte drzwi, jeśli chodzi o możliwość wyboru drogi dalszej kariery politycznej. Nie sądzę, by zamknął sobie drogę do dalszej kariery w ramach obozu władzy – dodaje.



Powrót „Krula”



Agnieszka Niewińska

Janusz Korwin-Mikke rzucił europarlament i ogłosił się najpoważniejszym kandydatem na prezydenta Warszawy

Pan Franciszek Timmermans ma absolutną rację, mówiąc o zagrożeniu prawa w Polsce, dlatego jutro rzucam Parlament Europejski i wracam do Polski, by walczyć z nadciągającą dyktaturą PiS – powiedział Janusz Korwin-Mikke, żegnając się z Parlamentem Europejskim. Krzyczał, że to UE przeszkadza mu walczyć z PiS. – Każdy wasz nacisk na rząd PiS wzmacnia ich popularność. Niedługo dzięki panu, panie Timmermans, dojdą do większości konstytucyjnej – kontynuował wygrażając palcem unijnemu komisarzowi. – To wy chcieliście w Polsce demokrację! Gdyby w Niemczech panowało cesarstwo, to Adolf Hitler byłby w pałacu cesarskim tylko raz do roku na konkursie akwarelistów. To dzięki demokracji tacy ludzie jak Hitler, Obama, Trump dochodzą do władzy – stwierdził. I zakończył swój wywód tak jak każdy inny na forum PE: – A poza tym sądzę, że UE powinna być zniszczona.

TRAMWAJE DO LIKWIDACJI

Korwin-Mikke, jak powiedział, tak zrobił. Po załatwieniu formalności i wprowadzeniu w arkana PE Dobromira Sośnierz, który przejął jego mandat, spakował się i wrócił do kraju. – Trzeba mieć skórę słonia, żeby znosić te głupoty, które tutaj padają – mówił na odchodne.

Nad Wisłą prezes partii Wolność, nazywany w Internecie „Krulem” (przez ciągły monarchistyczny i koronę w logo partii), od razu rzucił się w wir wywiadów i spotkań z sympatykami. W marcu ruszył na północ Polski. Odwiedził Tczew, Gdańsk, Słupsk. Był w Szczecinie, Kołobrzegu, Goleniowie, a na Facebooku chwalił się zdjęciami sal pełnych słuchaczy. Do wyborów samorządowych zamierza objeżdżać kolejne województwa, szczególnie skupi się jednak na stolicy. – Kandyduję na prezydenta Warszawy, o ile wybory zostaną ogłoszone, bo przecież wcale nie jest pewne, że będą. W historii ludzkości wiele było wyborów, które nie doszły do skutku – mówi „Do Rzeczy” Janusz Korwin-Mikke.

FOT. ROBERT STACIŃNY/REPORTER

I przedstawia swój program dla Warszawy. – Moim priorytetem jest komunikacja miejska, ale nie zbiorowa, tylko indywidualna. Najważniejsza dla mnie sprawa to Warszawa przyjazna dla kierowców. Hanna Gronkiewicz-Waltz robi wszystko, żeby zniszczyć ruch samochodowy, żeby nie dopuścić kierowców do centrum. Robienie metra jest w porządku, ale obok powinny jeździć samochody. Skandalem są jedyne na świecie ronda, na których nie można skrócić w lewo, czy celowe likwidowanie parkingów, żeby ludzie nie dojeżdżali do miasta samochodami. To jest walka z kierowcami, a kierowcy mają przecież pasażerów i pasażerki. Trzeba pamiętać o kobietach, które do teatru z facetem chcą jechać samochodem, a nie autobusem czy nawet metrem – mówi prezes partii Wolność. W jego wizji w centrum miasta nie ma tramwajów. – Są doskonałe na Młocinach, tam, gdzie jest dużo miejsca, a w centrum miasta, gdzie każdy centymetr jest cenny, tramwaj jest nieporozumieniem – tłumaczy. W programie ma jeszcze m.in. plan na rozwiązanie sporu o pomnik smoleński. Proponuje umieścić go przy ul. Żwirki i Wigury prowadzącej na Lotnisko Chopina. Chce też zamknąć temat reprivatyzacji. – Gronkiewicz-Waltz teraz się nawet chwali, że odrzuciła ileś tam wniosków reprivatyzacyjnych. Tymczasem trzeba je oceniać pod jednym kątem: czy są prawdziwe czy może złożone zostały przez nieboszczyków. Jeśli po zwrot zgłasza się właściciel, to majątek trzeba mu oddać błyskawicznie. Opóźnianie reprivatyzacji oznacza tylko tyle, że chce się z tego tytułu wziąć łapówkę – mówi.

Bartosz Czupryk, specjalista w dziedzinie wizerunku, twierdzi, że prezydentura Korwin-Mikkego w jakimś mieście nie jest niemożliwa. – Jednak fotela prezydenta Warszawy nie uda mu się zdobyć – uważa. – Jest postacią charakterystyczną, ale w opinii wyborców nie idzie to w parze z wiarygodnością. Jest nieprzewidywalny, trudno określić, do czego byłby zdolny na takim stanowisku. Pamiętam jego przedwyborcze spotkania w kampanii do europarlamentu. Ludzie nawet z wieloma jego opiniami się zgadzali, chwalili jego wystąpienia, dlatego lekceważenie PE, przysypianie na obradach i złożenie mandatu mogą uznać z brak odpowiedzialności.

KOMUNIŚCI I INNE CHOLERY

Za to eurodeputowani na sali plenarnej zareagowali wybuchem radości i oklaskami, kiedy Korwin-Mikke ogłosił rezygnację z mandatu. – Entuzjazm europosłów był szczery – mówi Michał Marusik, który obok Korwin-Mikkego zdobył mandat eurodeputowanego z list Kongresu Nowej Prawicy. – Korwin-Mikkego nie lubiła większość z nich. Wokół siebie miał on tylko kilka osób. Zresztą my, eurosceptycy, w ogóle nie jesteśmy lubiani przez eurokratów. Im zależy głównie na tym, by Europejczy podatnicy utrzymywali tę kosztowną instytucję, która marnuje niewyobrażalne kwoty pieniędzy i paraliżuje rozwój poszczególnych państw. Ci, którzy chcą naruszyć status quo, spotykają się z niechęcią.

Korwin-Mikke: – Aplauz na sali był z zupełnie innego powodu. Bo powiedziałem, że wracam do Polski, by walczyć z na-

rastającą dyktaturą PiS. Jednak oczywiście dla 90 proc. posłów PE jestem wrogiem numer jeden. To wszystko to komuniści, socjaliści i inna taka cholera. Chcą stworzyć Związek Socjalistycznych Republik Europejskich, a ja jestem temu przeciwny, dlatego tam mnie szczerze nienawidzą.

Swój eurosceptycyzm Korwin-Mikke prezentował zresztą przy każdej okazji. Na koncie ma 191 publicznych wystąpień w roli eurodeputowanego i podczas większości z nich przysypiającym na obradach plenarnych europosłom podnosiło się ciśnienie. W dyskusji o uchodźcach prezes partii Wolność zaproponował, by rozwiązać problem migracji poprzez zniesienie zasiłków. – Imigranci to zalew Europy śmieciem ludzkim, który nie chce pracować – powiedział. Zasłynął też stwierdzeniem, że „nic tak nie uczy rozumu jak głód”, i powoływanie się na kongijskiego dyplomata, który miał powiedzieć, iż „Europę zalewa afrykańskie szambo”. Eurodeputowanych rozjuszył zresztą już samym używaniem słowa „Murzyn”.

W PE nie tylko ucinął sobie drzemkę, lecz także układał pasjansa podczas obrad. Rzucił też kartkami z rezolucją PE w sprawie sytuacji osób z albinizmem w Afryce. – Jak patrzę na płód tego konsensusu, to robi mi się niedobrze: „Wzywa, ubolewa, z zadowoleniem przyjmuje, uważa” – to jest proszę państwa „szajs”. Jeżeli chcemy coś zrobić, to zróbmy coś konkretnego – podsumował prace PE. I zaproponował zakup ziemi w Afryce pod państwo dla albinosów.

Zabrał też głos podczas debaty na temat Iranu. – Czy państwo nie widzicie, ■

REKLAMA

CZY TO MOŻLIWE, ŻEBY MŁODA DZIEWCZYNA PO PROSTU ROZPŁYNEŁA SIĘ WE MGLE?

Przybyły na miejsce agent Vogel nie ma wątpliwości, że tropi mordercę. Nie interesują go jednak badania kryminalistyczne i ślady DNA. Bo ludzie nie potrzebują sprawiedliwości – potrzebują spektaklu. A on zapewni im widowiskowe polowanie na potwora...

W KSIĘGARNIACH OD 14 MARCA / W KINACH OD 20 KWIETNIA

Zapraszamy do salonów **empik** i na **empik.com**



WYDAWNICTWO ALBATROS





■ że jesteście śmieszni? Unia Europejska, która ma siedem lat za sobą i 30 mld długów, kłopoty wewnętrzne i zewnętrzne, poucza państwo, które ma 4 tys. lat tradycji, o tym, co ma robić? – pytał. I wyśmiewał żądania UE w sprawie zniesienia kary śmierci oraz rezygnacji z broni atomowej w Iranie. – Macie mentalność kolonialną! Tak samo, jak żeście sto lat temu pouczali Afroafrykańczyków, jak mają żyć, tak samo pouczać teraz dumnych Persów [...]. A kto wam powiedział, że wartości unijne są lepsze niż wartości irańskie? Jesteście imperialistami, nie tolerujecie odmienności – oceniał. Potem chwalił się tłumaczeniem swojego przemówienia na język perski i podziękowaniami od ambasadora Iranu.

KOBIETY – GORĄCY TEMAT

Najwięcej emocji budziły jednak jego wypowiedzi na temat praw kobiet, równej płacy czy aborcji. Za ich sprawą przebił się do światowych mediów i dostał przydomek „najbardziej seksistowskiego mężczyzny w polityce”. – Kobiety muszą zarabiać mniej niż mężczyźni, bo są słabsze, mniejsze, mniej inteligentne – tłumaczył hiszpańskiej eurodeputowanej Iratxe Garcíi Pérez, która nieraz wchodziła z nim w słowne utarczki, składała na niego skargi czy nazywała go mizoginem, który powinien siedzieć w domu. W debacie o zapaści demograficznej Korwin-Mikke stwierdził, że deputowani nie podnoszą najważniejszych przyczyn niżu. – Wysłanie kobiet do pracy poza domem spowodowało, że mają mniej dzieci – tłumaczył. – Wszyscy, którzy mówią, że kobiety powinny pracować poza domem, powodują zapaść demograficzną. Póki nie widzimy tego słonia stojącego w kącie pokoju, nie ma sensu w ogóle o tym dyskutować – dodawał.

Kwestię pracy zawodowej kobiet podnosił też na swoim kanale YouTube „Korwin vs UE”, do którego filmy często nagrywał w profesjonalnym studiu oddanym w PE do użytku deputowanych i dziennikarzy. Przy stole z unijnymi gwiazdkami przekonywał, że praca kobiet poza domem jest nieracjonalna. Nie dość, że rodzina traci, bo dom nie lśni, to żeby panie mogły pracować, trzeba dopłacać do żłobków, przedszkoli i komunikacji miejskiej. – Mężczyźni z reguły dojeżdżają do pracy samochodami, a kobiety – jak ich mąż nie zabierze – dojeżdżają sobie autobusami, tramwajami, trolejbusami – mówił na jednym z nagrań.

Kiedy parlament podjął temat ustawy aborcyjnej w Polsce, prezes partii Wolność postulował, żeby w ramach hasła „Ratujmy kobiety” nie zabijać dziewczynek, których rodzi się mniej. – To zapewniłoby ochronę kobietom, o co paniom przecież chodzi – stwierdził.

Za swoje wypowiedzi na forum PE trzykrotnie był karany finansowo. W 2014 r. za uwagi o „rasistowskim i dyskryminującym charakterze” na sesji plenarnej zawieszono go w aktywnościach parlamentarnych na 10 dni i pozbawiono w tym czasie diety. W 2015 r. za wzniesienie nazistowskiego pozdrowienia na sesji PE i dyskryminującą wypowiedź na temat imigrantów znów zawieszono go na 10 dni i zabrano diety. W 2017 r. przewodniczący PE Antonio Tajani poszedł jeszcze dalej i zabrał Korwin-Mikkemu diety na 30 dni (9180 euro) za wypowiedzi na temat mniej inteligentnych kobiet.

Jednak to raczej nie nakładane na niego kary zdecydowały o rezygnacji z mandatu. Ci, którzy mieli okazję z nim współpracować, twierdzą raczej, że Parlament Europejski go znużył. – To dla niego boczny tor, małe zainteresowanie mediów, bo i mało kto interesuje się tym, co się dzieje w unijnej stolicy. A on lubi być w centrum uwagi, lubi kampanie, spotkania z ludźmi. Odkuł się finansowo i postanowił wrócić na polską scenę – mówi nasz rozmówca, prosząc o niepodawanie jego nazwiska.

Korwin-Mikke ma plan: jeśli nie wygra wyborów w stolicy, to znów wystartuje w tych do Parlamentu Europejskiego

Eurodeputowany Marusik z kolei rozkłada ręce, kiedy pytamy o rezygnację Korwin-Mikkego. – Nie wiem, dlaczego zrezygnował z mandatu – mówi. Nie dziwi go za to intensywna obecność Korwin-Mikkego w mediach po powrocie do kraju. – Odkąd go znam, czyli od lat 70., powtarza, że ktoś, kto nie jest elementem politycznego mainstreamu, nie ma za sobą potężnych mediów i wielkich pieniędzy, musi mieć tzw. parcie na szkło: być wszędzie, starać się zabłysnąć, wygłaszać wyraziste i drażniące opinie. Korwin-Mikke robi to od lat.

Wystarczy rano zajrzeć do Internetu, by przeczytać kolejne publikacje na temat

tego, że według Korwin-Mikkego smog nie istnieje, a Polacy powinni myśleć, jak wyładować na Marsie i dojść do środka Ziemi.

PLAN NA TRZY KAMPANIE

Plany wyborcze Korwin-Mikke ma już rozpisane co najmniej do końca 2019 r. – Będę kandydował w wyborach na prezydenta Warszawy i jeśli nim nie zostanę, co jest dość prawdopodobne, to znów wystartuję do Parlamentu Europejskiego i z góry zapowiem, że pół roku później będą wybory krajowe i jeśli wejdę do PE, to znowu z niego zrezygnuję, żeby brać udział w wyborach krajowych – wylicza. Po co znów chce wejść do PE? – Jestem przekonany, że przyszły parlament uchwali rozwiązanie Unii Europejskiej – odpowiada.

W wyborach, w których start już zaplanowali i on, i jego partia Wolność, szanse ma mizerne. Z jego ostatnich inicjatyw politycznych tylko Kongres Nowej Prawicy w wyborach do PE w 2014 r. przekroczył próg wyborczy i wprowadził tam posłów. Korwin-Mikke pierwszy raz od 1991 r. osiągnął wyborczy sukces. Zaraz potem w partii doszło do podziałów. Michał Marusiak zwraca uwagę, że to Korwin-Mikke doprowadził do zniszczenia pozycji Nowej Prawicy. Ma żal, że przyczynił się do tego, iż eurosceptyczni konserwatywni liberałowie nie mają swojej reprezentacji w polskim Sejmie. – W wyborach do europarlamentu przekroczyliśmy 7 proc. Sondaże poparcia w wyborach parlamentarnych dawały nam 7–8 proc., ale Korwin-Mikke zaczął niszczyć Kongres Nowej Prawicy i wyciągać z partii ludzi. Podzielił nasze środowisko i w efekcie autentycznej prawicy politycznej w polskim Sejmie nie ma.

Nasz rozmówca, który działał z Korwin-Mikkem, podejrzewa nawet, że od sukcesów prawicy przy urnie ważniejsze jest dla niego gonienie wyborczego króliczka. Podobne spostrzeżenie ma Bartosz Czupryk. – Odnoszę wrażenie, że Janusz Korwin-Mikke politykę traktuje jako zajęcie na życie. Lubi, gdy wokół niego coś się dzieje, jak o nim mówią – nieważne, czy dobrze czy źle. Potrzebuje ciągle nowych emocji i kontaktu z ludźmi, a kandydowanie w wyborach zaspokaja te potrzeby – mówi ekspert.

Janusz Korwin-Mikke: – Taki jest cel partii i polityka: ma brać udział w wyborach, m.in. po to, żeby nabierać wprawę w kandydowaniu. Dlaczego pani w ogóle pyta mnie o powód kandydowania? Niech pani zapyta wszystkich innych polityków, dlaczego kandydują. © Wszelkie prawa zastrzeżone

JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU



NAJ
NIE
BIERZE SIĘ
ZNIKAĆ



GŁÓWNY SPONSOR REPREZENTACJI POLSKI



Łukasz Zboralski

Po wizycie prezydenta u rodziny z 16 dzieci odżył w sieci stereotyp dużej rodziny jako synonimu patologii. Na szczęście to już nieliczne głosy – dziś nawet celebryci mają wiele dzieci

W lutym prezydent Andrzej Duda i jego małżonka wręczyli odznaczenia matkom zasłużonym w wychowaniu dzieci. Wśród uhonorowanych była Grażyna Nelec, mama 16 dzieci. Wielodzietna rodzina z Przeciszowa pod Oświęcimiem zaprosiła głowę państwa na chrzest najmłodszej córki – Zuzanny. Dziewczynkę chrzcił kard. Stanisław Dziwisz, a na uroczystości pojawił się nie tylko prezydent – była też wicepremier Beata Szydło.

Andrzej Duda zamieścił na Twitterze zdjęcie z dziewczynką. Nie wszyscy jednak uznali, że należy honorować rodziców posiadających wiele dzieci.

„Czy rodzice 16-ściorga dzieci mają jakąkolwiek szansę porozmawiać przez te pół godziny z każdym z nich? Zrozumieć ich problemy, mądrze pomóc w odrobinie lekcji, ogarnąć te 6–8 etapów rozwoju/dorastania symultanicznie? A rodzice? Porozmawiają? Naprawdę warto to promować???” – napisał na Twitterze Witold Głowacki, dziennikarz „Polska The Times”, i wywołał internetową burzę. Wiele internautów mu wtórowało, przekonując, że wielodzietność to powód do wstydu i synonim patologii.

Jednak równie wiele osób natychmiast stanęło w obronie takich rodzin. „U obu moich dziadków było 11 rodzeństwa. Oczywiście czasy były inne. Ale niektórzy tak wybierają, innym może się zdarza. Ale to ich życie i ich Rodzina” – skomentowała w sieci Karolina Baca-Pogorzelska, dziennikarka „DGP”. Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej” dodawała: „Mnie też to wścieka. Jestem szczęśliwym, siódmym dzieckiem moich rodziców. Nie znosiłam tego typu uwag”.

Internetowa dyskusja w sprawie rodziców z Przeciszowa – podobnie jak wcześniej komentarze przed wprowadzeniem programu „500+” – pokazała, że wiele osób wciąż zrównuje posia-



Nadmiar

danie wielu dzieci w najlepszym razie z brakiem odpowiedzialności. Często widzi w tym jednak zachowania patologiczne. Zdaniem ekspertów to szkodliwy stereotyp. I są na to dowody. Kilkanaście lat temu na zlecenie władz Poznania zbadano sytuację rodzin wielodzietnych. Do projektu wylosowano 10 proc. rodzin posiadających co najmniej czworo dzieci. Okazało się, że stopień niedomagań, niezarażoności czy patologii takich jak alkoholizm jest podobny do występującego u rodzin posiadających mniejszą liczbę dzieci. To były porównywalne odsetki – mówi dr Paweł Wosicki, prezes

fundacji Głos dla Życia, w przeszłości poznański radny, który zajmował się tymi badaniami. To dlaczego zwykle o to oskarżane są rodziny wielodzietne? – Bo wszelkie niedomagania w takich rodzinach się zwielokrotniają i taka rodzina jest bardziej na świeczniku – odpowiada dr Wosicki. – W małej rodzinie problemy czy alkoholizm łatwiej ukryć, w dużej będzie to widoczne od razu. A prawda jest taka, i potwierdza to też wiele badań, m.in. psychologicznych, że w większych rodzinach dzieci wychowują się lepiej. Uczą się funkcjonowania w społeczeństwie i tego, że każde dzia-

Szesnaście dziecko państwa Nelców chrzcił sam kard. Stanisław Dziwisz.

Na uroczystości pojawił się prezydent Andrzej Duda. FOT. ADAM WOJNAR/POLSKAPRESSE



szczęścia?

łanie oddziałuje też na innych, że trzeba współpracować po to, by osiągnąć własne cele, rozwiązywać konflikty – wylicza. I zaznacza, że te doświadczenia zna też z własnego życia, bo jest ojcem pięciorga dzieci.

STECZKOWSCY, POSPIESZALSCY...

Zdolnych i znanych ludzi, którzy wychowali się w takich rodzinach, jest na świecie naprawdę wielu. W Polsce też są. Ceniona piosenkarka Justyna Steczkowska wychowała się w dużej rodzinie – ma pięć siostr i trzech braci. W programie TVP Info opowiadała, jak pracowniczka

opieki społecznej odwiedziła ich dom. – Była w ogromnym szoku, bo dzieci były czyste, zadbane, nakarmione, a do tego grają, ładnie śpiewają i są grzeczne. To był dla niej szok – wspominała.

Inna znana w kraju wielka rodzina także jest muzykująca. Muzyk i dziennikarz znany czytelnikom z łamów „Do Rzeczy” – Jan Pospieszalski – przyszedł na świat jako trzecie z dziewięciorga dzieci.

Wiele dzieci mają też znane postacie ze świata polityki. Były minister zdrowia Konstanty Radziwiłł ma czterech synów i cztery córki.

– Stereotypowo uważa się, że wielodzietne rodziny to bieda i zaburzenia, a jest zupełnie przeciwnie – mówi „Do Rzeczy” prof. Urszula Dudziak z KUL. – W tych rodzinach wychowuje się wielu ludzi inteligentnych, dobrze zorganizowanych, obejmujących w przyszłości stanowiska w lokalnych społecznościach. Oni od małego uczą się służyć sobie nawzajem, troszczyć o drugiego człowieka, wzrastać w miłości. Duża rodzina to kapitalna szkoła życia i altruizmu.

Zdaniem ekspertów nieprawdziwy stereotyp o rodzinach wielodzietnych jednak w Polsce słabnie. – Takie rodziny trzeba doceniać i myśle, że w programie przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie ten element nauki jest – mówi prof. Dudziak, która brała udział w przygotowaniu podstaw programowych przy ostatniej reformie edukacyjnej.

ODMIANA Z „500+”

Zdaniem wiceministra pracy, rodziny i polityki społecznej Bartosza Marczuka w zacieraniu szkodliwego stereotypu od lat pomagały środowiska promujące wartości rodzinne, organizacje pozarządowe. Wiceminister sam ma pięcioro dzieci. – Program „500+” na pewno też pomaga to zacierać, bo takie rodziny relatywnie bardzo dużo zyskały – mówi Marczuk. – Jednak zmiana postrzegania dużych rodzin następowała bez względu na działanie rządowego programu. Ludzie zrozumieli już w kraju, że bez demograficznego wzrostu nie ma przyszłości. Dotarło do naszych głów, że rodzina, dzieci – czyli ludzie – są wartością.

Doktor Wośicki zwraca też uwagę, że program „500+” nie rozwiązał wszystkich problemów takich rodzin. Często muszą mieszkać w zbyt małych mieszkaniach, a na większe sobie nie mogą pozwolić, bo nie mają zdolności kredytowej. – Stworzyło to też pewną nową barierę u urzędników samorządowych. Kiedy mówi się o kolejnych propozycjach pomocy takim rodzinom, to często słyszy się: ale przecież dostają „500+”! I uważa się, że to wszystko rozwiązuje – tłumaczy.

Podczas lutowej uroczystości w Pałacu Prezydenckim Sławomir Nelec, ojciec 16 dzieci, przyznał, że posiadanie wielu dzieci jest wyborem, który wiąże się dla rodziców z pewnymi wyrzeczeniami. Jego zdaniem te warto ponosić. – Nam w życiu nigdy nie zależało na zyskach, komforcie. Dla nas liczyły się dzieci – wyznał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



GRZEGORZ BRZOWOWICZ: Po dziewięciu latach powróciłeś z albumem „Urbanator Days” i przygotowujesz płytę na rynek amerykański. To była długa przerwa.

MICHAŁ URBANIAK: Nie próżnowałem. Realizowałem kilka projektów naraz, ale żaden z nich nie przerodził się w coś finalnego. Niestety, przez cztery lata wymieniałem części zamienne. To był długi ciąg: jedno biodro, drugie, rozrusznik serca, by-passy... W pewnym momencie zgłosiła się do mnie młoda wokalistka Patrycja Zarychta. Nagrała kilka moich utworów. Posłuchałem i natychmiast zapytałem, kto robił aranże. I tak spotkałem Marka Pędziwiatra z zespołu EABS. W tym, co robiłem, był za duży bałagan i potrzebowałem obiektywnego spojrzenia z zewnątrz. No i zaproponowałem Markowi, by został współproducentem „Urbanator Days”.

Płyta nie tylko pokazuje, że śledzisz najnowsze trendy w muzyce, lecz także że otoczyłeś się młodymi muzykami z Polski i USA. Młodość cię przyciąga?

Ja jestem młody! Ile to już razy proponowano mi jubileuszowe trasy, a ja konsekwentnie odmawiam?! Gram od 15. roku życia, więc mógłbym świętować choćby 60-lecie pracy. Nie bronię się przed moim wiekiem, ale się zapominam i kilka razy przez to kończyłem w szpitalu. Jestem spod znaku Wodnika i dlatego jestem często niepoczytalny i nie zrównoważony. Albo śpię 20 godzin, albo nie śpię przez tydzień.

A jesteś wybuchowy?

Dobre pytanie, bo mnie od dłuższego czasu pochłania komunikacja międzyludzka. Nowy Jork uczy jej, a komunikowanie się jest problemem dla większości Polaków. W szkole powinno się uczyć, jak oddzielać życie emocjonalne od życia zewnętrznego. Nie mieszać ich. Umiejętność odstawiania emocji i panowania nad nerwami w trakcie komunikowania się z innymi po raz pierwszy zauważyłem u buddystów. Scjentolodzy też tego uczą. To nie była sekta, jak się powszechnie uważa. Oni ze względów podatkowych nazwali się Kościołem. Początkowo moja kariera amerykańska przebiegała bez problemów, ale gdy zaczęły się kłopoty, nie wiedziałem, co robić. Wtedy zacząłem czytać o relacjach międzyludzkich i powoli wszystko stawało się prostsze. Życie składa się ze wzlotów i z upadków. Na te drugie trzeba być przygotowanym.

Kiedy dopadł cię kryzys?

To był koniec lat 70. Miałem w zespole niesłychanie utalentowane dzieciaki: piani-

stę Kenny’ego Kirklanda, basistę Marcusa Millera, gitarzystę Doca Powella, perkusistę Buddy’ego Williamsa... Oni mieli po 16–20 lat. Kilka lat później stali się najbardziej wziętymi muzykami jazzowymi. W renomowanym klubie Bottom Line wystąpiliśmy na przesłuchaniach dla wytwórni płytowej. Będąc pewnym swojego zespołu, zaprosiłem wszystkie szczy. Zrobiłem to po amerykańsku, wysyłając, na mój koszt, po każdego z panów limuzyny. Wytwórnia Columbia podpisała kontrakty z kilkoma



Z Michałem Urbaniakiem, najśłynniejszym polskim jazzmanem rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Ja jestem młody!

grupami, a z nami nie. Porażka, mimo że „DownBeat” napisał, że daliśmy rewelacyjny koncert. Nagrałem 15 kaset z naszym materiałem demo i rozesłałem do wszystkich wytwórni. Zadzwonili z Motown, co było zaskakujące, gdyż ta utytułowana firma nagrywała wtedy wyłącznie czarnych artystów. Miałem nóż na gardle, bo za chwilę zespół by mi się rozpadł, i kiedy jeden z bossów Motown zapytał, ile chcę za album, rzekłem, mocno blefując: „100 tysięcy dolarów”. Mój adwokat zbłądł, a tamten odpowiedział: „OK”. I tak jest w moim życiu. Z dołu na szczyt, a potem w przepaść.

Kiedy poczułeś, że Nowy Jork jest twoim miastem?

Od razu, kiedy tam stanąłem. Byłem zakochany w Ameryce. W Polsce chodziłem po trzy razy na każdy film amerykański. Podglądałem, jak się oni ubierają, strzygą, jakie noszą spodnie i skarpetki. W 1962 r. przyjechałem do Nowego Jorku z zespołem Andrzeja Trzaskowskiego The Wreckers. Od razu wiedziałem, że to jest moje miejsce, tylko byłem niemową, nie znałem angielskiego. Przyjechaliśmy na zaproszenie Departamentu Stanu jako najlepszy zespół jazzowy zza żelaznej kurtyny. Przed

klubem wpadłem na Milesa Davisa, na widowni siedziałem obok Johna Coltrane’a, a na scenie śpiewała Dinah Washington, moja ukochana wokalistka. Szczypałem się przez cały czas, by być pewnym, że to nie sen. Postanowiłem, że wrócę do Nowego Jorku, ale o własnych siłach, a nie na zaproszenie.

Kiedy w 1973 r. wylądowałeś na lotnisku Kennedy’ego, nie mogłeś przypuszczać, że dopiero po prawie 20 latach przyjedziesz do Polski.



FOT. FORUMGWARZ/FORUM

Ja nie chciałem wracać. Nigdy nie miałem poczucia tęsknoty. Czuję się Polakiem, jestem dumny, że stąd pochodzę, ale nie jestem takim podręcznikowym patriotą, który by poległ za ojczyznę. Znam historię, mam swoje zdanie o tym, co się wokół dzieje, ale uważam, że Ziemia jest dla każdego. Nie uznaję granic, paszportów, karabinów. W Nowym Jorku można było wtedy robić cokolwiek z tego, co się zamarzyło. Zaraz po przyjeździe widziałem strzelaninę i kilka bijatyk, a potem, przez następne 43 lata, nie znalazłem się w ani jednej sytuacji, która mogła stanowić zagrożenie życia.

Parę razy cię okradli.

A w Szwecji auta mi nie ukradli? Tyle że w Ameryce robią to w bardziej wyrafinowany sposób.

Byłeś odważny. Zaraz po przyjeździe poszedłeś do czarnych klubów jazzowych.

Nie jestem odważny. Najpierw musiałem uwieść czarnoskórych muzyków na poziomie artystycznym. I pewnie dlatego mam dyplom honorowego, czarnego mieszkańca dzielnicy Jamaica na Queensie. A stamtąd wywodzą się najślynniejsi nowojorscy jazzmani. W Harlemie, w 1978 r., przygotowywałem płytę „Ecstasy”. O trzeciej nad ranem przesiadywałem na ulicach z moimi muzykami. Radiowozy stawały przy mnie i policjanci pytali: „Are you OK?”. Angielskiego nauczyłem się dzięki kontaktom z czarnymi muzykami. W życiu nie brałem żadnych lekcji. I gdy przyjeżdża na festiwal do Polski Quincy Jones, to podczas spotkania z Ulą [Dudziak – przyp. G.B.] pyta: „Where is my bro?”. Dostałem od niego winyl z dedykacją: „Tęsknię za tobą, bracie”. Jako nastolatek zakochałem się w ich muzyce i oni to czują.

Grając z nimi, natychmiast łapiesz „groove”. Co czarni muzycy rozumieją pod tym określeniem?

To jest moment, kiedy grając, czujesz się naprawdę dobrze. To jest kołysanie, bujanie, które ze sceny przenosi się na publiczność. Nie każdy to czuje. W Holandii, Hiszpanii, niektórych rejonach Anglii czy we Francji widzowie chwytają to w lot. Niemcy za cholerę nie zaklaşzczą w odpowiednim miejscu. W Polsce też to ciężko idzie. A tu chodzi o rodzaj luzu, który się złapie albo nie. „Groove” trudno opisać słowami. Jak to złapiesz, to potem trudno jest się z tego wydostać, bo staje się dla ciebie oczywiste.

Nastał czas muzycznych biografii. W Polsce ukazały się wspomnienia Herbiego Hancocka, Carlosa Santany czy twoje. W każdej książce pojawia się problem narkotyków.

Prawdziwe granie to jest emocjonalny striptiz. Muzyka na estradzie obnaża się przed tłumem. Symboliczne piwo czy drinki pije się nie w czasie grania, tylko po nim. Kiedy w człowieku jeszcze wszystko buzuje. Nie wiesz, co masz ze sobą zrobić, nie pójdziesz spać. Doświadczeni, schorowani muzycy biorą valium, by zahamować emocje. Didier Lockwood zmarł po koncercie, a miał zaledwie 63 lata. Ja, w okresie młodzieńczym, popijałem po koncertach i było OK, a teraz mam przepisane lekarstwo, bym mógł zasnąć.

Krzysztof Komeda zmarł, zanim zrobił rzeczystą karierę w Ameryce. Miał szansę na sukces?

Jako jazzmanowi byłoby mu w latach 60. bardzo trudno. Wówczas dominowała muzyka rockowa. On zaś się koncentrował na komponowaniu muzyki filmowej. Był kimś pomiędzy Nikiforem i pionierem, który wprowadzał jazz do kina. Czuł kino, co rzadko się zdarza wśród nas, jazzmanów. Nas ciągnie do improwizacji, a w filmie trzeba być precyzyjnym co do sekundy.

Trafieś do kwintetu Komedy w 1963 r. Jakim był liderem?

Wiedział, czego chce, i dawał to odczuć. Ja byłem najmłodszy, Tomek [Stańko – przyp. G.B.] był o rok starszy. Byliśmy dziećmi i po zagranu parę razy tego samego utworu nie chciało nam się go grać w kółko. I wtedy Komeda mówił: „Panowie, fantastycznie. Zagrajmy to jeszcze raz”. Niemen miał tak samo. Mielśmy już wszystko zaaranżowane, przećwiczone i już chcemy się z Namysłowskim pakować, a on mówi, że musimy poszukać czegoś nowego, innego. Zamiast analizować, on wołał zagrać to samo, ale inaczej.

Niemen zjawił się w Nowym Jorku niedługo po tobie. Mówiłeś wielokrotnie, że sam spieprzył karierę w Ameryce. Nie chciał jej?

Tego bym nie powiedział, ale był uparty i nie słuchał życzliwych mu osób. Stał na muzycznym K2. Miał do dyspozycji wszystko, co można tylko sobie wymarzyć. Byliśmy wtedy maskotkami wytwórni Columbia. Kiedy dowiedzieli się, że Niemen sprzedał w Związku Sowieckim 6 mln płyt, to gdyby chciał – dalałby mu milion dolarów na nagranie płyty. A on się uparł, że musi nagrać po angielsku „Bema pamięci rapsod żałosny”. Tak ten utwór

w końcu nazywałem. Na rynku rockandrollowo-popowym nie można było debutować z 19-minutowym utworem. Do tego poematu Norwida nie powinien tłumaczyć człowiek piszący teksty piosenek na Broadwayu! To powinien zrobić poeta! Byłem przez cały czas w studiu, kibicowałem Niemenowi strasznie. Sol Rabinowitz, wiceprezydent Columbii, i ja klękaliśmy przed nim oraz przekonywaliśmy, by się opamiętał. Zgadzał się, a następnego dnia zaczynaliśmy próbę od „Rapsodu...”. Nie wiem, czy to, co w końcu zrobił, było wynikiem jego braku świadomości czy tego potwornego uporu i ambicji.

Amerkańscy krytycy natychmiast zwrócili uwagę na styl wokalny Urszuli Dudziak, twojej żony. Nie tylko śpiewała scattem, lecz także przetwarzała głos przez urządzenia elektroniczne.

W połowie lat 60. przenieśliśmy się z zespołem do Szwecji. Myślałem, że to będzie furtka do dotarcia do Nowego Jorku. Szybko jednak Szwecja zaczęła nam wychodzić bokiem, bo tam się grało jazz do tańca. Nasze żony oczekiwały, że za zarobione dewizy kupimy w Polsce mieszkania. Zamiast odkładać na M-4 kupiliśmy B-3, tyle że to były organy Hammonda. Do tego z Wojtkiem Karolakiem biliśmy rekordy w picu alkoholu, a Szwecja miała najdroższą wódkę na świecie. Zamiast odkładać walutę, przynosiłem do domu najnowsze urządzenia do przetwarzania dźwięku. Dałem Uli przetwornik do głosu. Długo nie mogła się przekonać, ale jak połknęła bakcyla, to zrewolucjonizowało brzmienie naszego zespołu. Ta oryginalność utorowała nam drogę w Nowym Jorku. Zaczęły ją naśladować inne wokalistki. Brazylijka, Flora Purim, dzięki patentom Uli osiągnęła spory sukces.

Pierwsze amerykańskie płyty nagrałeś z udziałem polskich muzyków.

Ludzie z wytwórni Columbia dziwili się, czemu nie zatrudniam najlepszych muzyków sesyjnych na świecie. Odpowiedziałem, że zaoszczędzą na kosztach nagrania. Rzecz była w tym, że od pięciu lat grałem z tym zespołem, wszyscy zasłużyli sobie na ten sukces, no i materiał mieliśmy perfekcyjnie dopracowany.

W 1975 r. ukazała się w Stanach fantastyczna płyta formacji Funk Factory, na której oprócz ciebie i Uli pojawili się pianista Wojciech Gulowski i wokalista Bernard Kawka. Elita polskich, jazzowych emigrantów. Niestety, płyta przeszła niezauważona.



Tamtego roku wydałem w Ameryce trzy albumy. Za dużo wziąłem na siebie, byłem przepracowany i nie ogarniałem wszystkiego. Niestety, w trakcie realizacji wyszły nasze narodowe cechy charakteru. Pojawiły się jakieś zazdrości i wszystko poszło nie tak, jak miało. Nasze trzy wielkie talenty mogły naprawdę dużo więcej zdziałać. Może za szybko parłem do przodu, może to nas przerosło, ale te nagrania („Fusion II”, „Urszula” i „Funk Factory”) były wtedy wielkim sukcesem artystycznym i komercyjnym! Nic dodać, nic ująć!

Jesteś w Nowym Jorku, największa wytwórnia płytowa Columbia, dla której nagrywają Miles Davis, Herbie Hancock czy Weather Report, wydajesz swoje trzy albumy i nagle, w 1976 r., sen się kończy.

Ja to spaliłem. Wszystko szło łatwo. Miałem amerykański zespół z takimi tuzami jak perkusista Steve Gadd i basista Anthony Jackson. Album „Fusion III” był nagrany i czekał na wydanie. Cała Columbia była zachwycona, łącznie z prezydentem, który był jednym z największych fanów jazzu w historii. Był sierpień ’75. Spotkałem się z szefem artystycznym Bruce’em Lundvallem, który mi oznajmił, że wydanie płyty ze względów promocyjnych zostało przełożone na październik. Wpadłem w panikę, bo nie wiedziałem, jak utrzymam zespół, i zamiast zrozumieć, że to jest w moim interesie, posłałem wiaduchę w murzyńskim slangu. Jego zmroziło i zapytał, czy chciałbym zrezygnować z kontraktu. I jak idiota odpowiedziałem: „tak”.

Nie wierzę.

Przykozażyłem, bo za rogiem była siedziba wytwórni Atlantic Records. To jej szef, Ahmet Ertegun, dał mi nagrodę na festiwalu w Montreux w Szwajcarii, dzięki której wylądowałem w Nowym Jorku. Podczas spotkań powtarzał: „Jak cię źle potraktują w Columbii, to ja jestem niedaleko”. Tylko akurat wtedy sytuacja diametralnie się zmieniła. Nesuhi, brat Ahmeta, został oddelegowany do Europy, a Atlantic tydzień wcześniej podpisał kontrakt z moim konkurentem, francuskim skrzypkiem Jeanem-Lukiem Pontym. Dzwonię do Bruce’a z przeprosinami, a on odpowiada: „Musisz dorosnąć. Podjąłeś decyzję, a teraz zastanów się nad sobą”. I tak w ciągu dwóch godzin zostałem na lodzie.

Zaraz potem ukazała się płyta Uli z przebojem „Papaya”.

W tym samym czasie posadę prezydenta Columbii stracił Clive Davis. Założył wy-

twórnię Arista, a ja byłem jednym z pierwszych, którzy do niego przybiegli. Wziąłem wersję demo „Papai”. Puściłem mu i on mówi: „Robimy”. Płyta Uli była pierwszą, która ukazała się ze znakiem Aristy.

Trzydzieści jeden lat później „Papaya” stanie się wielkim przebojem w Azji i Ameryce Południowej. Jednak w 1976 r. nie podbiła Stanów.

Spodobała się, ale nie trafiła do Top 100. Była nr 1 w Meksyku, nr 5 we Włoszech, nr 2 w Wenezueli... W Stanach DJ-e podeszli do piosenki z rezerwą.

Koniec lat 70. przyniósł schyłek popularności muzyki jazzrockowej. Jak sobie radziłeś w następnej dekadzie?

Akurat pierwsza połowa lat 80. była dla mnie genialna. Tyle że grałem już coś innego. Stworzyłem duet z gitarzystą Larrym Coryellem. Doskonale prosperowaliśmy przez trzy lata. W jednym roku miałem 44 przeloty przez Atlantyk. Graliśmy bez przerwy, tylko to było szalenie męczące. Coryell był zatwardziałym Teksańczykiem i nasze koncerty w duecie trwały po dwie i pół godziny! Grałem wtedy na specjalnych sześciostunnych skrzypcach, w czasie solówek Larry’ego udawałem basistę. Nazywaliśmy to slangowo Polish Bass. Kiedy na koniec wykonywaliśmy „Spain” Chicka Corei, to nie czułem barku. A potem był bis, który zwałem „Balladą na odpierdol”.

Kiedy odkryłeś rap i hip-hop?

W Nowym Jorku lubiłem wcześniej wstawać. Wsiadałem do cadillaca i jeździłem po pustawym Manhattanie. Nad ranem w stacjach radiowych, takich jak WBLS, Kiss FM czy WBGO, leciała najlepsza muzyka. Tam usłyszałem Coltrane’a, na którego tle ktoś recytował teksty. No i pomyślałem sobie, że muszę sobie zafundować takiego koleśka do zespołu. Kiedy kombinowałem połączenie jazzu z rapem, zjawił się u mnie przyjaciel, perkusista Lenny White. Posłuchał, mówi: „Super, tylko trzeba inaczej zaprogramować bębny”. I w końcu narodził się projekt Urbanator.

Jesteś jedynym polskim muzykiem, który zagrał na płycie Milesa Davisa. Tylko czy album „Tutu” z 1989 r. nie jest bardziej płytą Marcusa Millera? Tego samego, który debiutował w twoim zespole?

Uuu, mnie nie wolno tego tak powiedzieć. Powiem tak [tu nastąpiła długa przerwa – przyp. G.B.]. Dla takiego wodza robiło się wszystko, czego zażąda. Miles tylko przez samo pojawienie się w studiu odciskał piętno na płycie. Nawet taki talent

jak Marcus nie wygłupiłby się, by przeorować coś swojego, by wepchnąć na płytę Milesa swoją koncepcję. Pisał pod Milesa! Ta płyta brzmi jak płyta Milesa, jest zrobiona pod Milesa. Miles miał przy jej powstaniu wiele do powiedzenia, tylko tym swoim chrypiącym głosem mało mówił.

Jaki był w studiu?

Nagrywałem swoją partię, kiedy Milesa nie było. Był za to cały mój zespół, z którym trzy miesiące wcześniej graliśmy koncert w Bottom Line. Na drugi dzień przyszedłem na zamkniętą sesję i zobaczyłem Milesa, jak robił dogrywki. Zauważył mnie i pyta: „Kto to jest?”. Kiedy dowiedział się, że jestem skrzypkiem, odłożył trąbkę, powolnym krokiem podszedł do mnie i zapytał: „Jak zagrałeś?”. „Tak jak chciałeś” – odpowiedziałem. Podszedł bliżej i zaczął mi masować plecy. Pobeczalem się i wtedy poczułem, że nagrywam płytę z Milesem.

W latach 90. coraz częściej przyjeżdżałeś do Polski.

Zaczęły się dziać ciekawe rzeczy w muzyce. Pojawił się rap, pojawił się Liroy. Pojechałem do niego do studia, kibicowałem mu. Pani dyrektor wytwórni BMG nie wiedziała, co ma zrobić z jego płytą. Była przerażona wulgaryzmami. Ja mówię do niej: „Trzeba wydać, a jak ma pani problem z przekleństwami, to niech pani wypikuje najgorsze rzeczy”. Album kupiło pół miliona osób. Poczułem, że mam obowiązek przekazać naszym muzykom to, czego nauczyłem się w Ameryce. W dzieciństwie miałem american dream, a jak zobaczyłem, że Polska jest taka, a nie inna, to poczułem polish dream. Uwierzyłem, że powstaną Stany Zjednoczonej Europy. Nagle w Polsce pojawiła się możliwość normalnego pracowania. Powstały firmy fonograficzne z prawdziwego zdarzenia. Andrzej Czeczot zaproponował mi napisanie muzyki do filmu animowanego „Eden”. W związku z tym producent wynajął mi studio z mieszkaniem w Łodzi. Pojawiły się wspomnienia, odnowiły się kontakty rodzinne, towarzyskie. Zrobiło się miło, wymyśliłem Urbanator Days. Teraz dzielę czas, podróżując pomiędzy Nowym Jorkiem a Warszawą. Moje życie to i tak jedna wielka superpodróż!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Urbaniak – 75-letni jazzman, międzynarodowej sławy skrzypek, saksofonista, kompozytor. Niedawno ukazał się jego album „Urbanator Days”.

*W poranek wielkanocny
pójdziemy wraz z Marią Magdaleną
i pobożnymi niewiastami do grobu
Chrystusa. Jak Piotr i Jan
przybiegniemy zatrwożeni wieścią,
że „zabrano ciało Pana i nie wiemy,
gdzie je położono”. Staniemy się
świadkami życia, które wyzwala się
z okowów beznadziei, smutku i śmierci.
Chrystus prawdziwie zmartwychwstał!*

*Życzymy wszystkim czytelnikom „Do Rzeczy”
oraz Współpracownikom, Wolontariuszom i Ofiarodawcom Caritas,
byśmy wzajemnie dzielili się tą radością i nigdy nie utracili nadziei
w zwycięstwo dobra. Niech Radosne Alleluja będzie dla Was
ostoją zwycięskiej Miłości i niezłomnej Wiary. Niech pogoda ducha
towarzyszy Wam w trudzie czynienia dobra każdego dnia.*

Ks. Marcin Iżycki



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Oaza dla fanów



Piotr Gociek

Tak, to tylko rozrywka – ale z jakim rozmachem zrobiona! Przy „Player One” niejedna kinowa superprodukcja wygląda jak film skromny i kameralny

Wyliczmy po kolei, o czym to opowieść. Dorosłym nie ma co ufać, zwłaszcza tym w garniturach. Nigdy nie wiadomo, kogo spotkasz on-line. Czy po drugiej stronie nie kryje się przypadkiem 130-kilogramowy gość imieniem Chuck albo 11-letni ninja? Pieniądze są ważne, ale przyjaźń ważniejsza. Kiedy wahasz się, czy pocałować dziewczynę, to po prostu pocałuj, nigdy nie wiadomo, czy będziesz miał kolejną szansę. Wirtualne gry są super, ale rzeczywistość jest, hm, no po prostu rzeczywista, więc też super. A może nawet bardziej super. Popkultura jest cool, jednak najlepsza – ta z lat 80.

XX w., kiedy największe sukcesy odnosił Steven Spielberg, czyli gość, który wam to wszystko opowiada.

Powieść „Player One” Ernesta Cline’a była idealnym materiałem dla reżysera, który mimo podejmowanych prób wydoroslenia, różnej zresztą jakości (nieźle mu szło w „Liście Schindlera”, fatalnie w „Lincolnie”) pozostaje najbardziej wpływowym dużym dzieckiem współczesnego kina. Książka wydana w roku 2011 (polska edycja rok później) właśnie trafiła ponownie na księgarskie półki, można więc łatwo sprawdzić, jak bardzo jest owocem miłości do rozrywek tyleż popularnych, ile niepoważnych. Kto jednak powiedział, że rzeczy niepoważne nie odgrywają ważnej roli w naszym życiu?

KOKTAJL Z LAT 80.

Witajcie w połowie XXI stulecia, w czasach, kiedy ludzkość zamiast rozwiązywać swoje problemy, postanowiła przed nimi uciekać. Głównym architektem tej wielkiej ucieczki okazał się James Halliday. „Był projektantem gier i stworzył OASIS, masową grę sieciową, która stopniowo przekształcała się w internetową globalną rzeczywistość wirtualną.

Każdego dnia korzystała z niej niemal cała ludzkość. Bezprecedensowy sukces OASIS uczynił Hallidaya jednym z najbogatszych ludzi na świecie” – wyjaśniał w powieści autor, Ernest Cline. Akcję książki i filmu wprawia w ruch śmierć Hallidaya, który pozostawił po sobie nietypowy testament: poinformował wszystkich użytkowników, że wewnątrz OASIS ukrył trzy klucze do fortuny. Kto pierwszy je odnajdzie, ten będzie jedynym właścicielem OASIS. Nie lada gratka – to tak, jakby w naszym świecie ktoś miał zostać właścicielem całego Internetu.

Zaczynają się więc wyścigi i wielkie poszukiwania. Oprócz zwykłych zjadaczy chleba marzących o poprawie swego losu (lub po prostu o wielkiej przygodzie) są tacy, którzy na wyzwanie patrzą z czysto biznesowego punktu widzenia. Przede wszystkim wielka korporacja 101, która ostrzy sobie zęby na przejęcie wirtualnego świata, żeby obficie na nim zarabiać.

OASIS wygląda bardzo znajomo, choć każdy miał tu okazję wyказаć się własną fantazją – mógł wybrać, jak będzie wyglądał jego sieciowy awatar. Nasza wyobraźnia kształtowana jest bowiem

przez cudze wyobraźnię, czyli produkty kultury masowej, a w dodatku Halliday był wielkim fanem gier, filmów i komiksów z lat 80., czyli czasów swojego dzieciństwa. Myślę, że równoległe do wyścigu po fortunę OASIS, który będzie trwał na ekranach kin świata od 29 marca (w Polsce – od 6 kwietnia), będzie się toczył wśród fanów inny wyścig: kto pierwszy wychwyci i wyliczy wszystkie nawiązania do tego, cośmy już dawno temu obejrżeli i w co zagrali. Benedyktyńskie to zadanie, bo Spielberg jak zawsze poszedł na całość, liczba odniesień jest więc oszałamiająca. Duże dziecko kina bawi się z rozmachem.

Tym, którzy uwielbiają takie igraszki, polecam porównanie zawartości powieści z tym, co można zobaczyć na ekranie – odkrycie, że na potrzeby filmu mnóstwo rzeczy zmieniono, podkreślono, dołożono. Czasem od razu wiadomo dlaczego. Po coś np. bohaterowie mieliby grać w gigantycznego Pac-Mana, skoro ten greps został zużyty dopiero co w komedii „Piksele”. Innym razem chodzi o kwestie praw i bój o rynek między prawdziwymi korporacjami z prawdziwego (czyli naszego) świata – producentem jest Warner Bros., więc nie zobaczycie na ekranie żadnych rozrywkowych elementów z uniwersum Marvela. Powściągliwy okazał się sam Spielberg, który umieszczając w filmie nawiązania do dekady, podczas której sam święcił triumfy, ominął motywy z własnych produkcji.

Chociaż sympatyczni młodzi bohaterowie przyciągną z pewnością do kin równie młodą publikę, to warto odnotować, że „Player One” jest uczcą, którą docenią przede wszystkim fani w wieku ich rodziców (może nawet jedyni w pełni docenią). To znaczy ci, którzy pamiętają, jakie emocje towarzyszyły im, kiedy niemal wszystkie pokazywane w filmie rozrywki nie były jeszcze „kultowe” albo „oldskulowe”, tylko jako nowości trafiały do kin, do pierwszych osobistych komputerów czy do maszyn z gramami w salonach video. Podobnie nostalgii za latami 80. eksploduje serial „Stranger Things”, nie inaczej jest w wydanej u nas niedawno powieści „Niemożliwa forteca” Jasona Rekulaka (recenzowałem ją w „Do Rzeczy” 8/2018). A w filmie „Player One” nawet ścieżka dźwiękowa

to królestwo hitów z lat 80. (od „Jump” Van Halen poczynając).

Oglądanie tego koktajlu nie boli, Spielberg to rzemieślnik rozrywki o najwyższych kwalifikacjach. Skala zabawy jest taka, że „Avatar” Camerona czy ostatnie hity serii „Szybcy i wściekli” wydają się w porównaniu filmami kameralnymi. Tempo nie siada nawet na moment, czasem tusząc niekonsekwencje. Skoro bowiem poruszać się w wirtualnym OASIS można dzięki specjalnym fotełom, bieżniom, systemom linek itp., które imitują realny ruch, to dokąd będą podczas finałowej bitwy goście z ulicznych chodników dysponujący jedynie goglami na oczach?

CZYSTA ROZRYWKA

Oczywiście zgodnie z zasadą „jesteś tym, co jesz”, produkt żywiący się czystą rozrywką i trawiający ją na wiele sposobów, sam ponad poziom tego, co wchłania, wyrosnąć nie może. Szukacie przesłania – wróćcie do wyliczanki z początku tego tekstu. Dwie rzeczy brzmią tutaj zdecydowanie fałszywie, choć cały film ma być rozrywką edukacyjną. Po pierwsze, trudno uwierzyć na koniec w gorącą rekomendację życia w realu, skoro wirtual pokazano nam w tak wspaniały i porywający sposób. Po drugie, obrona miałości całej tej zabawy dokonuje się (zgodnie z logiką opowieści) także cytatem z pierwszorzędnej osiągnięcia rozrywki drugorzędnej. To cytat z Lexa Luthora, a słowa padły w filmie „Superman” (1979). „Niektórzy po lekturze »Wojny i pokoju« pomyślą, że to tylko historia przygodowa. Innym wystarczy przeczytać skład gumy do żucia na opakowaniu, żeby odkryć zagadki wszechświata”.

Ejże, naprawdę takie to proste? Wszystko subiektywne? Wszystko w oku obserwatora? Bądźmy szczerzy, takie wyznaczenie może wiarygodnie zabrzmieć w ustach największego w dziejach kina producenta gumy do żucia dla oczu, ale już nie w ustach Lwa Tołstoja. Jednak Chesterton w swojej „Obrobie romansu brukowego” był mądrzejszy. Aha, jeszcze jedna sprawa – Spielberg zdecydowanie rekomenduje, żeby spędzać z rodziną przynajmniej dwa wolne dni w tygodniu. A wy wciąż nie możecie odzalać wolnych niedziel? © © Wszelkie prawa zastrzeżone



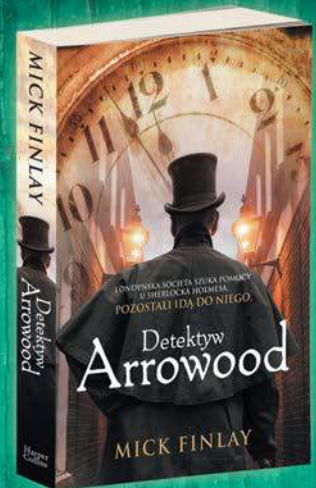
★★★★★

REŻ. STEVEN SPIELBERG
„PLAYER ONE”
(„READY PLAYER ONE”)
USA 2018

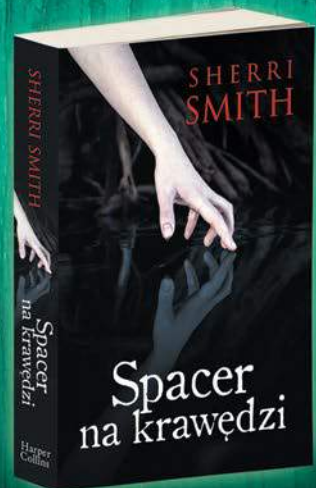
wyst. Tye Sheridan,
Olivia Cooke,
Letitia Wright,
Mark Rylance

NAJLEPSZE KSIĄŻKI na wiosnę

Wyjątkowy
thriller kryminalny



Znakomity
thriller psychologiczny



Więcej informacji na

booktime.pl



Była połowa lat 90. Może dziś trudno to sobie wyobrazić 20- i 30-latkom, ale wówczas handel kwitł na polskich ulicach. Sprzedawcy rozkładali swój towar na łózkach polowych, z których oferowali np. ciuchy, jajka, słodycze i... książki. Któregoś dnia, gdy z kumplami urwaliśmy się ze szkoły na dużej przerwie, na takiej polówce obok powieści Forsytha, Ludluma, Folletta zobaczyłem „Statek” Łysiaka. Spieszenie złapałem książkę, by kumple mnie nie uprzedzili, i nie targując się, kupiłem. Skąd taka szybka decyzja? Były trzy powody. Kilka książek Łysiaka już znałem, „Flet z mandragory”, „Dobry” i „Konkwista” zachwyciły mnie. Po drugie, książek pisarza na próżno było szukać w księgarniach, ich kupno było możliwe jedynie w antykwariatach (nikt wtedy nawet nie śnił o aukcjach internetowych). Po trzecie, nasz nauczyciel elektrotechniki obiecał, że jeżeli ktoś przeczyta książkę pisarza z Saskiej Kępy, to może liczyć na wyższą ocenę. Szybko przeczytałem „Statek”, a traf chciał, że nauczyciel elektrotechniki wywołał mnie do odpowiedzi. Nie szło mi przy tablicy i ratując sytuację, oznajmiłem, że właśnie przeczytałem najnowsza książkę Waldemara Łysiaka. Do ławki wróciłem z trójką po dyskusji o tym, że Nurni Flowenol, główny bohater „Statku”, to równy gość, romantyczny twardziel, który idzie na koncert Dire Straits i słucha Chrisa Rea. Oczywiście zaraz po przeczytaniu „Statku” kupiłem płytę „Auberge” piosenkarza.

Gdy w tamtych latach wchodziłem z przyjacielem do antykwariatów, kończyła się nasza przyjaźń, a zaczynało polowanie na książki. Kto pierwszy złapał np. Hłaskę, Singera, Mackiewicza czy przede wszystkim Łysiaka, ten z miejsca kupował książkę. Każda z nich nas zachwycała. Każda powodowała, że chciało się czytać jeszcze więcej. „Wyspy bezludne” i „MW” przenosiły do muzeów wyobraźni opisanych przez Łysiaka, tak że codzienność widziana za oknem wydawała się cholernie szara i nudna. „Empirowy pasjans”, „Cesarski poker”, „Szachista”, „Napoleonida” i „Milczące psy” pasjonowały historiami, których trudno było szukać w podręcznikach. „Francuska ścieżka”, „Asfaltowy saloon” i „Wyspy zaczarowane” pokazywały, że podróże kształcą, ale jedynie ludzi wykształconych. Kolejne tomy „Łysiaka na łamach” otwierały nam – „pięknym dwudziestoletnim” – oczy na ówczesną politykę i paskudne realia tamtych czasów, choćby brak dekomunizacji i lustracji. Pamiętam, że tom drugi

Pisarz, który nie nudzi



Sebastian Reńca

Waldemar Łysiak debiutował w 1974 r. napoleońską powieścią „Kolebka”. Miał wtedy 30 lat. Od tamtego czasu napisał 60 książek, są to powieści, zbiory esejów, opowiadania, przedruki tekstów prasowych. Każda z tych kilkudziesięciu książek jest wyjątkowa



„Łysiaka na łamach” był białym krukiem, który w końcu dostałem, ale w zamian musiałem oddać zbiór felietonów Cata i zbiór opowiadań „Łysiak fiction”. Między jedną a drugą książką Waldemara Łysiaka szukało się jego tekstów w „Najwyższym Czasie!” czy „Tygodniku Solidarność”. Przez wiele lat pisarz, tylko od czasu do czasu, pojawiał się na łamach któregoś z prawniczych periodyków, zdarzało się, że bardzo długo milczał, jako publicysta. Na szczęście od kilku lat jego felietony ukazują się regularnie. Najpierw na łamach „Gazety Polskiej”, później w „Uważam Rze”, a teraz na ostatniej stronie „Do Rzeczy”.

W 1993 r. pisarz zapowiedział, że pracuje nad historią malarstwa białego człowieka. Pierwszy tom – „MBC” – ukazał się cztery lata później, a ósmy w 2000 r. Wówczas była to edytorska perełka. Drugie wydanie „Malarstwa” jest edytorsko jeszcze lepsze pod względem okładki, szaty graficznej, reprodukcji. Ponadto kilka lat temu pisarz sprawił swym czytelnikom dodatkową radość, gdyż uzupełnił ośmiotomowe opus magnum o dwa tomy „Malarstwa Białe-Czerwone”, w których opowiada o polskim malarstwie.

Gigantyczna i czasochłonna praca nad „Malarstwem...” spowodowała, że przez sześć lat Waldemar Łysiak milczał jako beletrysta. Dopiero w 2000 r. zaskoczył czytelników „Ceną”, którą wyjął z szuflady. „Cena” miała być sztuką sceniczną, autor opisując kolejnych jej bohaterów, miał przed oczami konkretnych aktorów. Do wystawienia „Ceny” nie doszło, na szczęście ukazała się książka (zwana przez pisarza „opowieścią”), której akcja rozgrywa się podczas niemieckiej okupacji. Notabene w latach 80. na podstawie scenariuszy Waldemara Łysiaka powstały telewizyjne spektakle – trzyczęściowa „Selekcja” oraz „Bestseller”, a w latach 90. „Szewski poziom”.

W „Cenie” autor uświadamia czytelnikowi, że nie wolno nam paktować z diabłem, absolutnie, ponieważ kolaboracja z nim nie może skończyć się dobrze i nie ma czegoś takiego jak wybór mniejszego zła. Zło zawsze będzie złem. Koniec kropka.

Dwa lata później ukazał się „Kielich”. Waldemar Łysiak powrócił do pierwszoplanowej narracji, w której jest mistrzem. W pewien sposób pisarz mrugnął do czytelników, zamieszczając w powieści oniryczną scenę z plaży, podobną można było przeczytać w „Statku”.

Gdy kończył się wiek XX, pisarz podsumował go, wydając „Stulecie kłamców”, którym wywołał furję wśród wyznawców

poprawności politycznej. Jednym z nich był Antoni Pawlak, który w książkowym dodatku do „Gazety Wyborczej” obrzucił pisarza stekiem inwektyw. Na koniec paszkwilant zalecał Łysiakowi, by rozejrzył się „za jakimś kompetentnym lekarzem”. Podobnie zachowali się Krzysztof Varga, który – gdy przeczytał „Karawan literatury” – swój tekst o tej książce zatytułował „Pisarz wyklęty, czyli schiza Łysiaka”, oraz Janusz Anderman. Temu ostatniemu zdjęcie pisarza w wojskowym mundurze skojarzyło się „z niezliczonymi Napoleonami z zakładów zamkniętych”. Każdy z tych tekstów był chamskim flekowaniem Łysiaka przez salonowych literatów („literatów”). Była to wściekłość nudnych frustratów, którzy nie mogą się mierzyć z Waldemarem Łysiakiem ani klasą, ani talentem, ani dorobkiem.

W 2004 r. pisarz podzielił się z czytelnikami informacjami o swych, do tej pory legendarnych, zbiorach bibliofilskich. W pięknie wydanym dwutomowym

Waldemarowi Łysiakowi nie można odmówić tego, że **adwersarzy doprowadza swymi tekstami do pasji**

„Empireum” Łysiak opisał swe perły rodzimego edytorstwa. Pełny tytuł dzieła brzmi: „Patriotyczne Empireum Bibliofilstwa, czyli przewodnik po terenach łowieckich Bibliofilandii tudzież sąsiednich mocarstw”. Gdy wówczas poprosiłem Waldemara Łysiaka o wywiad, moje pierwsze pytanie dotyczyło „Patriotycznego Empireum...”. Pisarz odpowiedział:

„Chodzi o tradycyjny patriotyzm, ten na modłę naszych przodków, czyli o miłość Ojczyzny. W »Empireum« uzasadniam tezę, że bibliofilstwo jest swoistym bastionem takiego właśnie, niemodnego dzisiaj patriotyzmu ortodoksyjnego, który dla ludzi źle rozumiejących ideę postępu, ludzi wyznających tak zwaną »polityczną poprawność«, stanowi przede wszystkim przejaw zacofania lub wręcz szowinizmu. Zbieranie drukowanych relikwii tradycji narodowej to dokumentowanie i kultuwanie owej tradycji, a tworzenie bogatych księgozbiorów to wznoszenie domowych kaplic patriotycznej pamięci”.

W tym samym wywiadzie pisarz zdradził, że właśnie pracuje nad „Ostatnim

legionem”. Ostatecznie tytuł dwutomowej powieści z czasów V w. brzmi „Ostatnia kohorta”. Waldemar Łysiak zapytany, dlaczego właśnie powieść z czasów upadku Cesarstwa Rzymskiego, odparł:

„Kaźde czasy są dobre, by wokół nich snuć fabułę literacką, gdyż epoka, a nawet sama fabuła, mają, moim zdaniem, drugorzędne znaczenie dla jakości literatury. Rolę pierwszorzędną gra forma przekazu, czyli to, co potocznie nazywamy stylem lub manierą artystyczną”.

Kolejnymi swymi powieściami pisarz właśnie to udowadnia. Waldemar Łysiak opisując choćby perfidię, zło czy pisanie o prawdziwej władzy („deep state”), przenosi czytelnika do współczesnej Polski i świata („Lider”, „4” czy wydany niedawno „Żołnierz”), do wymyślanego średniowiecza („Królewicz i minstrel”) czy nazistowskich Niemiec („Satynowy magik”).

Jednakże twórczość Łysiaka to nie tylko świetne powieści, lecz także... bajki, zarówno dla dzieci, jak i dorosłych, dwie biograficzne pozycje: „Życie erotyczne księcia Józefa” i „Talleyrand. Droga Mefistofelesa”, historyczne „Polaków dzieje bajeczne” i „Historia Saskiej Kępy” oraz zbiory esejów, poczynając od wydanej w 2004 r. „Rzeczypospolitej kłamców”, poprzez dwutomowy „Alfabet szulerów” i „Mitologię świata bez klamek”, na „Karawanie literatury” skończywszy.

Waldemarowi Łysiakowi nie można zarzucić, że nudzi swych czytelników, ale odmówić mu nie można tego, że adwersarzy doprowadza swymi tekstami do pasji, skoków ciśnienia i nerwowych tików.

Nikt, kto zna twórczość Łysiaka, nie może definitywnie stwierdzić, że pisarz już niczym nie zaskoczy, gdyż nie jest to autor z tych, których łatwo można zaszufladkować. Łysiak świetnie się czuje w każdej z literackich dziedzin, które uprawia, ma przy tym genialne pióro i swój niepowtarzalny styl. W przypadku beletrystyki można ją określić prozą przechodzącą miejscami w poezję.

Waldemar Łysiak obchodził 8 marca 74. urodziny. Z tej okazji nie pozostaje mi nic innego, jak w imieniu czytelników złożyć życzenia.

Ad multos annos, Panie Waldemarze!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pisarzem, był dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej im. J. Mackiewicza. W ubiegłym roku ukazała się jego powieść „Miasto umarłych”.



Andrzej Horubała

Nie umiemy umierać, bo nie umiemy żyć.

Taką sentencją ktoś mógłby zamknąć sprawę sztuki umierania, ale prawda to niecałkowita, bo przecież ten ostatni akt naszego bytowania, ten akord finalny ma unikatową specyfikę i wymaga odrębnego przygotowania.

Rok temu, w zeszłym Wielkim Poście, gdy przygotowywałem dla „Do Rzeczy” tekst o estetyce świątyni o. Tadeusza Rydzyka w Toruniu, zrobiłem sobie edukacyjny rajd po różnych warszawskich parafiach i w ceglanym kościele Nawrócenia św. Pawła Apostoła projektowanym na posoborową modłę przez Konrada Kucza Kuczyńskiego i Andrzeja Miklaszewskiego przypadkowo trafiłem na pierwszy dzień rekolekcji księdza Tomasza Bielińskiego. Swym akademickim szlifem, klarownością wykładu, uporządkowaniem, poruszył on we mnie jakąś czułą strunę, niekoniecznie duchową, lecz wszystko to brzmiało na tyle interesująco, że nie zawahałem się, gdy po mszy ujrzałem kapłana przy stolicku z płytami CD z konferencjami pt. „Ostatnia próba wiary. Jak pomóc umierającym przejść na drugą stronę życia”. Kupiłem sobie nagrania tego księdza ze Szkoły Nowej Ewangelizacji diecezji Siedleckiej. I nie pożalowałem.

Niezwykle inspirujące okazały się bowiem te, podane w formie audiobooka, wykłady, które punktem wyjścia uczyniły konstatację świętego Grzegorza Wielkiego o ostatnim kuszeniu, jakiego człowiek doznaje w obliczu śmierci. Zapisał święty ów mąż, a ksiądz Bieliński wybił to na okładce, że „w dniu naszego zgonu przybędzie wściekły i straszny książę tego świata, aby poszukiwać w nas swoich dzieł, skoro przybył nawet do umierającego ciałem Boga” (Homilia XXXIX, Łk 19, 42–47).

Rzeczywiście, rozpamiętywanie męki Pańskiej przychodzi te momenty, gdy do Chrystusa już nawet po modlitwie w Ogrójcu, przybywa szatańska pokusa. Różne postaci przybiera: faryzeuszy, Rzymian, łotra po lewej stronie, i ęci go, by odrzucić misję, zwątpić, by na ostatniej prostej wycofać się, zejść z krzyża, wybawić się. Na paradoks wygląda to wzmoczenie na ostatniej prostej, to nasilenie złych mocy, a jednak – jest faktem. W odniesieniu do zwykłych grzeszników ma oczywiście inny wymiar.

Pisze św. Grzegorz o atakach szatana w ostatnich chwilach ludzkiego życia: „Diaabeł i złe duchy wałem taką duszę otaczają, by przywiódłszy przed oczy jej umysłu nieprawości, jakich się dopuściła, do społeczności swego potępienia je ciągnąć. Pchają się na nią zewsząd, by schwytana w matnię samego kresu już życia widziała, przez jakich wrogów jest osaczana, a mimo to nie mogła znaleźć drogi wyjścia, bo wtedy dobrych czynów dokonywać już nie wolno, skoro wzgardziło się pełnieniem ich wówczas, kiedy było to dozwolone”. I przecież ksiądz Tomasz Bieliński, w posłudze swej często towarzyszący umierającym, uwiarygadnia te zapiski sprzed piętnastu stuleci własnym świadectwem. Opowiada więc o szlachetnych ludziach, którzy zapadali się w zwątpienie, którzy na łożu śmierci nagle, pod wpływem zdałoby się niezrozumiałego impulsu tracili odwagę i odpychali – dosłownie – dłoń kapłana z Najświętszym Sakramentem. Mówi o nagłych wezwaniach rodzin świątobliwych parafian, którzy na końcu drogi przeżywali załamanie i odrzucali sakramentalną pomoc Kościoła.

Ars

Opisuje rozpacz i zmieszanie bliskich oraz własne kapłańskie zmagania – nieomal wręcz fizyczne – ze swymi podopiecznymi, by pomóc im w ostatnich chwilach. Naleganie kapłana na wyznanie wiary, nastawianie na chorego, by przyjął sakramenty – relacje te, podane przez Tomasza Bielińskiego, miękkim spokojnym głosem, rejestrują fundamentalną duchową walkę, którą toczy Kościół o swe dusze, walkę tę samą, o jakiej opowiadał święty Grzegorz, spisując relację o wizji wielkiego smoka, który do piekieł chciał porwać pocziwego brata.

Bieliński w swych radach dla umierających i ich najbliższych zdaje się prosty, banalny nieledwie. Żadnych tu nadzwyczajnych rytów, żadnych ekstraordynaryjnych formuł – twarde codzienne doświadczenie Kościoła: repertuar znanych modlitw, spowiedź, Najświętszy Sakrament, sakrament namaszczenia chorych (nazwany tak beznadziejnie w miejsce „ostatniego namaszczenia” wskutek tabuizacji śmierci). I praktykowane od wieków zachowania: różaniec, gromnica.



Hieronim Bosch „Śmierć skąpca”
(1490–1500) FOT. WIKIPEDIA

Pobrzmiwa w receptach księdza Biełńskiego jakaś twardość zwykłego kapłana, przekonanego o mocy Kościoła, bo przecież rytuały odejścia są wypróbowaną odpowiedzią na wołanie konającego człowieka i sposobem jego prowadzenia w ostatnich chwilach. Prowadzenia na pozór topornego, za nic pozornie mającego podmiotowość chorego, prowadzenia, które nagina człowieka do starych sztywnych formuł i zdać się może nieestosowną słowną przemocą, ale działania wszak niezwykle skutecznego, bo i przeciwnik w ostatnich chwilach rzuca w bój mocne siły i chce zwodzić człowieka.

„Skoro bezwzględny kres kładziony jest nawet temu, co miłowane – powiada św. Grzegorz – wtedy to złe duchy w opuszczającej ciało duszy doszukują się swoich dzieł, wtedy zła, które jako swoje sądzą, rozwijają, by ciągnąć współniczkę na męki”.

I przecież, jak dowodzą konferencje księdza Tomasza, na podstępny Złego, na ten zmierzony atak, sakramenty Kościoła są bronią niesamowicie skuteczną: trzeba zaufać wielowiekowej mądrości Bożej wspólnoty, by oddać się w ręce Miłosiernego.

i z prośbą „o słowa potwierdzające moje dążenie do wspólnego nam celu”), czy to w zapiskach śmiertelnie chorego Andrzeja Bobkowskiego: „Rano wstałem wcześniej o siódmej i bez śniadania pojechałem do kościoła, do »Maryknoll« do spowiedzi i do komunii. Jak się należy do tego »Dżokej klubu«, to trzeba zachowywać reguły”.

A z drugiej strony owe skromne audiokonferencje, z wyliczeniem modlitw stosownych na okazję śmierci z Psalmem 22 na czele („Eli Eli lama sabachtani”) wpisują się przecież w dyskusje najświeższe. Są jakąś odpowiedzią na atrofię życia duchowego i sakramentalnego, którą dobitnie rejestruje współczesny polski film.

Tragiczno-groteskowe „33 sceny z życia” Małgorzaty Szumowskiej (jakże wspaniałe były opowieści tej wrażliwej artystki, gdy na świat patrzyła bez ideologicznych okularów!) czy nawet jej „Body/Ciało”, oba filmy zrodzone z własnych doświadczeń z odejścia rodziców, ale i dokumentalnych zapisów wiejskich rytuałów pogrzebowych na Mazurach, sugestywnie opowiadają o naszym nieradzeniu sobie

świata. I apologia rytuału zdaje się słuszną w obliczu powszechnego zanikania wiary, gdy powtarzanie odwiecznych czynności jest jedyną szansą ocalenia.

Przecież także inny film gdyński – „Cicha noc” Piotra Domalewskiego pokazuje sens trwania. Czasami bowiem to człowiek musi dać się prowadzić rytuałowi, musi do niego dorastać. Skoro nigdy nie jest godzin sakramentu, nigdy. Ale poddając się mu, może odzyskać i nadać sens.

Konferencje księdza Biełńskiego korespondują z przesłaniem wielkiego współczesnego apostoła umierających, księdza Jana Kaczkowskiego i jego książki „Życie aż do końca. Instrukcja obsługi choroby”. Ta rozmowa z Katarzyną Jabłońską, dopełniona poruszającym świadectwem rodziców kapłana oraz naturalistycznym do bólu opisem śmierci człowieka i różnorakich jej objawów, zaobserwowanych w toku hospicyjnej służby księdza Jana, udowadnia potrzebę rozmowy o umieraniu.

Apele księdza Kaczkowskiego o czułość dla odchodzących, zostają przez księdza Biełńskiego dopełnione wołaniem o rytuał.

W zestawieniu z katechezą założyciela puckiego hospicjum konferencje „Ostatnia próba wiary” zdawać się mogą zbyt formalistyczne i chłodne. Kapłan wzywa do męstwa i zaleca często postępowanie prawie siłowe, nastawianie w porę i nie w porę. Opierając się na swym wieloletnim doświadczeniu, każe rodzinie wzywać księdza nawet wtedy, gdy umierający sobie nie życzy spowiedzi. Każe modlić się u boku umierającego, także wówczas, gdy ten protestuje. Bo często zwodzony przez Szatana, opętany myślą, nie zasługuje na zbawienie, dzięki nieustępliwości rodziny, włącza się jednak w odmawianie litanii, napęłnia ufnością i spokojem. Świadom, że diabeł może – jak powiada – „czochrać” człowieka na łożu śmierci, ksiądz Biełński zachowuje postawę egzorcysty, ufny, że

Kościół jest wyposażony w oręż, który potrafi złamać wszystko. Bo przecież – jak powiada pełen nadziei św. Grzegorz Wielki na zakończenie przywoływanej homilii o zburzeniu Jerozolimy: „Jest to pewne i zaprzeczyc tego nie możemy i wyznajemy to z całą prawdą, iż książę tego świata ma w nas wiele swego. Jednakże przy naszej śmierci porwać nas nie zdoła, gdyż staliśmy się członkami Tego, w którym on nic nie ma...”



KS. TOMASZ BIEŁŃSKI
„OSTATNIA PRÓBA WIARY”
SNE SIEDLCE

moriendi

Uwiedziony duchowym smaczkiem w postaci cytatu z Grzegorza Wielkiego i jego opowieści o nadzwyczajnej walce toczzonej na łożu śmierci, mając w pamięci świetną ikonografię dotyczącą ars moriendi, och, ten tłum stworków upostaciowujących grzechy, ta psychomachia i mocowanie aniołków z dyjabłkami, ten homunkulus wyobrażający ludzką duszę, wychodzącą z moribundy, stykam się – za sprawą relacji księdza Biełńskiego – z codzienną praktyką Kościoła, który towarzyszy ludziom w tych kulminacyjnych momentach ich żywota. Kapłan pokazuje, czym dysponuje: sakramenty, parę modlitw, kilka rad dla najbliższych.

Oczywiście trochę w mej relacji naginam, trochę egzageruję, bo w tonie Biełńskiego i w jego radach wyczuwam ten sam gest zaufania rygorystycznym ramom ukształtowanym przez wieki tradycji, który odnajdywałem czy to w porządkowaniu swego życia przez Czesława Miłosza (słynny list do papieża Jana Pawła II z 2 kwietnia 2004 r. z wyznaniem ortodoksji katolickiej

z odchodzeniem. Dodajmy do tego filmy reżyserów z ostatniego festiwalu w Gdyni: niepokojące „Wieża. Jasny dzień” nadzwyczaj utalentowanej Jagody Szcel oraz „Dziki róż” Anny Jadowskiej o atakach Złego i demonicznej przemocy wobec Pierwszej Komunii, a zobaczymy, że faktycznie sakramentalny aspekt posługi Kościoła staje się polem najważniejszej walki duchowej.

Na tle tych ekstrawaganckich artystycznych wypowiedzi spokojny ton księdza Biełńskiego może brzmieć nieefektywnie. Ale kapłan zdaje sobie sprawę, czego wehikułem są sakramenty. Gdy mówi, że spowiedź potrzebna jest umierającemu po to, by w ręce Ojca, tak jak Jezus, oddać ducha swego. Gdy podkreśla potrzebę pozostawania w stanie łaski uświęcającej także tych, którzy odwiedzają konających. Ten pozorny formalizm ma sens, szczególnie w sytuacji ostatecznej walki o dusze odchodzących z tego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Requiem dla czarownika



★★★★★
REŻ. MICHAEL HANEKE
„HAPPY END”
 AUSTRIA/FRANCJA
 /NIEMCY 2017

wyst. Isabelle Huppert,
 Mathieu Kassovitz,
 Fantine Harduin

Zmierzch europejskich bogów czy austriackie gadanie? Michael Haneke nakręcił film, będący sumą jego poprzednich filmów. Obawiam się jednak, że nawet fani twórczości dwukrotnego laureata Złotej Palmy nie będą zachwyceni „Happy Endem”.

Umberto Eco dowodził (w żartobliwym tonie), że im człowiek starszy, tym większą pogardę żywi dla reszty ludzkości, bo stopniowo odkrywa, że nawet osobnicy, których miał dotąd za rozgarniętych, niczego nie wiedzą i nie rozumieją. Śmierć przestaje być dla niego straszna. Skoro na tym łożu padole otaczają nas wyłącznie łajdacy, zakute łby i psychole, to co my tu jeszcze robimy?

Trudno zarzucić 77-letniemu reżyserowi, że odkleił się od współczesności. Wie, co to smartfon, i nie

zawaha się go użyć dla osiągnięcia pożądanego, psychologicznego efektu. Zachował talent do konstruowania wiarygodnych scen, dialogów i postaci. Choć jego diagnozy stały się przewidywalne, to wciąż potrafi narzucić widzom swoją wizję świata, szkoda tylko, że do szpiku kości pesymistyczną. Czyżby Haneke dotarł już do ostatniego etapu ziemskiej wędrówki, wykpionego przez włoskiego semiologa? Brzydzi się ludźmi i niczego dobrego się po nich nie spodziewa?

Tytuł nowego filmu Austriaka rzecz jasna jest szyderczy. Luchino Visconti opiewał dekadencję arystokracji, autor „Białej wstążki” wziął na żab rodzinie bogatych burżujów. Państwo Laurent, mimo pozorowanej serdeczności, ogłady i wyższej kultury, są egoistycznymi potworami. Miłość pojawia się tu je-

dynie w wersji sado-maso („oddaję ci serce, duszę i dupę”). Maski opadają za sprawą Eve, bystrej 13-latk, która przeprowadza się z Arles – miasta, w którym van Gogh obciął sobie ucho, do Calais – sławnego z tłumów imigrantów próbujących przedostać się do Wielkiej Brytanii.

Sędziwy Jean-Louis Trintignant gra seniora rodu i jest to w gruncie rzeczy kontynuacja jego występu w „Miłości”. Isabelle Huppert to zaskoczenie, wciela się w zimną sukę. Jej starszy syn bije rekordy hipokryzji, młodszy miewa ludzkie odruchy i dobre chęci, lecz na co dzień jest żalonym alkoholikiem. Z małej Eve, która karmi chomiki lekami psychotropowymi, też nic dobrego nie wyrośnie. Cztery pokolenia i żadnej nadziei.

„Happy End” – elegancki, ale jadowity pamflet na socjopatyczną rodzinę – wprowadził w konfuzję krytyków, od lat kibicujących mistrzowi. Ukuli więc teorię, że Austriak w aluzyjnej formie przepowiada krach zblazowanej i samolubnej Europy. Samobójczy gen Laurentów jako współczesny odpowiednik grypy hiszpanki? Niestety, jest jeszcze jedna możliwość: Haneke mimowolnie popętnił requiem dla samego siebie. ©©

W TELEWIZJI NA ŚWIĘTA:

PIĄTEK 30 marca:

• „**Piramida strachu**”, reż. Barry Levinson, USA 1985, TVN7, godz. 20

• **Droga Krzyżowa z udziałem papieża Franciszka** – transmisja z Watykanu, TVP1, godz. 20.55

• „**Chrześcijaństwo w Syrii**” (reportaż), TVP1, godz. 22.40

• „**Barabas**”, reż. Richard Fleischer, USA 1961, TVP1, godz. 23

SOBOTA 31 marca:

• „**Zabić Jezusa**”, reż. Christopher Menaul, USA 2015, TVP1, godz. 21.25

• „**Uciekaj!**”, reż. Jordan Peele, USA 2017, Canal+, godz. 21.50

• „**Kaznodzieja z karabinem**”, reż. Marc Forster, USA 2011, TVP Kultura, godz. 23.50

NIEDZIELA 1 kwietnia:

• „**Tam, gdzie Bóg płacze**” (dokumentalny), reż. Piotr

Grabowski, Polska 2018, TV Trwam, godz. 17

• „**Piękna i Bestia**”, reż. Bill Condon, USA 2017, HBO, godz. 18

• „**Słońce i cień. Gustaw Holoubek**” (dokumentalny), reż. Jan Holoubek, Polska 2007, TVP Kultura, godz. 19.20

©© **wybrał Piotr Gociek**

Nikt tu nie zginie

W Syrii, czyli nigdzie. Mężczyźni są nieobecni: walczą, próbują zdobyć żywność, szukają sposobu na ucieczkę z matni. W domach zostali starcy, kobiety i dzieci. Zabarykadowali się w obawie przed rabusiami. Zastanawiali się, czy nie ułatwić zadania snajperom. Trzeba być samobójcą, by ryzykować wyjście przed zapadnięciem zmroku. Nigdy też nie wiadomo, czy do drzwi puka wróg czy przyjaciel. Kto mógł, ten wzięł już nogi za pas. Są problemy z dostępem do Internetu, z kranów nie płynie już woda. W takiej scenerii rozgrywa się akcja filmu opatrzonego przez polskiego dystrybutora pompatycznym tytułem „W czterech ścianach życia”.

Z dziewięciu osób, uwięzionych w mieszkaniu, które znalazło się na linii frontu, najmocniejszy charakter ma Oum, żona gospodarza, który gdzieś się zawieruszył. „Nikt tu nie umrze”, „To jest mój dom i nikt mnie stąd nie wyrzuci” – zaklina rzeczywistość.



★★★★★
REŻ. PHILIPPE VAN LEEUW
„W CZTERECH ŚCIANACH ŻYCIA” („INSYRIATED”)
BELGIA/FRANCJA/LIBAN 2017

wyst. Hiam Abbass,
Diamand Bou Abboud,
Juliette Navis

Belg Van Leeuw (rocznik 1954) działał w reklamie. Jako reżyser debiutował filmem o ludobójstwie w Rwandzie. Syryjską tragedię celowo odarł z konkretności. Nie wiadomo, jaką religię wyznają bohaterowie i czym zajmowali się przed wojną. Widz ma się z nimi utożsamić i pomyśleć: „A co ja bym zrobił, widząc sąsiada padającego od kuli na parkingu?”. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZIMA W SERCU

W rezerwacie Wind River ginie młoda Indianka. Śledztwo prowadzi agentka FBI, ale najważniejszą osobą w dochodzeniu jest pomagający jej miejscowy myśliwy. Białe, lecz uznawany przez miejscowych za swego (ożenił się z Indianką) – w tej roli świetny Jeremy Renner. Historia jest inteligentnie opowiedziana i cudownie sfilmowana (zimowe, surowe górskie pejzaże). Pytanie, kto jest sprawcą, napędza fabułę, w istocie jest to jednak film o tym, jak radzimy sobie ze stratą, o poczuciu winy i o niesprawiedliwości, która ma tu kilka wymiarów. Bogaci żerują na biednych, miastowi gardzą wsiowymi, biali prosperują kosztem rdzennych mieszkańców Ameryki. Ten ostatni przekaz wybrzmiewa najmocniej, ale film broni się świetnie i bez ładunku politycznego. Stworzył go Taylor Sheridan, człowiek, który napisał scenariusz do „Sicario” i „Aż do piekła”, a teraz pokazał, że wyrasta z niego nietuzinkowy reżyser. Na pewno jeszcze nieraz o nim usłyszymy.



★★★★★
REŻ. TAYLOR SHERIDAN
„WIND RIVER. NA PRZEKŁĘTEJ ZIEMI”
USA 2017,
MONOLITH

wyst. Jeremy Renner, Elizabeth Olsen,
Kelsey Asbille

MÓJ TATO ZŁOCZYŃCA

Filmy „Lego: Przygoda” i „Lego: Batman” wysoko postawiły poprzeczkę, a pierwszy z nich wywołał nawet entuzjazm krytyków. Jednak wszystkie chwytły się zużywania i kiedy mija zaskoczenie, nadchodzi zmęczenie. W „Lego Ninjago” są niby te same elementy – niesamowite tempo, zabawna animacja, mnóstwo popkulturowych gagów (bardziej czytelnych dla rodziców niż dzieci) i dużo muzyki, ale całość jest mało świeża, a i humor zdaje się pośledniejszy. Główny bohater to Lloyd, nastoletni syn złego Garmadona próbującego podbić krainę Ninjago. Na jego drodze staje zgrana drużyna wojowników ninja, w której pierwsze skrzypce gra właśnie Lloyd. Największymi przeciwnikami bohaterów są jednak ich własne słabości – Lloyd nie rozumie, na czym polega jego wyjątkowość, Garmadon jest ofiarą własnego strachu i złych wyborów, a morał okaże się oczywisty: bądź wierny sobie, znajdź siłę, która w tobie drzemie.



★★★★★
REŻ. CHARLIE BEAN, PAUL FISHER
„LEGO NINJAGO: FILM” („THE LEGO NINJAGO MOVIE”)
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. Jackie Chan, Dave Franco, Fred Armisen

© recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „SEA OF THIEVES”

A gdyby tak rzucić wszystko, zostawić za sobą stały ląd, wsiąść na ukradziony galeon i ścąć postrach na morzach i oceanach? I gdyby jeszcze do tego robić to ze znajomymi albo z losowo spotkanymi internautami, którzy pomogą w kierowaniu piracką łajbą? Mało tego, gdyby zostawić za

sobą uczciwe, stateczne życie i ruszyć szukać skarbów? Być może takie pytania kołatały się w głowie twórców „Sea of Thieves” – sieciowej gry akcji z elementami RPG. Tylko zamiast uciekać ze swoich biur, postanowili przekuć marzenia w udaną grę, w której kooperacja i zarządzanie pod-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

władnymi uczynią z ciebie wirtualnego pirata. ©

Marcin Makowski

- Gatunek: Akcja/MMO
- Platforma: iOS
- Producent, dystrybutor: Rare/Microsoft
- Klasyfikacja wiekowa PEGI: 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sen o amerykańskiej wizie

Bohater powieści Edgara Hilsenratha – Jakob Bronsky – nasuwa skojarzenia z domniemanym ojcem Oskara Matzeratha z „Blaszanego bębena” Güntera Grassa, Janem Brońskim, ale poza zbieżnością nazwisk łączy ich jedynie, i to nie do końca, czas, w którym rozgrywa się akcja tych powieści. Jakob jest synem żydowskich emigrantów z Europy, który w Nowym Jorku w roku 1953, samotny, bez pracy i pieniędzy, nocami pisze powieść, a w dzień albo ima się rozmaitych dorywczych zajęć, albo opowiada wojenne dzieje swojej rodziny. Oczywiście tym, którzy chcą go słuchać, takim samym jak on emigrantom z Europy, którą przejechał walczyć hitleryzmu, która doświadczyła Holocaustu.

Życiorys Jakoba przypomina nieco biografię Hilsenratha. Też, jak pisarz, urodził się w 1926 r., też dzieciństwo spędził w Niemczech, tyle że nie w Lipsku, lecz w Halle. I tak jak pisarz wyemigrował do Ameryki, by w końcu powrócić do Niemiec. Edgar Hilsenrath znany jest ze swoich książek, w których w ryzykowny sposób łączy tematykę Holocaustu z groteską i humorem, co samo w sobie wydaje się niemożliwe, a jednak pisarzowi się to udaje, o czym świadczy np. sukces jego znanej i u nas powieści „Nazista i fryzjer”, opowiadającej o ukrywającym się w Izraelu i pracującym tam w zakładzie fryzjerskim byłym zbrodniarzu wojennym.

„Fuck America” w swoim pierwszym planie jest satyrą na Stany Zjednoczone, ale i oskarżeniem Amerykanów o obojętność wobec zagłady Żydów. Już w prologu powieści autor zamieszcza listy, które ojciec jego bohatera wymienia przed samą wojną z amerykańskim konsulem w Berlinie, którego błaga o przyznanie wiz imigracyjnych dla niego i jego



rodziny – w obliczu zbliżającej się hekatombi. Konsul zasłania się obowiązującym w Ameryce systemem kwotowym, zachęcając polskiego Żyda (pochodzącego, jak powiada zainteresowany, „z Galicji, prowincji, która obecnie należy do Polski”), do jak najszybszego złożenia odpowiednich dokumentów, które pozwolą mu na wystawienie wzmiankowanych wiz – już! – w roku 1952. I tak się też rzeczy mają.

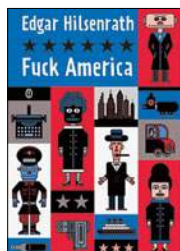
Ameryka wczesnych lat 50. nie jest krajem przyjaznym. Podskórny rasizm, zimna wojna, bezwzględny konsumpcjonizm, wszystko to zniechęca takich ludzi jak Jakob Bronsky, przesiadających w emigranckiej kafeterii na rogu Broadwayu i 86 ulicy i obracających się wśród takich jak on – ludzi, którym się nie udało bądź nie chcieli uczestniczyć w wyścigu szczurów. Nie mają nic, biedują, ulegają nałogom. 27-letni bohater Hilsenratha owładnięty jest przy tym obsesją seksualną. Jakby w przeciwwadze do tego, co zaprzęta jego myśli w trakcie pisania. Nie wyzwolił się on przecież z tego, co przeżył w latach wojny, a jednak życie dopomina się o swoje, przypomina o swoich

prawach. Tu akurat w sposób brutalny. Bohater doprowadza się do stanu, w którym o seksie myśli na okrągło, a że możliwości na realizację swego wybujałego popędu seksualnego ma mocno ograniczone, nic dziwnego, że zaakceptuje podpowiedziany mu tytuł swej powieści – „Koniował”.

Bronsky prowadzi życie oszusta. Ucieka z restauracji, nie płacąc rachunków, w autobusach udaje, że pomylił trasę, by darmo przejechać choć jeden przystanek, podbiera jedzenie współlokatorom, pracownikiem jest koszmarnym, wszystko jedno, czy zmywa i pomaga w kuchni, pakuje paczki, myje okna i samochody, stróżuje jako portier. To, że z Ameryki wyjeżdża, jest oczywiste, także i dlatego, że swoją książkę pisze po niemiecku, co samo w sobie zdumiewa całe jego otoczenie. Wyobraża więc sobie powrót do Niemiec, które zagwarantują mu wikt i opierunek, strawę duchową (książki), a nawet seks. „Bab mamy pod dostatkiem – powiada sekretarz Fundacji Wina i Zadośćuczynienie. – To przede wszystkim żony byłych esesmanów, ale też inne, które same są wprawdzie niewinne, ale wierzą w winę zbiorową i chcą odpokutować za nas wszystkich”.

W tej groteskowej wizji nie zapomni Hilsenrath i o Polsce. To w naszym kraju, wspomina znajomy Bronsky’ego, naziści zmuszali go w 1940 r. do spożywania szynki, wpychając mu ją do ust. Jakoba zaś, kryjącego się na okupowanych terenach Polski, chłopci katują i zabierają mu pieniądze, a „polscy chrześcijanie” po likwidacji getta plądrują pożydowskie mieszkania.

Jednym słowem, groteska groteską, a opowieść o Holocaustie jakby ta sama. Okładkę książki zdobi sześć gwiazdek. Moim zdaniem wystarczy połowa. ©



★★★★★
EDGAR
HILSENATH
„FUCK AMERICA”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ślad Białego Wilka

Opowiadania przychodzą i przychodzą, a wiedźmina ani śladu. „Czekałem na Białego Wilka, obawiając się, że opisani zostaną wszyscy, tylko nie on” – wspomina prace jury Marcin Zwierchowski z „Nowej Fantastyki”. Chodzi o prace przysyłane na konkurs literacki rozpisany z okazji 30-lecia pojawienia się w popkulturze wiedźmina Geralta. Nie dziwi mnie wcale, że stający w szranki autorzy wracali do samego wiedźmina niechętnie. Przecież odbył już swoją podróż w opowiadaniach i powieściach Andrzeja Sapkowskiego, wiemy, skąd przybył, jakie przemiany go dotknęły i do czego to wszystko wiodło.

Reszta ferajny, inne postaci z wiedźmińskiego świata? O tak, tu się zgodzę, Sapkowski naszkicował tak wielu bohaterów, wymyślił (lub przetworzył) tak wiele potworów i krain, że oddający hołd pisarz ma gdzie hulać.

Nie zagłębiając się w szczegółowe analizy, bo antologia zawiera 11 wyróżnionych opowiadań, zauważę tylko z uznaniem, że trzymają poziom. Znajdziecie tu kilka tekstów bardzo dobrych, resztę kwalifikuję po prostu do dobrych. Zwycięski „Kres cudów” Piotra Jedlińskiego faktycznie

jest najlepszy, ale jednocześnie budzi wątpliwość co do granic naśladownictwa jako metody twórczej. Podczas jego lektury nie opuszczała mnie myśl, że autor poddał oryginalne teksty „Sapka” tak dogłębnej analizie i tak mocno rozłożył je na czynniki pierwsze, że mógł stworzyć podróbkę doskonałą. Tylko czy w literaturze szukamy podróbek?

Właśnie – czego szukali, co pamiętali uczestnicy konkursu? Co zostało z lektury wiedźmińskich opowieści w głowach fanów? Nie gniewajcie się, wyróżnieni obywatele, ale niewiele. Że człowiek to z istot chodzących pod słońcem największy potwór, że kto ma władzę, ten posunie się do wszystkiego, by ją utrzymać, i że Geralt to seksowny osobnik, z którym chciałaby przespać się każda czarodziejka. Pokpiwam, ale mój cel jest następujący – zastanówmy się, co jeszcze zostałyby z książek Sapkowskiego po wyciśnięciu

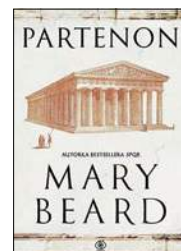
esencji i odrzuceniu warsztatu. Może więc rację mają ci, którzy twierdzą, że Sapkowski wspiął się na szczyt sławy nie dzięki temu o czym pisze, lecz dzięki temu, jak pisze. Jedni badacze mówią „literacki recycling”, inni „postmodernizm”. Łatwo gadać, trudniej zrobić – o tym konkursowa antologia przypomina również. ©©



★★★★★
AUTORZY RÓŻNI
„WIEDZMIN.
SZPON I KŁY”
SUPERNOWA
2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Dlaczego Partenon wyściskały wzruszenia?” – pyta autorka i znakomicie na to pytanie odpowiada w monografii, która nie tylko odsłania tajemnice świątyni na Akropolu, lecz także jest opowieścią o naszym stosunku do historii. No i polityce.



MARY BEARD
„PARTENON”
REBIS

Zbiór tekstów układający się w nieznaną większość, pasjonującą historię ruchu kibicowskiego – od PRL („nigdy z komuną nie będziem w aliansach”) do czasów obrony pamięci o żołnierzach wyklętych i patriotycznych pielgrzymek kibiców.



KS. JAROSŁAW
WĄSOWICZ
„SEKTOR POLSKA”
PATRIA MEDIA

Nastolatka z zaburzeniami lękowymi, zaginiony milioner, pierwsze miłości i przyjaźnie. Nowa powieść autora hitu „Gwiazd naszych win”. Niezła, bo Greene to autor myślący i delikatny, pamiętający, co bolało, gdy byliśmy młodzi.



JOHN GREEN
„ŻÓŁWIE AŻ DO
KONCA”
BUKOWY LAS

Wznowienie jednej z najlepszych i najbardziej ekscytujących powieści fantasy, która nicując i obśmiewając stereotypy gatunku, jednocześnie oddaje im hołd i sama z nich korzysta. Opatrzona specjalnym rocznicowym wstępem. ©©



WILLIAM
GOLDMAN
„NARZĘCZONA
KSIĘCIA”
WYDAWNICTWO
JAGUAR

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Małgorzata Musierowicz** „Ciotka zgryzotka” (Akapit Press) – 22. już tom cyklu „Jeździada”, jedyne w swoim rodzaju fenomenu literackiego.
2. **Remigiusz Mróz** „Testament” (Czwarta Strona) – siódmy tom kryminalnego cyklu, którego bohaterką jest Joanna Chyłka.
3. **Marta Galewska-Kustra** „Pucio i ćwiczenia z mówienia” (Nasza Księgarnia) – trzeci tom świetnej serii edukacyjnej dla dzieci (autorka jest znanym logopedą).
4. **Katarzyna Michalak** „Promyk słońca” (Znak) – drugi tom nowej trylogii dla pań, rozpoczętej powieścią „Gwiazdka z nieba”.
5. **Justyna Kopińska** „Z nienawiści do kobiet” (Świat Książki) – reporterka „Wyborczej” (zaskoczenie) piętnuje patologie polskiego wymiaru sprawiedliwości.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Bonito)



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Wiem, że niedziela Zmartwychwstania Pańskiego i liturgia wigilii wieczery paschalnej to kulminacja roku liturgicznego. Mnie jednak obrzędy Wielkiego Postu zachwycają o wiele bardziej.

Znam kościoły, w których w Poście, codziennie o godz. 6 rano, rozbrzmiewają laudesy, czyli modlitwa brewiarzowa. Są parafie, w których z wielką dbałością, pięknie, celebrowa się Drogę Krzyżową. W Polsce mamy, nieznane w żadnej innej katolickiej tradycji, nabożeństwo pasyjne – Gorzkie żale. I w końcu, niesamowicie w swej dramaturgii, Triduum Paschalne, z wielogodzinnymi, wieczornymi nabożeństwami, często z udziałem chórów, solistów. W wielu kościołach zakonnych odprawia się również poranne nabożeństwa Ciemnej Jutrzni. Szczególny wyraz ma ta celebrowana, w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę, w katowickiej Archikatedrze.



Zespół Śpiewaków Miasta Katowice
Camerata Silesia pod dyktando Anny
Szostak
FOT. ROMAN KOSZOWSKI/FOTO GOŚĆ/FORUM

Muzyka na Wielki Piątek

Charakter medytacyjnego czuwania, wykorzystującego psalmy i hymny zanurzone w tradycji chorału gregoriańskiego, sprawia, że uczestniczymy w wydarzeniu rozpiętym między modlitwą a widowiskiem. Obok mistrzowsko wykonywanych utworów chóralnych jest miejsce na powściągliwą inscenizację, grę świateł, gest i poetyckie teksty.

Muzyczne czuwanie, od sześciu już lat, organizuje Zespół Śpiewaków Miasta Katowice, czyli Camerata Silesia. Szefowa zespołu, Anna Szostak, każdego roku przygotowuje nieco inny repertuar. W tegorocznym programie znajdzie

się „Miserere” Gregorio Allegri, chorałowe „Crux Fidelis” i „Popule Meus”. Zabrzmie też polska wersja improperii, czyli znana pieśń „Ludu, mój ludu”, ale we współczesnym opracowaniu młodzieżowej wokalistki jazzowej Sabiny Myrczek (córeczki Anny Szostak). Biblijne i poetyckie teksty będzie recytował jej ojciec, aktor bielskiego teatru Adam Myrczek. Modlitwę, już po północy, zwieńczy „Requiem” Jamesa Whitbourna, z udziałem świetnego saksofonisty prof. Pawła Gusnara i organisty Tomasza Orłowa. ©© **Ciemna Jutrznia – Archikatedra św. św. Piotra i Pawła, Katowice, Wielki Piątek, 30 marca, godz. 23.**



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Gadająca głowa nadaje

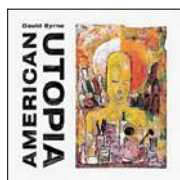
Lider nieodżałowanych Talking Heads wydał pierwszy solowy album od 14 lat. Nie próżnował. Nagrywał płyty z muzyką filmową, teatralną i koncertową oraz podpisał krążki wspólnie z Brianem Eno, Fatboy Slimem i St. Vincent.

Jednak „American Utopia” jest nie tylko pierwszym od dawna piosenkowym albumem Byrne’a, ale w pewien sposób nawiązującym do dokonań Talking Heads. Niestety, nie muzycznie, lecz tematycznie. Nowojorczyk postanowił zmierzyć się ze światem współczesnych mu przeciwnych Amerykanów. Napisał 10 irracjonalnych mikroopowieści, w których zamiast stawiać tezy, diagnozuje stan chaosu i tworzy alternatywną wizję USA. Opisuje ludzi, którzy są oszołomieni i przy-

tlóczeni problemami, a także otaczającymi ich możliwościami. Aby było zabawniej, w kilku piosenkach rzeczywistość widzimy oczami różnorodnych zwierząt.

Byrne napisał teksty pod rytmiczne, elektroniczne podkłady stworzone przez Briana Eno. Następnie wraz z kilkoma mistrzami produkcji przerobił utwory na piosenki. Otrzymaliśmy dźwiękową feerię mieniącą się barwami odzwierciedlającymi nastroje bohaterów piosenek.

„Amerykańska utopia” przypomina „True Stories”, album Talking Heads z 1986 r. Jednak dowcip Byrne’a jest ostrzejszy, ton chłodniejszy, a całość zdecydowanie mniej radosna. Może dlatego płytę należy przesłuchać kilkakrotnie, by móc w pełni odkrywać jej warstwy. ©©



★★★★★
DAVID BYRNE
„AMERICAN
UTOPIA”
TODOMUNDO



★★★★★
METRUM
„ZIELONY DACH”
GAD

Socjalistyczna dyskoteka z 1977 r. w wykonaniu katowickich studentów (m.in. Jarosława Śmietany) prof. Zbigniewa Kalemby. Wspaniałe aranżacje na pulsującą sekcję rytmiczną i smyczki sprawiają, że instrumentale brzmią porywająco. ©©



★★★★★
BLACK LABEL
SOCIETY
„GRIMMEST HITS”
SPINEFARM

Potężna porcja ponurego metalu w wykonaniu zespołu Zakk Wylde, który ostrogi zdobywał u boku Ozzy’ego Osbourne’a. Dwanaście premierowych kilerów z kostuchą w tle usmażonych na sabbathowsko-zeppelinowskim oleju. Wyłącznie dla smakoszy. ©©



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 26
MARCA
2018

PIERWSZY ODCINEK SERII **Wielka wojna przodków Mieszka I**

Wyjaśniamy, co działo się w Wielkopolsce i na terenie
władztwa Piastów przed objęciem władzy przez Mieszka I.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH:



Polska Grupa
Energetyczna



Gintrowski
a jednak coś po nas zost
1988 rokiem Zygmunta Herberta

Po zwycięskiej bitwie

Pierwszy z koncertów „A jednak coś po nas zostanie” nie mógł odbyć się w innym mieście. To właśnie bowiem na zaproszenie Wrocławia w 2012 r. Przemysław Gintrowski dał swój ostatni koncert, o czym przypomniał Marek Mutor, dyrektor wrocławskiego Centrum Historii Zajezdnia



Teraz piosenki Gintrowskiego wróciły do stolicy Dolnego Śląska, a dokładnie przyjechały do Narodowego Forum Muzyki – nowoczesnego kompleksu czterech sal koncertowych. Adres NFM okazał

się nieprzypadkowy – plac Wolności, bo też i o wolności bard Solidarności śpiewał przez całe życie, nawet wtedy, gdy używał do tego innych słów. Paradoksalnie jego pragnienie wolności po 1989 r. nie zdezaktualizowało się,

zostało tylko inaczej ukierunkowane: nie na walkę z systemem, ale na przypominaniu o tej walce. – Człowiek, aby wiedział, dokąd idzie, musi wiedzieć, skąd pochodzi – wypowiedź muzyka zacytowała prezes Fundacji im.



Publiczność nagrodziła artystów owacjami na stojąco. Na zdjęciu: Krzysztof Napiórkowski, Renata Przemyk, Mateusz Ziółko, Krzysztof Kiljański, Aleksandra Gintrowska, Adam Szerszeń, Julia Gintrowska, Rafał Bartmiński

FOT. RADOŚLAŃ NAWROCKI/FUNDACJA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Przemysława Gintrowskiego, Katarzyna Gintrowska.

Tę muzykę zwykle kojarzymy z latami 80., z małymi salkami i prywatnymi mieszkaniami, gdzie w ścisłości słuchaczy niepodzielnie królowała prosta gitara.



Jacek Sutryk, dyrektor departamentu spraw społecznych, Rafał Dutkiewicz, prezydent Wrocławia, Katarzyna Gintrowska, prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego, Aleksandra Gintrowska, aktorka i piosenkarka, Michał Maciej Lisiecki, prezes PMPG Polskie Media SA

FOT. RADOŚLAŃ NAWROCKI/FUNDACJA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

W nowych aranżacjach Jana Stokłosa, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej NFM pod jego dyрекcją, piosenki Gintrowskiego zyskały drugie, pełne oddechu życie. Okazało się, że nie są tak jednowymiarowe, jak się powszechnie sądzi, i doskonale bronią się bez „konspiracyjnego” kontekstu. Na szczęście też wykonawcy – m.in. Renata Przemyk, Krzysztof Kiljański czy Krzysztof Napiórkowski – nie starają się naśladować chropowatego głosu Gintrowskiego, bo też głos ten był przecież niepodrabialny. Zamiast imitacji proponują swoją interpretację znanych nam wszystkim piosenek. Gdzie trzeba, są delikatni, tak jak Ola Gintrowska w „Modlitwie”, gdzie trzeba – bez pardonowo ostrzy, tak jak Mateusz Ziółko w utworze „Gdy tak siedzimy nad bimbrem”. Córka barda, Julia Gintrowska, pokazała inne, bardziej osobiste oblicze kompozytora, gdy zaśpiewała jego piosenkę z filmu Macieja Ślesickiego „Tato”. W trakcie utworu mogliśmy zresztą oglądać, wyświetlane na telebimie, wzruszające zdjęcia Przemysława z małą Julią z wakacji nad morzem.

Najbardziej zaskoczyły nas „Mury”. Piosenkę – hymn Solidarności – trudno wyobrazić sobie w innej niż ikoniczna interpretacji. Tymczasem tenor Rafał Bartmiński i baryton Adam Szerszeń rozpoczęli utwór po włosku, a zakończyli go po polsku, przez cały czas pozostając w tonacji operowej! Na zakończenie jednak producentka koncer-

tu, Gabriela Gusztyn-Popławska, oddała pole samemu bohaterowi wydarzenia – gdy na scenie stanęło puste krzesło, z głośników popłynął głos Przemysława Gintrowskiego śpiewającego „Dokąd nas zaprowadzisz, Panie”, do którego z każdym słowem dołączał kolejny, obecny tego wieczoru wykonawca.

– To koncert, który przejmując i porusza do głębi. Dla mnie to osobista wędrówka do czasów z przełomu szkoły średniej i studiów, gdy legendarne piosenki Gintrowskiego towarzyszyły nam w czasie długich letnich nocy przy ognisku i gitarze – powiedział po widowisku Jacek Sutryk, dyrektor Departamentu do spraw Społecznych Urzędu Miejskiego we Wrocławiu. – Ta pełna pasji i zaangażowania muzyka pozwalała nam rozumieć, a może bardziej odczuwać, to, co przeżywało pokolenie Gintrowskiego, dla którego muzyka była swoistym artystycznym polem walki. My mieliśmy to szczęście, że dla naszego pokolenia było to już pole po zwycięskiej bitwie.

Koncert podobał się nie tylko dyrektorowi Sutrykowi – publiczność zgłotowała artystom kilkuminutową owację na stojąco. Dla tych, którzy nie dotarli do Wrocławia, mam dobrą wiadomość: kolejne koncerty „A jednak coś po nas zostanie” odbędą się w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim (maj), w Poznaniu i Krakowie (wrzesień) oraz w Teatrze Polskim w Warszawie (grudzień).

Igor Kościelniak

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Morze pomyj i fekaliów, które wylano na Polskę i Polaków w mediach zagranicznych w ostatnich miesiącach, spowodowało, że rodacy nad Wisłą w końcu doświadczyli tego, co my – Polonia, szczególnie w USA – doświadczamy regularnie od kilkudziesięciu lat. Piszemy i mówimy o tych faktach od dawna, a nieobcy ze światem krajowcy zbywali nas parsknięciami. No, to macie za swoje. Szkoda, że przez wasz brak wyobraźni, obycia, wykształcenia i profesjonalizmu po raz kolejny dokopano Polsce.

Upokarzająca, samonakręcająca się fala propagandowa pokazała absolutny brak związku z narracją Polaków. Nie mówię tu o polsko-żydowskich post-Sowietach czy post-Polakach, a osobach, które – różniąc się politycznie – zgadzają się z grubsza na polski consensus. Czyli uważają, że, po pierwsze – Polska była ofiarą Hitlera i Stalina; po drugie – Polacy walczyli z totalitaryzmami brunatnym i czerwonym; a po trzecie – że nie byliśmy współodpowiedzialni za Holocaust oraz że nie jesteśmy współsprawcami tej tragedii. Na to żaden Polak nie może się zgodzić, chociaż jest to muzyka dla uszu post-Sowietów i post-Polaków. Rzecz w tym, czy Polacy nad Wisłą rozumieją, że nie mają do czynienia z wojną domową, lecz z dalszym ciągiem mentalnej okupacji, której przedstawiciele i zwolennicy zaprzeczają tradycyjnej narracji polskiej. Robią to jednak po polsku, potęgując echo zagranicznej kakofonii dotyczącej percepcji najnowszej historii RP, a szczególnie stosunków polsko-żydowskich.

Jaką lekcję po tej sytuacji odebraliśmy? Tych lekcji jest kilka. I warto się nad nimi poważnie zastanowić.

LEKCJE MIĘDZYNARODOWE

Lekcja pierwsza pokazuje ekstremalne umiędzynarodowienie wewnętrznych spraw Polski dotyczących szczególnie stosunków polsko-żydowskich, ale nie tylko. W dobie internetu i mediów społecznościowych każdy politycznie niepoprawny dowcip, każde potknięcie,

Polskie



Marek Jan Chodakiewicz
z Waszyngtonu

Polsko-żydowska burza medialno-dyplomatyczna na razie przycichła. Może nawet pomóc krajowi, jeśli Polacy wyciągną z niej odpowiednie wnioski

choćby w nie-wielkiej miejscowości – zwykle podsunęte usłudze przez post-Polaków – dadzą pretekst do grillowania nas na międzynarodowym forum. Polki i Polacy nie mogą już z niesmakiem machać ręką na kretynów palących kukłę chasyda czy dwóch prowokatorów z dwoma rasi-stowskimi plakatami na demonstracji patriotycznej gromadzącej 100 tys. osób albo na histerię czcicieli bogini Ziemi na widok brygady robotników wycinających drzewo w Puszczy Białowieskiej. Trzeba zakładać, że przekaz tego wszystkiego jest już medialnie zinternacjonalizowany. Więcej – należy sobie zdać sprawę z tego, że część informacji w obiegu międzynarodowym jest zmanipulowana. Do pewnego stopnia jest to wynikiem „przedsięwzięć aktywnych” Rosji. Kreml wyśmienie potrafi igrać z emocjami Polaków.

Na przykład nagle ostrze krytyki zwraca się w kierunku Polskiej Fundacji Narodowej. Można powiedzieć – nie znając szerokiego kontekstu – że to w pewnym sensie krytyka zasłużona. Wśród krytyków są i pravicowe polskie media. Nie wiedzą nawet, kto im to podpowiedział, ale wałą po oczach. Szkopuł w tym, że jeśli może nie podobać się szefostwo tej fundacji i jej działalność nacechowana jest potknięciami,

lekcje



ISRAEL

to są przecież także jej sukcesy (np. życzenia bożonarodzeniowe dla Ameryki). A najważniejsze jest to, że fundacja istnieje i jest to jedyna tego typu instytucja, która stara się w jakiś sposób przebijać z polską narracją.

Tymczasem na Zachodzie mamy kilka tysięcy fundacji, organizacji i instytutów, które od dekad forsują antypolską narrację (pomijając te działające w Rosji). Dlatego skupmy się na reformowaniu PFN, a nie niszczeniu tej potencjalnie pozytywnej instytucji. Solidnych planów reformy nie widziałem. Może ktoś mógłby podpowiedzieć szefom, że trzeba mieć plan strategiczny i merytoryczne przygotowanie? To byłby dobry początek.

Lekcja druga w kontekście międzynarodowego dialogu to konieczność wyrażania swoich racji w płynnym rytmie politycznej poprawności. Usłyszeliśmy, że Polska nienawidzi wolności, bo wprowadza ustawę przeciw „polskim obozom koncentracyjnym”. Zabrakło rządowej odpowiedzi, która przekonałaby, że chodzi o wolność, ale również i odpowiedzialność za oplaskywanie kraju. Należy czuć, żeby każdy następny krok był poprzedzony

dialogiem i tłumaczeniem, że jest to wprowadzanie wolności, sprawiedliwości i równości. Ważne, by polski przekaz był przepełniony troską o to, o co zachodni mainstream troszczy się w danym momencie. To duża sztuka wyrażać swoje racje językiem zrozumiałym dla innych i przez nich akceptowanym. Politycznie niepoprawne treści trzeba wyrażać tak, aby brzmiały politycznie poprawnie.

POLSKA – IZRAEL

Lekcja trzecia dotyczy stosunków Polska – Izrael. Do tej pory Polacy postępowali jak przyjaciele, właściwie dawali za darmo, cokolwiek Żydzi chcieli. „The New York Times” opisywał, jak po 1989 r. Polska pomogła stworzyć most powietrzny dla sowieckich Żydów – przemieszczało się nim 500 osób co tydzień. Finansowane było to m.in. częściowo z pieniędzy podatników, a częściowo z funduszy aferalnej spółki Art-B. Czas zmienić podejście. W ONZ Polska popiera Izrael właściwie permanentnie. Stale też prawie staje po stronie państwa żydowskiego w sporze ze światem arabskim. Broni Izraela na forum Unii Europejskiej. Odcina się od antysyjonicznej narracji, która jest obecnie modną formą lewicowego antysemityzmu.

Co z tego ma? Niewiele. Jest bezwzględnie i planowo wykorzystywana. Otwarcie się na izraelski kapitał jest głównie w interesie strony posiadającej kapitał. Zamożni dyktują warunki. Tubylcy co najwyżej mają jakieś zyski wtórne – pracę nie na swoim.

Proizraelską politykę tłumaczy się często amerykańskim filosemityzmem. Czy polska polityka musi się opierać jednak na *carte blanche* dla Izraela? Jest tego wiele aspektów. Czy np. nadwiślanscy rodacy koniecznie muszą polegać na pośrednictwie izraelskim w handlu bronią z USA? Naprawdę nie mają swoich talentów? Ależ mają! W kraju i w diasporze. Kompetentnych. Dlaczego ich nie rekrutować? Najboleśniesz jest jednak to, że Tel Awiw hurmem dołącza się do antypolskiej narracji, postępuje Warszawę, ma czelność domagać się zmiany polskich praw demokratycznie wprowadzonych i ingerować w wewnętrzne interesy suwerennego państwa. Na to nie powinno być pozwolenia. W tym kontekście trzeba się też strzec fałszywych przyjaciół i hochsztaplerów, którzy zawsze starają się wkraść w łaski i wylansować za pomocą Polek i Polaków, aby zbić ich z tropu oraz osłabić polską narrację pod płaszczykiem rzekomej troski i serdeczności. Należy przestać łaknąć aprobaty i sympatii osób, które dbają jedynie o swój interes. Należy trzymać z tymi, którzy widzą, że przyjazna Polska opłaca się Izraelowi.

Polska powinna teraz zacząć grać mądrze. Przede wszystkim musi domagać się *quid pro quo* od Izraela i organizacji żydowskiej diaspory. O każdą sprawę należy się targować. Domagać się uznania za uprawnione naszych interesów i spraw, a w tym – w imię wolności – polskiej narracji historycznej. Jak? Na przykład gdziekolwiek na świecie pojawiają się „polskie obozy koncentracyjne”, ambasador RP podpisuje z ambasadorem Izraela otwarty list protestacyjny przeciw takiemu przejawowi rewizjonizmu Holokaustu. Jeśli nie, to wyzywa się izraelskich dyplomatów na dywanik i odpowiednio zachęca do współpracy, np. przypominając, jak ślicznie opiekuje się polskimi grobami Teheran, gdzie Polska może dostać tanią ropę w zamian za mniej ciepłe stosunki z Tel Awiwem.

LEKCJE NARRACYJNE

Lekcja czwarta to szokujący rozróżnienie między narracją polską i postpolską w kraju oraz zupełna jedność narracji postpolskiej z narracją globalną na temat najnowszych dziejów polskich. A narracja polska



■ jest przecież absolutnym zaprzeczeniem wyobrażenia o historii RP poza jej granicami, szczególnie na Zachodzie, a także w Rosji. Oznacza to, że narracja w obecnej formie nie ma szans na zaistnienie na Zachodzie.

Lekcja piąta uczy o skutkach rozziwiania narracyjnego. Nawet przetłumaczone na angielski polskie racje mają bardzo małą szansę zaistnienia w medialnej sferze za granicą, ponieważ znajdują się tak daleko poza mainstream, że są po prostu odrzucane. Ponieważ mainstream jest głównie lewicowy czy liberalny, wszystko, co od tego odstaje, uznawane jest za „skrajną prawicę”, „faszyzm”, „antysemityzm” oraz „rasizm” czy „homofobię”. Gdy ideologicznie narracja polska zaprzecza narracji mainstreamowej, żadna szanująca się platforma mediowa (internet, radio, telewizja, druk) nie zaryzykuje przedstawiania polskich opinii (postpolskich naturalnie tak).

Do tego dochodzi zagadnienie komercyjne. Chyba nikt nie da reklam przy treściach odstających od mainstreamu, czyli uchodzących za kontrowersyjne. Ponadto prawie nie ma – oprócz niszowych – platform medialnych, które w imię pluralizmu czy ze względu na osobistą sympatię i zaufanie zgodzą się puścić teksty tłumaczące, o co Polakom chodzi, choćby w sprawie „polskich obozów koncentracyjnych”. Aby bronić swoich racji, trzeba mieć gdzie publikować opinie takich ludzi jak Matthew Tyrmand czy Max Denken. Dopóki takie platformy nie powstaną – w języku angielskim, prowadzone profesjonalnie przez native speakerów jako redaktorów, ze współpracą osób potrafiących wypowiedzieć się po angielsku i znających na wskroś kulturę anglosfery – dopóty nie ma o czym mówić. Tłumaczenie samozwańczych mędrców z nad Wisły jest niewystarczające. To musi być stale podtrzymywany dialog prowadzony wielowątkowo z wielu platform medialnych, a w tym przede wszystkim z tych stworzonych z inicjatywy prywatnej i z prywatnych funduszy, a nie rządowych, za pieniądze podatnika.

LEKCJE O MENTALNOŚCI

Lekcja szósta to wykład o mentalności Zachodu. Z naszego punktu widzenia największy wpływ na nią miała nieobecność zniewolonej Polski. Przez pół wieku właściwie nie było żadnego niezależnego polskiego głosu. Pozostawała pamięć

o II RP i o dzielnych Polakach w II wojnie światowej. Jednak przecież już międzywojenna Polska miała kiepską prasę urabianą przez Komintern, jego agentów wpływu i postępowych użytecznych idiotów, którzy miedlili latami na wszelkie sposoby o „pańskiej Polsce”, „faszystowskim rządzie w Warszawie”, „antysemickich Polakach”. Inwektywy o kolaboracji z Hitlerem i współpracy w rzekomym mordowaniu Żydów oraz jeńców sowieckich przez polskie podziemie zatrąły atmosferę do tego stopnia, że stały się nieuchronnie częścią zachodniego mainstreamu w mediach i na uczelniach. Ostro broniła się przed tym emigracja niepodległościowa, ale ci ludzie powoli odchodzili.

Przyszła rewolucja kontrkulturowa lat 60. ubiegłego wieku, która przystroiliła w nowe szaty narrację kominternowską. Połączyła ją z haggadą żydowskich ofiar Hitlera i ich dzieci, opartą na niezwykłych relacjach i wyrwykowych wrażeniach strauumatyzowanych ludzi, którzy jednak coraz częściej wyrażali swój ból po angielsku. Do tego doszło pokłosie emigracji po 1968 r., która amplifikowała

kiem redakcji pisma społeczno-historycznego „Glaukopis”.

Lekcja siódma to obnażenie skutków braku zrozumienia istoty długoterminowej krzywdy wyrządzonej Polsce. To szokujący brak docenienia gwałtu na zniewolonym umyśle Polek i Polaków. Polska była w niemieckiej, a potem sowieckiej niewoli przez ponad pół wieku. Mentalnie dopiero teraz nieśmiało zaczęła się wynurzać z postkomunizmu.

Zmiany mentalnościowe są najtrudniejsze i trwają najdłużej. Implikacje nieobecności Polski na scenie międzynarodowej i implikacje długiego trwania świadomości sowieckiej narzuconej Polkom oraz Polakom terrorem i propagandą są tragiczne. Całe pokolenia pozbawiono możliwości współpracowania i porozumiewania się z wolnymi ludźmi Zachodu. Całe pokolenia nie mogły się rozwijać, edukować, podróżować i poznawać języków. Całe pokolenia wyrastały w kompleksie niższości maskującym się jako kompleks wyższości. Stąd prawie wszyscy nad Wisłą to „debeściaki”, choć często myślą tak o sobie niedouczone kiepsciaki.

Najbardziej palącym zadaniem jest zbadanie stosunków polsko-żydowskich. Należy naukowo zweryfikować relacje dostępne m.in. w Yad Vashem czy Żydowskim Instytucie Historycznym

swoje żale i chętnie wpisała się w zwycięską narrację po angielsku, która do 1980 r. była w stanie stać się mainstreamem. Opanowała ona popkulturę, a jej symbolem w USA był film telewizyjny „Holocaust”, w którym polscy żołnierze w mundurach z orzełkiem rozstrzelali Żydów w getcie warszawskim. Do tego dołączył William Styron w powieści „Wybór Zofii”, w której pokazano, jak to koncepcję Holokaustu, eksterminacji Żydów, wymyślił dla Hitlera Polak, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego – naturalnie endek. Następnym logicznym krokiem były „polskie obozy koncentracyjne”.

Jednym słowem – podczas nieobecności Polek i Polaków – w wolnym świecie percepcję o Polsce kreowali ludzie wrodzy krajowi lub co najmniej tacy, którym nasza ojczyzna była obojętna. Wyszła z tego Polska w krzywym zwierciadle. I świat jest absolutnie nieprzygotowany na prawdę o nas. To wszystko jakoś umknęło większości polskich elit nad Wisłą, może z wyjąt-

Niemcy, Sowietci i ich kolaboranci skazali Polki oraz Polaków na los niewolników. A niewolnicy – bez względu na ich intelektualną błyskotliwość – są w pewien sposób upośledzeni. Im szybciej nad Wisłą zdadzą sobie sprawę z tych procesów, tym sprawniej będzie można z tego postsowieckiego bagna mentalnościowego wyjść. Niestety, nie wychodzi się tak prosto.

LEKCJE O PROFESJONALIZMIE

Lekcja ósma to zupełny brak przygotowania merytorycznego Polek i Polaków do obrony interesów naszego kraju. Dotyczy to przede wszystkim rządu PiS. Jednak nie łudźmy się – nie jest przygotowane do tego właściwie żadne ze środowisk polskich, które są w opozycji do PiS (nie mówimy tutaj o totalnej opozycji, która jest postpolska). Trzeba się do wszystkiego przygotować.

Lekcja dziewiąta to obnażenie słabości uwidaczniających się podczas obrony polskiej narracji. Najpierw widać było men-

talność niewolniczą, mentalność reaktywną, a nie pro-aktywną wśród wielu osób, które z racji pełnionych funkcji powinny się wybijać na tym polu, np. w MSZ. Raził brak strategii i permanentne przebywanie w defensywie. Szokowała nieumiejętność profesjonalnego zrozumienia uwarunkowań kulturowych innych nacji, do których przedstawiciele nie potrafiono dotrzeć. Z drugiej strony przykro się robiło, patrząc na reakcje emocjonalne ludzi bojowych, którzy „dobrze chcieli, a wyszło tak jak zwykle”. Tak być nie może.

LEKCJE KOŃCOWE

Co robić? Działania muszą być trójtorowe: prywatne, rządowe i zagraniczne. Trzeba oddolnie zmobilizować Polaków. Musi być propagowany podziw dla inicjatyw oddolnych. I trzeba dać na nie środki. Należy np. zmienić prawo podatkowe tak, aby ludzie mogli mieć pełen odpis podatkowy za dary na rozmaite fundacje i inne organizacje zajmujące się zachęcaniem i finansowaniem badań nad historią Polski. To uaktywni rodzące się w bólach obywatelskie inicjatywy narodowe. Pilnie bowiem trzeba wygenerować strukturę, która zastąpiłaby bojówkarskie fundacje, instytuty i zespoły tzw. społeczeństwa obywatelskiego, finansowane przez George'a Sorosa i jemu podobnych bądź wzorowane na paradygmacie centralkulturowym preferowanym przez to środowisko.

Dotyczy to również elementów sowieckiego nowotwora tzw. Polskiej Akademii Nauk i postkomunistycznych oraz postpolskich jacejek na uniwersytetach. Dość antypolskiej narracji za polskie pieniądze. Wolność naukowa musi istnieć, ale nie muszą za to płacić Polacy. Niech post-Polacy bredzą, co chcą, za własne pieniądze. Należy odciąć państwowe dofinansowanie takim postpolskim strukturom, usunąć z budżetu w ogóle albo – jeśli inaczej nie można – przekazać na polskie obywatelskie inicjatywy.

Aby wyzwolić ruchy oddolne i dać sobie radę z postpolskimi instytucjami, trzeba najpierw zacząć porządkować sprawy na poziomie państwowym. Przede wszystkim musi powstać strategiczne centrum koordynujące rząd. Rząd musi wiedzieć, co rząd robi. Nie może być tak, że Ministerstwo Sprawiedliwości wypycha bombę ustawową, a Kancelaria Premiera nie ma o tym pojęcia, nie mówiąc już o MSZ. Wynika z tego konieczność odchudzenia biurokracji państwowej i jej profesjonalizacja.

Priorytetem jest pozbyć się post-Polaków i zastąpić ich osobami kompetentnymi. Najlepiej, by te miejsca zajęli Polacy, a jeśli nie, to eksperci-najemnicy pod polskim nadzorem. Ostrzegam jednak, że Polacy nadzorujący musieliby najemnikami rządzić i ich kontrolować, a jest to możliwe tylko wówczas, jeśli będą na jednakowym poziomie intelektualnym.

ZESPÓŁ KOMUNIKACJI STRATEGICZNEJ

Następnie, w ramach centrum koordynującego, należy powołać zespół komunikacji strategicznej podzielony odpowiednio na sekcje: badawczą, analityczną, narracyjną oraz koncepcyjną. Ta ostatnia byłaby kluczowa, wyznaczałaby strategię i pozyskiwałaby środki na osiągnięcie celów, w tym za pomocą stypendiów zagranicznych, aby zapewnić profesjonalizację kadry. Do pracy w takich zespołach najlepiej zatrudnić młodych ludzi polskiego pochodzenia, wykształconych na amerykańskich i brytyjskich oraz innych zachodnich uniwersytetach.

Zespół komunikacji strategicznej powinien zorganizować małe placówki za granicą. W każdym kraju mikroskopijska obsługa (dwie-trzy osoby) powinna mieć bazy danych: profesjonalistów w zakresie PR, dziennikarzy, tzw. intelektualistów publicznych, oraz identyfikujących się z polskością, a nie z postpolskością członków diaspory polskiej – zarówno organizatorów lokalnych społeczności i ich prominentnych przedstawicieli, jak i indywidualistów, którzy potrafią pisać oraz przemawiać bądź wesprzeć finansowo czy logistycznie takie przedsięwzięcia.

Placówki zagraniczne powinny się cieszyć dużą autonomią. Muszą wiedzieć, jak zwracać się z konkretnymi prośbami do diaspory. Należy emigrantów zachęcać w rozmaity sposób, w tym odznaczeniami i innymi nagrodami oraz wyróżnieniami z Polski, stypendiami dla ich dzieci. Warto też pomóc w ustanawianiu instytucji badawczych i naukowych poza lewackimi uniwersytetami, aby tworzyć miejsca pracy dla nowych kadr niezbędnych dla osiągnięcia celów strategicznych narracji polskiej. Trzeba również rekrutować i opłacać obcych ekspertów, zwykle do konkretnych projektów, chociaż garstkę wypróbowanych można zatrudniać na kontrakty czasowe – uzależnione od skali sukcesu.

To wszystko musi powstać wszędzie, gdzie jest polska emigracja. Cała akcja musi

być skoordynowana z warszawskim zespołem komunikacji strategicznej i zaaprobowane przez centrum strategiczne rządu.

WYZWANIE NAUKOWE

Bez szeroko rozumianej pomocy naukowej będzie bardzo trudno osiągnąć sukces w komunikacji strategicznej. Kluczowa jest dekomunizacja uniwersytetów i ośrodków badawczych. Nie tylko po to, aby wypełnić antypolską narrację z instytucji publicznych, ale by wypromować polskie kadry do centrów intelektualnych potrzebnych do przeprowadzenia ogromnej roboty merytorycznej z zakresu najnowszych dziejów Polski.

Najbardziej palącym zadaniem jest zbadanie stosunków polsko-żydowskich. Należy naukowo zweryfikować wszystkie relacje żydowskie dostępne w Żydowskim Instytucie Historycznym, Yad Vashem, US Holocaust Memorial Museum i kilku innych depozytach archiwalnych, głównie w USA. Powinno się tego dokonywać prowadząc badania w mikroskali. Każdy powiat II RP z okresu międzywojennego musi zostać w ten sposób opracowany. Dopiero potem należy zająć się wojną i okupacjami: niemiecką oraz sowiecką, jak również wydarzeniami powojennymi przynajmniej do 1947 r.

Instytut Pamięci Narodowej powinien już dawno oddelegować co najmniej dwóch naukowców na każdy powiat. Zając się kwestiami politycznymi, społecznymi, gospodarczymi, demograficznymi oraz kulturowymi. Paradygmat stworzył niżej podpisany niemal 20 lat temu na przykładzie Kraśnika – Janowa Lubelskiego. W tej chwili priorytetem powinno być dogłębne zbadanie powiatu Dąbrowa Tarnowska. Funkcjonujący na Zachodzie opis tego terenu jest chyba jeszcze bardziej wydumany niż obowiązująca tam narracja o Jedwabnem.

Bez badań w mikroskali trudno dobrze ująć polską narrację i dać jej naukową podbudowę. Prawie niemożliwe jest też ustosunkowanie się do szczegółowych i generalnych zarzutów wobec Polek i Polaków. A badania na mikroskali wymagają wsparcia lokalnych entuzjastów i społeczników, którzy są w stanie przekazać tajemnice rodzin i miejscowości, uratować fakty od zapomnienia. Dopiero na tym może opierać się solidarna działalność władz, a w tym i zespołu komunikacji strategicznej w kraju oraz za granicą. To się właśnie nazywa zintegrowana strategia. Good luck.



Dlaczego zamożność jest na cenzurowanym? W piosence z 1993 r. „Pana Rejowe gadanie” Jacek Kaczmarski narzekał:

Skąd pogodę wziąć ducha? Skrzynie puste, sień głucha,

Cnoty grosza nie rodzą, jeszcze w spaniu przeszkodzą.

Świat każdego pobodzie, kto z poduszką w niezgodzie.

Kaczmarski przeciwstawił materialny dostatek cnotie – w tym sensie jego muzyczne żale dobrze sprzedawałyby się w dzisiejszej Polsce. Albo cnota – albo zamożność. To nie pada całkiem wprost z ust rządzących, ale gdzieś między wierszami pojawia się przekonanie, że finansowy sukces musi być powiązany z kombinowaniem, oszukiwaniem, wyzyskiwaniem. Stare przeciwstawienie „Polski solidarnej” „Polsce liberalnej”, które miało pomóc PiS wygrać wybory w 2007 r., choć nie jest dzisiaj przypominane, jest realizowane w praktyce.

Beata Szydło w swoim exposé z listopada 2015 r. zapowiadała: „Ale już dzisiaj chcę powiedzieć, co przede wszystkim zrobimy w czasie pierwszych stu dni naszych rządów. [...] Po trzecie, podniesienie do 8 tys. zł kwoty wolnej od podatku. [...] Zdecydowanie odrzucamy tezę, która ciąży nad nami od 25 lat, że w sprawach odnoszących się do interesów społeczeństwa, szczególnie jego gorzej materialnie sytuowanej części, nic nie da się zrobić. Da się”.

Była to wygłoszona wprost zapowiedź podwyższenia kwoty wolnej dla wszystkich, i to w ciągu pierwszych stu dni. Tymczasem osobom zamożniejszym kwoty wolnej nie tylko nie podwyższono, lecz wręcz przeciwnie – całkowicie ją zlikwidowano, co odczuły już płacąc podatki za 2016 r. Nic nie wskazuje, żeby obietnica byłej premier miała być kiedykolwiek przez PiS spełniona. Bogatsi zapłacili swoimi podatkami za drugą część zacytowanej wypowiedzi Beaty Szydło. Podwyżkę kwoty wolnej otrzymali jedynie ci zarabiający rekordowo mało.

Taką politykę w pełni wspierał ówczesny wicepremier Mateusz Morawiecki. W wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” z listopada 2016 r. na pytanie o zwiększenie kwoty wolnej wyłącznie dla najuboższych odpowiadał: „Dla osób, które zarabiają więcej, nie powinno być moim zdaniem kwoty wolnej”. I dodawał: „Wracając do pytania o degresywność – rzeczywiście mamy degresywny system podat-

Bogactwo, czyli złoto?



Lukasz Warzecha

PiS emabluje „zwykłych Polaków”, a dla zamożniejszych nie ma żadnej propozycji. Przy czym za bogacza może zostać uznany ktoś, kto jest tylko trochę lepiej sytuowany niż większość



kowy, który trzeba zmieniać w kierunku progresywnego, tak żeby krańcowa stawka podatkowa dla tych, którzy zarabiają więcej, była wyższa niż dla tych, którzy zarabiają mniej”.

KARANIE ZA ZARABIANIE

Ta ostatnia wypowiedź mówi najwięcej o tym, z jakim paradygmatem dotyczącym zamożności mamy do czynienia. To spór pomiędzy filozofią, która zakłada karanie ludzi za to, że więcej zarabiają – taki jest sens podatków progresywnych, gdzie wyższe zarobki oznaczają, iż trzeba oddawać państwu większą ich część – oraz tą, która uważa, że każdy powinien przekazywać do wspólnego worka identyczną część swoich zarobków, bo przecież zamożniejszy

w liczbach bezwzględnych i tak zapłaci więcej niż uboższy.

Bardzo interesujący wgląd w sposób myślenia Mateusza Morawieckiego dała też rozmowa, którą przeprowadził z nim (także dla „DGP”) jeden z najbogatszych polskich przedsiębiorców, prezes firmy Fakro, producenta okien, Ryszard Florek. Florek doskonale wyczuwał linię partii rządzącej. Jego pierwsze pytanie brzmiało bowiem: „Odnoszę wrażenie, że rząd koncentruje się na razie na mniej lub bardziej sprawiedliwym dzieleniu biedy – program »Rodzina 500 plus«, »Mieszkanie plus«. Czy starczy państwu czasu i siły, aby zająć się w Polsce tworzeniem bogactwa, czyli powiększaniem tego tortu, który jest do podziału?».

Morawiecki zaoponował: „Nie zgodzę się z tezą o dzieleniu biedy. Nasze działania to raczej zmniejszanie napięć społecznych, zmniejszanie nierówności.

Elementarna sprawiedliwość jest wysoko na naszych sztandarach. Zresztą międzynarodowe instytucje finansowe, uważane dotąd za mekkę liberalizmu – a mam na myśli Międzynarodowy Fundusz Walutowy czy Bank Światowy – wskazują dziś na potrzebę zmniejszania tych nierówności i dokonywania redystrybucji dóbr”.

Warto te słowa przeczytać uważnie, bo choć od tamtej rozmowy minęło wiele mie-

sięcy, a Morawiecki objął ster rządu, nie straciły nic na aktualności. Paradoksalnie, stwierdzając, że nie zgadza się z tezą Florka o dzieleniu biedy, Morawiecki ją przecież w następnym zdaniu potwierdził.

OBSESJA NIERÓWNOŚCI

Obsesja na punkcie nierówności napędza takich guru antyliberalizmu jak fetowany przez Jarosława Kaczyńskiego Thomas Piketty, autor „Kapitału w XXI wieku”, biblii gospodarczej lewicy. Dlaczego „obsesja”? Istnienie nierówności, naturalne przecież dla każdej normalnej gospodarki, uważają bowiem za naczelną ekonomiczną problem. Jeśli stawianie ich likwidacji na pierwszym miejscu Morawiecki uznaje za kwestię elementarnej sprawiedliwości, to powinniśmy się bać. Znaczy to bowiem, że mamy do czynienia z krucjatą czysto ideologiczną, w ramach której to, że jedni mają więcej, a inni mniej, zostaje uznane za niesprawiedliwość.

Interesująco pisał o tym w styczniu w brytyjskim „The Telegraph” Ryan Bourne, ekonomista z konserwatywno-liberalnego amerykańskiego think tanku Cato Institute (polskie tłumaczenie za portalem Forum Obywatelskiego Rozwoju): „Poglądy, że wzrost nierówności jest zły, a ich zmniejszanie dobre, przenikają debatę publiczną. To moralny fundament wezwania Corbyna [przywódca brytyjskich laburzystów – przyp. red.] do szeroko zakrojonej redystrybucji dochodów i bogactwa przez rząd.

A jednak według ekonomisty Angus Deatona, laureata Nagrody Nobla, martwienie się o to, czy nierówności rodzą problemy, takie jak spowolnienie wzrostu czy osłabienie demokracji, to patrzeć na sprawę przez zły koniec lunety. »Nierówność to nie tyle przyczyna procesów gospodarczych, politycznych i społecznych, co ich konsekwencja«, konkluduje Deaton. [...]

Współczynnik Giniego, statystyka dochodu czy wskaźnik udziału 1 procenta najbogatszych w majątku są zbiorczą, zsumowaną charakterystyką nierówności, ale nie mówią nic o tym, jak powstała. A to, czy otrzymany rezultat uznamy za »sprawiedliwy«, czy »niesprawiedliwy«, zależy, jak przyznaje Deaton, od przyczyn, które do niego doprowadziły.

[...] Nie chodzi o to, by twierdzić, że wzrost nierówności to »dobra rzecz«, ale by nie uogólniać, że im mniej nierówności, tym lepiej. Stanowisko Corbyna, implikujące, że »redukcja nierówności«





■ jest zjawiskiem pożądanym, opiera się o propozycje polityczne, które według innych mierników mogą być wyjątkowo szkodliwe. Powinniśmy o tym pamiętać, gdy mówimy o »ograniczaniu nierówności« przez rządy. Wpływanie na dystrybucję nieuchronnie oznacza ingerencję w ludzkie działania. Możemy zmniejszyć nierówność (przynajmniej tymczasowo) przez deportację lub eksterminację bogatych ludzi. Ale czy to przyniesie korzyść tym, którzy pozostali? Trudno to sobie wyobrazić”.

Bourne wskazuje także, że wiele czynników sprzyjających równości trudno uznać za pożądane. Takimi były choćby grasująca w Europie w XIV w. dżuma czy wojny światowe.

Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki wydają się iść w ślady wspomnianej przez Bourne’a lidera brytyjskich laburzystów. Chętnie przywołują Piketty’ego, ale nikt chyba nie słyszał, by powoływali się publicznie na Adama Smitha, Ludwiga von Misesa, Friedricha von Hayeka, Frédérica Bastiata czy nawet Mirosława Dzielskiego. Myśl klasycznego liberalizmu wydaje się im obca i wroga. Nie tylko zresztą, gdy chodzi o samą gospodarkę. To samo dotyczy opozycji pomiędzy wolnością obywateli a państwowym paternalizmem. Tutaj PiS pobił chyba wszelkie rekordy III RP.

GRUNT ZAWIŚCI

Problem w tym, że wszystko to zalatuje hipokryzją. Swoją fascynację Piketty’em ogłasza prezes Kaczyński, który od lat żyje wyłącznie z polityki i praktyka rynkowego funkcjonowania – czy to jako pracodawca, czy pracobiorca – jest mu całkowicie obca. O zarabiających całe 6 tys. zł netto mówi jako o bogaczach premier Morawiecki, którego majątek szacowany jest na kilkanaście milionów złotych. Coś tu zgrzyta.

Antyliberalne zagrywki rządzących trafiają na podatny grunt zawiści. To żadne odkrycie – mechanizm psychologiczny jest tutaj przejrzysty. PiS odwołał się w swojej retoryce do „zwykłych Polaków” – mających gorzej, którym się nie powiodło, którzy się nie dorobili. Jest wśród nich część takich, którzy polegli w autentycznym starciu z układem, szczególnie w drugiej połowie lat 90. i pierwszej lat dwutysięcznych. Obsadzenie systemu bankowego wczesnej III RP przez pogrobowców służb, dających kredyty swoim, było faktem. Niektórzy mogą zatem mieć uzasadnione przekonanie, że jeśli wtedy się komuś udało, to nie dlatego, że był dobry w tym,

co robił, ale dlatego, że miał układy. A jeśli ktoś poległ, to nie dlatego, że był słaby, ale dlatego, że nie był w układzie. Wystarczy wspomnieć historię Optimusa i Romana Kluski. Jednak nawet ci, właśnie z powodu własnych doświadczeń, mają skłonność do wylewania dziecka z kąpielą i są gotowi zaliczać do „układu” również tych, którzy na swoje majątki zapracowali uczciwie.

Inni, którym poszło po prostu przeciętnie, będą szukali łatwego wyjaśnienia swojego niesatysfakcjonującego statusu. Jeśli sąsiad prowadzi firmę, odnosi sukcesy, kupuje lepszy samochód, stawia większy dom – to możliwe są dwie reakcje. Pierwsza, typowa szczególnie dla etosu amerykańskiego, to podziw dla jego dokonań i próba dorównania im. Druga, na której bazuje w dużej mierze PiS, to tłumaczenie sobie sukcesu sąsiada jego nieuczciwością. „Ja jestem uczciwy, więc jestem biedny” – myśli część Polaków i głosi na tych, którzy to jego proste wyjaśnienie wspierają retoryką i praktyką.

KTO BOGATY, A KTO BIEDNY?

No dobrze. Jednak jak faktycznie ma się sprawa z nierównościami w Polsce? Pikettyści będą się czasem odwoływać do średniego wynagrodzenia, które w grudniu 2017 r. wynosiło niespełna 5 tys. zł, ale średnia jest miarą zwodniczą. Windują ją nieliczne, za to bardzo wysokie zarobki. Chętniej więc sięgną po medianę, czyli – mówiąc w uproszczeniu – wskaźnik, po obu stronach którego znajduje się identyczna liczba elementów. Polska mediana w 2016 r. wynosiła zaledwie 2016 zł.

Ważny jest także wskaźnik nierówności. Eurostat przedstawia go jako stosunek dochodu 20 proc. najlepiej zarabiających do dochodu 20 proc. najgorzej zarabiających, zatem im wskaźnik mniejszy, tym mniejsze nierówności. Średnia dla UE 28 państw w 2016 r. wynosiła 5,2 (20 proc. zarabiających najwięcej ma dochód 5,2 razy większy niż 20 proc. zarabiających najslabiej). Wskaźnik wynosił aż 7,9 w Bułgarii, 7,2 – w Rumunii, 7,1 – na Litwie. Z kolei w Czechach tylko 3,5, 3,6 na Słowacji, 4,1 w Austrii i Danii, 4,6 w Niemczech. W Polsce było to 4,8 – spadek o jedną dziesiątą w stosunku do poprzednich lat, gdyż poziom 4,9 utrzymywał się od 2012 r. Nierówności w Polsce zmniejszają się zresztą systematycznie od 2006 r., który rozpoczyna tabelę Eurostatu – wtedy wskaźnik dla naszego kraju wynosił 5,6.

Lewica krzyczy, że skoro polska mediana to zaledwie trochę ponad 2 tys. zł,

to trzeba zwiększyć obciążenia „bogaczy”, którzy – według niej – zaczynają się już od 5 czy 6 tys. zł netto. To oczywisty absurd. Gdyby poziom bogactwa miały wyznaczać mediana czy nawet średnia, trzeba by uznać, że w ubogim afrykańskim kraju „bogaczem” jest już posiadacz sprawnego roweru i telefonu komórkowego. Fakt, że ktoś jest relatywnie bogatszy niż większość danego społeczeństwa, nie czyni go jeszcze krezusem. Nie ma tu w ogóle ostrego kryterium, ale można przyjąć, że próg bogactwa wyznacza raczej to, na co można sobie pozwolić, niż to, ile się zarabia. Polski rzekomy bogacz według Zandberga czy Morawieckiego, zarabiający w wielkim mieście 8 tys. zł netto, z kredytem hipotecznym na karku i dwójkiem dzieci w wieku szkolnym, nie jest oczywiście żadnym krezusem. Wręcz z trudem łapie się do klasy średniej.

Nie ma tu bezwzględnych kryteriów, bo koszty życia nie są identyczne w różnych miejscach. Wydaje się jednak, że rozsądne jest definiowanie zamożności jako sytuacji, gdy przy zapewnieniu bieżącego funkcjonowania gospodarstwa domowego na wysokim poziomie – duży, nowoczesny i dobrze wyposażony dom, dwa samochody, wyjazdy na zagraniczne wakacje, być może prywatna szkoła dla dzieci – spokojnie można jeszcze odłożyć drugie tyle, ile wydaje się co miesiąc na życie. A wciąż nie będzie to prawdziwe bogactwo, jedynie zamożność. To, że zamożność tak definiowana dotyczy może paru procent Polaków, nie ma tu nic do rzeczy.

PiS, stawiając głównie na wyrównywanie różnic, musi siłą rzeczy postawić na transfery, czyli ustawiać państwo w roli janosika: zabieramy bogatszym, żeby rozdać biedniejszym. W dużej mierze tak działa „500+”, nawet jeśli nie ma tu ograniczenia dochodowego. Tyle że na transferach nie da się zbudować gospodarczej pomyślności społeczeństwa. Taka próba to jak wyciąganie się barona Münchhausena z bagna za swoje własne włosy.

Fundamentalne dla zachodniej myśli liberalnej dzieło Adama Smitha nosi tytuł „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów”. Bogactwa, które jest stanem pożądanym i słusznym. Klasyk myśli liberalnej na pewno mocno by się zdziwił, gdyby powiedziano mu, że niemal 250 lat po wydaniu jego książki bogactwo będzie uznawane za z natury podejrzane.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PIĄTEK 13 KWIETNIA | 18:45 | TORWAR | WARSZAWA

DUMNI Z WAMI

RAJEWSKI · CELIŃSKI · JENEL · BISZCZAK · KASPERSKI

MIĘDZYNARODOWY MECZ K1
POLSKA vs ROSJA

DSF KICKBOXING 14
CHALLENGE

BILETY NA WWW.DSF14.COM



RED IS BAD™



Prezident Andrzej Duda podczas swego dobiegającego już półmetka urzędowania nie mówił jak dotąd głupstw. Za to jak już zaczął, to na całego. Nazajutrz po tym, jak premier Morawiecki przypomniał, że w roku 1968 nie było niepodległej Polski – pan prezydent zdezawuował go i powracając do jedwabieńskiej narracji Aleksandra Kwaśniewskiego, ogłosił, że „Polska przeprasza” Żydów, których wypędziła na fali czystek po Marcu 1968.

Logika nakazywałaby na jednym oddechu dodać, że Polska przeprasza również tych, których za udział w marcowych zamieszkach spałowała, aresztowała,

pierwszego antysemitę III RP nie przyćmiła znaną sławę pierwszego mizogina, pierwszego homofoba, pierwszego islamofoba, pierwszego rasisty, a także pierwszego anglofoba, którego wieczór autorski, gdyby się był na Wyspach odbył, zdolny byłby zagrozić ustrojowym podstawom byłego mocarstwa, wciąż jeszcze mającego „wielkość” w nazwie.

Ze wszystkich tych zaszczytnych tytułów, na które ciężko pracuję swą publicystyką, najbardziej chyba – stwierdzam po namyśle – zaniedbałem sławę reprezentanta „ukrytej opcji rosyjskiej”. Niby wszyscy wiedzą, a jak nie wiedzą, niech spytają dowolnego PiS-owca, najlepiej takiego od

Thumacząc z języka dyplomatycznego na prosty – gdyby jakaś bijatyka z Ruskimi, to my, oczywiście, bardzo chętnie piszemy się na pierwszą linię.

Nie wiem, czy „stoimy ręką w rękę” to najlepsze określenie – premier Morawiecki nie zdążył chyba jeszcze odłożyć słuchawki, kiedy przyszła wiadomość, że Władimir Putin zadzwonił do Donalda Trumpa i obaj wielcy tego świata umówili się na pogawędkę, by wyjaśnić dzielące ich chwilowo nieporozumienia. Nasza ręka wyciągnięta do pogrożenia Putinowi trochę więc jakby zawisła w powietrzu. Można by nawet bardziej kwieciste powiedzieć, że z czymś w tej ręce zostaliśmy, ale nie brnijmy w metafory.



Rafał A. Ziemkiewicz

**Putin pogrywa z Zachodem, bo ten mu na to pozwala.
Polska nie powinna włączać się do udawanej walki z Moskwą**

Polska ręka na Putina

uwieźliła, odebrała im paszporty i wręczyła „wilcze bilety” oraz na inne sposoby zła-mała zyciorysy. A nie ma też powodu, żeby – skoro już pan prezydent w tym duchu zaczął – nie przeprosił także w imieniu Polski za strzelanie do robotników w Czerwcu ’56 i Grudniu ’70, za stalinowskie więzienia i eksterminację żołnierzy wyklętych, za „ścieżki zdrowia” w Radomiu... Jednak z jakichś powodów tych narzucających się, logicznych konsekwencji swych przeprosin pan prezydent nie zauważył. To nic, za granicą zauważą je sami.

Nie będę się dzisiaj dłużej pastwić nad tą we wszech miar nieszczerą wypowiedzią tylko dlatego, że muszę nieco dbać o wizerunkową równowagę, mówiąc krótko – wziąć chwilę na wstrzymanie z tematyką pomarcową, aby moja sława

Macierewicza i „Gazety Polskiej”, że każdy endeck to „priwislanin” i agent Moskwy. Skoro wspomniany już na wstępie pan prezydent i kilku innych przedstawicieli najwyższych władz dają mi po temu okazję, to korzystam.

Oznajmił mianowicie pan prezydent – a raczej, zrobił to za niego Krzysztof Szczerski – że w ramach sankcji nie pojedzie do Rosji na inaugurację mundialu. Daruję sobie narzucające się uwagi, jak bardzo wstrząśnie to Rosją i Rosjanami. Tym razem zapowiedź prezydenta okazała się kompatybilna z zapowiedziami premiera. Ten w rozmowie ze swoją brytyjską odpowiedniczką, Teresą May, obiecał, że „stoimy ręką w rękę” z naszymi zachodnimi przyjaciółmi w konfrontacji z nielegalnymi i agresywnymi działaniami Rosji.

Dość będzie dwóch słów – „jak zwykle”. Jeśli ktoś wyobraża sobie, że Wielka z nazwy Brytania i cały w ogóle Zachód, dostawszy od Putina siarczasty policzek, nagle ocknie się z letargu i „coś” zacznie robić, a przy okazji tego „czegoś” odwzściży nam się za poparcie, upominając się także o wrak tu-polewa i wyjaśnienie śmierci polskiego prezydenta wraz z towarzyszącą mu oficjalną delegacją – to czas na szukanie kwiecistych metafor jeszcze przyjdzie, i to niebawem.

@ Złapmy byka za rogi i zadajmy podstawowe pytanie: Dlaczego Kreml idzie na taką granę jak otrucie „nowiczoikiem”, gazem produkowanym i dostępnym tylko w Rosji, wymienionego szpiega, łamiąc pewne niepisane zasady i upokarzając Brytyjczyków, a wraz z nimi całe NATO?

Odpowiedź brzmi – bo może.

A skąd wie, że może?

Bo to wcześniej sprawdził.

Bo, na przykład, otrul Aleksandra Litwinienkę polonem, pierwiastkiem produkowanym i dostępnym tylko w Rosji – i co się takiego stało? Wielka Brytania wydalila rosyjskich dyplomatów. No to Rosja wydalila brytyjskich. No to po jakimś czasie oba kraje przyjęły innych dyplomatów na miejsce tych wydanych. Teraz, po zamachu na Skripala i jego córkę, rytuał dyplomatycznego wydalenia się powtarza. No i co?

Rodzina królewska nie przyjedzie na mistrzostwa? No to je obejrzy w telewizji.

minister była Teresa May – jeśli o jej na-stawieniu dowiedziała się brytyjska prasa, to myślę, że rosyjskie służby dowiedziały się o tym również.

Rosjanie przetestowali też, że nic specjalnego się nie dzieje, nawet jeśli zabiją nie tylko „swojego” szpiega, choćby i po wymianie – lecz także jeśli zestrzela cały zachodni pasażerski samolot, pełen niewinnych i przypadkowych ludzi. Nic też wielkiego nie stanie się, jak dokonają w swojej „strefie wpływu” (a to oni decydują, co do niej należy) zbrojnej agresji, bezczelnie udając, że nie mają z najeźdźczymi wojskami niczego wspólnego, a rosyjskie mundury i ekwipunek każdy

dopiero w ostatniej chwili. Za to jak tylko zaczynają się znowu uchylać, to trzeba się w nie wciskać i tę nogę pchać z powrotem. Był moment, kiedy się NATO postanowiło rozszerzyć, i to był właśnie moment zamykania się drzwi – ale to było dawno. Dzisiaj Rosja rozpycha się na wszystkich polach, jak może, a nawet jak nie może, bo zachodni analitycy dość zgodnie twierdzą, że licytuje zdecydowanie powyżej posiadanych kart. No, ale skoro gra przeciwko leszczom – to dla czegoż by nie?

Rosja zresztą rozpychać się musi. Rozpychanie się na zewnątrz jest normalnym zachowaniem władców, którzy nie mogą sobie poradzić „wewnątrz”. A wewnątrz Rosja wciąż jest Związkiem Sowieckim, z jego nieludzkimi absurdami, gargantuiczną korupcją, umafijnieniem i krańcową niewydolnością. Jest na mapie świata antypodami, przeciwieństwem takich na przykład Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Emiraty (skądinąd wzorcowy przykład skuteczności monarchii) pieniądze, którymi obsypał ich był Allah w postaci ropy, zainwestowały, do nich jeszcze ściągnęły drugie tyle inwestycji całego świata, sprawiając kapitałom wyborne warunki do rozmnażania – i dziś, po czterech dekadach naftowej hossy, dochody z ropy stanowią już tylko 18 proc. ich gigantycznego PKB. Jeszcze parę lat i Allah będzie mógł sobie ropę zabrać, a Dubaj tego nawet nie zauważy.

Tak jak tam dolary, wsiąkając w pustynię, zmieniają ją w ogród, tak po Rosji spływają jak po skale. Ilekolwiek Rosja zarobi na gazie, ropie, broni i czym tam jeszcze – tyle wylądowuje na kontach w Szwajcarii, Londynie albo Nowym Jorku. Rosyjscy oligarchowie inwestują na całym świecie, ale w samej Rosji nie, i Putin może ich tam wszędzie dopaść i pozabijać, ale do Rosji ich pieniądze nie ściągnie, bo tego się nie da zrobić najbardziej nawet bezwzględnyimi służbami specjalnymi i najjadłowitszymi truciznami.

I to Zachód też wie – że agresywne miotanie się i rozpychanie Putina trzeba przeczekać, bo w końcu osłabnie. I nic, poza czekaniem, robić nie zamierza. Dla tego, ja bardzo proszę, jeśli ze względów wizerunkowych Zachód udaje, że zamierza z Rosją powalczyć, to nie pchajmy się być z nim „ręka w rękę”. Niech on sobie pójdzie pół kroczku przodem, a my naszą ręką może poszukajmy czego w kieszeni.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MIKHAIL METZEL/ROSS FORUM

Rosyjska publiczność też ją sobie obejrzy w telewizji. Jeśli w ogóle jej nieobecność na trybunach zauważy. Zauważyłaby może nieobecność zachodnich reprezentacji piłkarskich, ale takiej mocy sprawczej, by zabronić autonomicznym organizmom piłkarskim zarobienia takiej kasy, jaką są te mistrzostwa, żaden zachodni rząd nie ma. Nie wydaje się też, żeby miał wolę. W końcu mówimy o kraju, którego rząd we wrześniu 1939 r. oficjalnie odmówił bombardowania niemieckich fabryk zbrojeniowych, wyjaśniając, że nie może bombardować własności prywatnej.

Po śmierci Litwinienki brytyjska minister spraw wewnętrznych miała w kuluarach twierdzić, że nie ma sensu robić przesadnej afery o to, że Rosjanie zlikwidowali „swojego”. Przypadkiem ową

może sobie kupić w sklepie. Ot, pogadają, pogadają, nałożą jakieś „sankcje”, ale tak dla picu, bo prawdziwe sankcje to broń obosieczna: wy nie kupicie, znaczy, że my nie sprzedamy, czyli nie zarobimy, a jakoś tak się składa, że Zachód jest bardziej na palony na „sprzedać” niż Rosja na „kupić”.

Jednym słowem – po każdym, coraz dalej idącym docięnięciu przez Putina, stosunki ulegają na pewien czas ochłodzeniu, ale po jakimś czasie znowu się ocieplają, i to bez szczególnych starań Kremla, bo to rządowi zachodnim, a nie Moskwie, bardziej w tych stosunkach zależy.

@ Można nazwać rosyjską politykę bandycką, ale skuteczności jej odmówić nie można. Jak drzwi się zatrzaśkują, to trzeba z nich nogę zabrać, ale



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Rodzina mentoringowa

Wszyscy normalni ludzie, jakich znam, chcą na gwałt uciekać z zawodów, które mają coś wspólnego z mediami. Prasa, telewizja, reklama – kto (jeszcze) żyw, kogo jeszcze nie zwolnili, nie wymęczyli do cna, nie oglupili dokumentnie albo – za przeproszeniem – nie przecwelili – wszyscy chcą spadać, gdzie pieprz rośnie.

Rozmawiałem z jednym takim ewakuantem. Spytałem go o plany na życie. Przedstawił kilka możliwych scenariuszy, ale jeden szczególnie mnie zainteresował. – Może pójdę w mentoring? – powiedział mój rozmówca.

Mentoring? Szczerze mówiąc, nie słyszałem o takiej profesji. Wiem z grubsza, kto to mentor, ale zawodowego mentora jeszcze w życiu nie spotkałem. Nawet nie wiedziałem o ich istnieniu. Widocznie to jakiś nowy zawód jest, taki nowy, że aż dziwne, że ma już nazwę.

Pomyślałem trochę o tym mentoringu i doszedłem do wniosku, że powinniśmy założyć rodzinną firmę w tej branży. Zarówno ja, jak i moja żona oraz nasz syn – wszyscy mamy zadatki na doskonałych mentorów. Czy może mistrzów mentoringu – to chyba lepiej brzmi.

Zacznijmy ode mnie. Bardzo lubię mówić ludziom, jakie błędy popełniają. Nawet jeśli sam popełniam dokładnie te same błędy, to przecież wiem tym lepiej, co należy robić, a czego nie. Ostatnio poradziłem przyjacielowi, żeby schudł, bo będzie to idealny wstęp do życiowej

odmiany. Sam co prawda też powinienem zrzucić ze 20 kg, a tego nie robię. Jednak – jak powiedział Schopenhauer – drogowszak nie idzie w stronę, którą pokazuje. A sentencja ta doskonale pasuje również do mentora.

Jednak i tak mógłbym być tylko asystentem mojej żony. Ona wie wszystko najlepiej. To chyba o niej jest ten napis na koszulkach:

„I don't need Google, my wife knows everything”. Nie wiem, jak ona to robi, ale wie. Nawet jak nie ma o czymś pojęcia, to zaraz już ma pojęcie – jakby wiedza przybywała do niej za sprawą promieniowania kosmicznego. I sprawa jest już dalej prosta. Ma być tak, jak ona chce, i koniec. Każdy człowiek, w tym oczywiście ja, ulega tej niezachwianej pewności siebie. Wszelkie próby oporu są bezcelowe. To trochę tak jak z komunistami w latach 30. ubiegłego wieku. Nawet gdy wydawało im się, że Moskwa robi rzeczy dziwne albo głupie, to tłumaczyli to sobie, że partia wie lepiej. I robili tak, jak chciała partia.

Bardzo utalentowanym, acz chyba nieświadomym tego adeptem mentoringu jest mój ośmioletni syn. On też ma nieprawdopodobną wręcz wiedzę, zapewne odziedziczoną po mamie. Co tu dużo gadać – lepiej mu się nie sprzeciwiać. Ma też prawdziwie żelazną wolę. W obronie swego zdania jest gotów wywołać piekielną awanturę, nawet jeżeli dotyczy ona kompletnej duperele. W ten sposób potrafi narzucić swoje widzimisię każdemu.

Stanowilibyśmy cudowny team mentoringowy! ☺☺



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Bez alternatywy

Znana polityczna anegdota głosi, że jeśli są w Nowym Jorku bracia (powiedzmy Ormianie), to jeden obstawia republikanów, a drugi demokratów, i rodzinny interes może się kręcić. W Polsce byłoby trudniej, zwłaszcza jeśli chodzi o elity. Z uporem maniaka obstawiają one różne opcje z wyjątkiem tej najpoważniejszej.

Przyjęto, że coś takiego jak PiS nie istnieje, nie ma po co brać go pod uwagę. Co prawda są dowody, że prawica trzyma się nieźle, a nawet jeszcze lepiej, ale koryfeusze, luminarze, członkowie nadzwyczajnej kasty są przekonani, że mają do czynienia ze złudą, fatamorganą, iluzją, która pewnego dnia zniknie bez śladu, kasta obudzi się w nastroju triumfalnym i będzie, jak było.

Imponuje mi ta wiara, bo przecież zwyczajny człowiek dopuszczałby możliwość, oczywiście tylko hipotetycznie, że majak nie zniknie. I co wtedy? Może pojawią się nowe kadry, wcale nie gorsze, a na pewno bez resortowych zaszczości.

Dzisiejsza opozycja to w dużym stopniu ludzie otumanieni, myślący stadnie, często irracjonalnie. Pytanie: Kiedy się obudzą?

Żeby było jasne, uważam, że dzisiejsza opozycja nie składa się głównie z PRL-owskich skamienielin i kolejnych klonów, są to w dużym stopniu ludzie otumanieni, myślący stadnie, często irracjonalnie (to nie MSZ, gdzie do niedawna siedział ubek na ubeku). Pytanie: Kiedy się obudzą? Jakiś czas temu Donald Tusk wygrażał opozycji: „Wymrzenie jak dinozaury!”.

Dzisiaj słyhać tylko chichot historii. Gdzie się podziała młodzież? Na Marszu Niepodległości, a nie na Paradzie Równości. Taki klimat!

Swoją drogą trzeba mieć tupet, aby kandydować do władzy i oprócz haśle wsadzenia PiS-owców do więzień oraz cofnięcia wszystkich reform proponować wszystko, czego Polak nie lubi: emigranci, eurokraci, wyższy wiek emerytalny, prawa dla małżeństw homoseksualnych...

Zazdroszczę im tego optymizmu. Ciekawe, jak będzie na wyborach. ☺☺

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

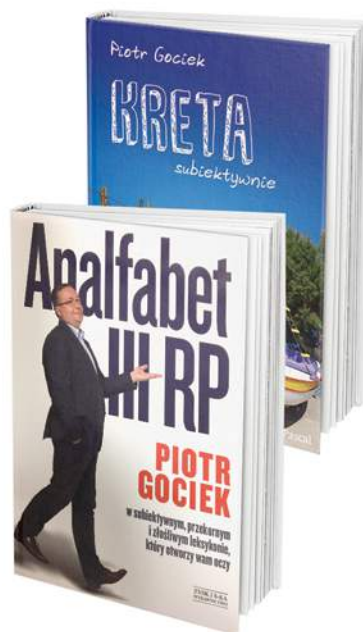
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
“ANALFABET III RP”
“KRETA SUBIEKTYWNIE”

+

Cena: 146 zł
Oszczędność: 113zł



 **MANTA**
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpgp.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 5ba28447a6



A Z E F GENIUSZ PROWOKACJI

[W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU]



Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”: „*Byle nie szpieg rządowy...*”.



Waldemar Łysiak

Zbliżamy się do 30. rocznicy zrzucenia z rąk i nóg Polski pęt komunizmu. W miarę upływu lat przybywa dokumentów i świadectw, dzięki którym coraz większa liczba patriotów (również akademickich historyków) przestaje wierzyć, że udanej rewolty dokonała spontaniczna „Solidarność”. Wzmacnia się przekonanie, iż zaklepana Magdalenkowymi toastami „transformacja” systemu była rodzimą pieriestrojkową prowokacją bezpieki, ukierunkowaną na geszef: my („służby” i nomenklatura partyjna) oddajemy wam władzę polityczną, a wy (KOR i wszelka inna „opozycja koncesjonowana”) oddajecie nam cały majątek tego kraju, byśmy się mogli „uwłaszczyć” i tym samym dalej trzymać ster. Jeden z nielicznych autentycznych herosów wierchuszki „solidarnościowej”, Andrzej Gwiazda, mówi o tym wprost: „ — To wszystko była robota służb. Między bajki należy włożyć legendę, że to «Solidarność» obaliła komunizm. Komunizm, czyli partię, obaliło jej zbrojne ramię, czyli służby specjalne” (2015). Taka prowokatorska maestia nosi już od ponad pół wieku nazwę: „azefizm”.

Wybitny polski sowietolog emigracyjny Ryszard Wraga (Jerzy Niezbrzycki) pisał w latach 50-ych stulecia XX: „Podstawową cechą rosyjskiego charakteru jest azefizm (dwustronna prowokacja, oparta na zasadniczej sprzeczności celów i idei), który powstał w narodzie rosyjskim w wyniku wielowiekowego ucisku i tyranii policyjnej państwa. Podstawową cechą charakteru polskiego jest hamletyzm (brak decyzji pokryty kwietyzmem — słowa, słowa...), wytworzony w narodzie polskim przez nałóg ciągłego szukania oparcia poza sobą (...) Choć pod wieloma względami Azef jest bratnią duszą Hamleta, lecz Hamlet nie jest w stanie walczyć z Azefem”.

Można się spierać, wszakże jedno nie ulega wątpliwości: uprawiany od Jaskini fachu, który Francuzi zwą „agent provocateur” (ów francuski termin stał się międzynarodowym), miał przez tysiąclecia wielu wirtuozów, jednak za „boga prowokacji”, za mistrza wszech czasów, uznano Azefa. Tak jak synonimem/symbolem łucznika jest Robin Hood, kuszni-

ka — Wilhelm Tell, muszkietiera — d’Artagnan, odkrywcy — Kolumb, tak gdy idzie o prowokację polityczną (spiskową, rewolucyjną, terrorystyczną, etc.) — Azef. To nazwisko pełni rolę „logo” prowokatorstwa.

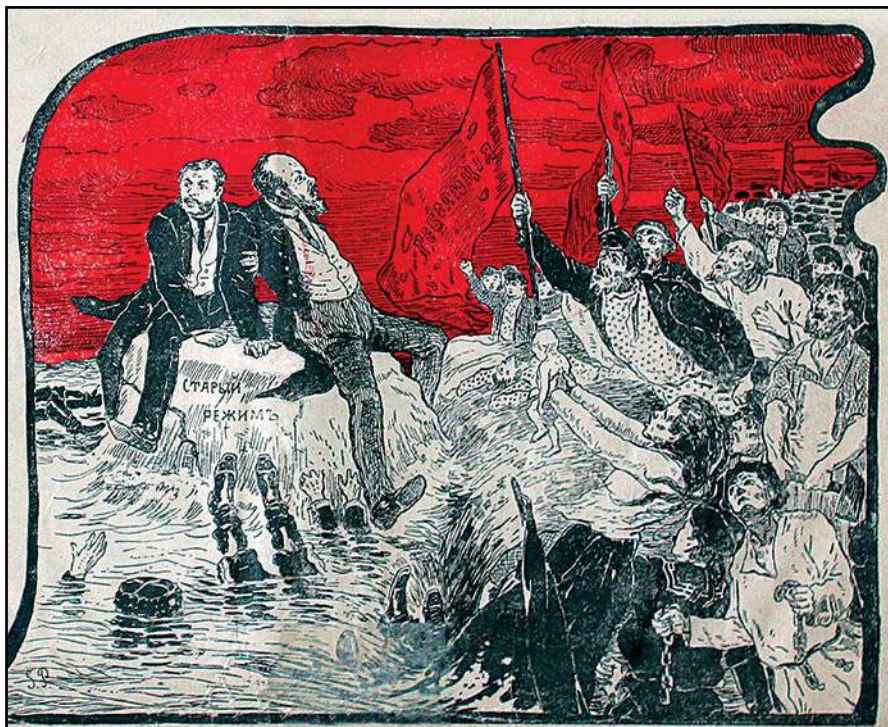
CZŁOWIEK OCHRANY

Jewno Azef (Jewus Azew) urodził się roku 1869 w Łyskowie (powiat wołkowski guberni grodzieńskiej) jako syn biednego żydowskiego krawca Fiszela Azefa. Gdy miał 5 lat familia Azefów przeniosła się do Rostowa nad Donem, gdzie Fiszel otworzył sklep tekstylny, a Jewno ukończył gimnazjum (1890). Potem miał się pracy biurowej, korepetycji, dziennikarstwa i kupiectwa, by wreszcie zwać za granicę (1892). Według jednych dlatego, że bał się aresztowania, bo miał kolegów „wywrotowców”, a według drugich dlatego, że ukradł pewnej firmie 800 rubli.

Studiując politechnicznie w Karlsruhe i w Darmstadt (dyplom inżyniera elektrotechnika 1899), Azef cierpiał wskutek braku gotówki (nie tylko na studiowanie i utrzymanie, bo był kobieciarzem oraz hazardzistą), postanowił więc wyciągnąć trochę grosza od rosyjskich tajnych służb.

Wysmażył (1892) list do petersburskiego Departamentu Policji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, informując, że wśród rosyjskich kolegów studentów widzi sporo spiskowców–rewolucjonistów, których mógłby — za odpowiednim wynagrodzeniem — inwigilować i składać raporty władzom. Władza zareagowała „na to jak na lato” — został bezzwłocznie zwerbowany (początkowo 50 rubli miesięcznie, później 100, itd.), a że „sypał” regularnie i dzięki jego donosom statystyki aresztowań puchły — wkrótce wzięła go pod swoje skrzydła złowroga Ochrańna.

Ochrańna (Ochrannoje Otdielenije — Wydział Ochrony) powstała na gruzach wcześniejszych tajnych policji rosyjskiego imperium (III Oddział Kancelarii Carskiej, Korpus Żandarmerii, etc.). Lokalnie (Sankt Petersburg) miała pierwocyny w 1866 roku jako „Otdielenije po ochranieniju obszczestwiennoj bezopasnosti i poriadka” (Wydział ochrony porządku i bezpieczeństwa państwowego), a ogólnokrajowo rozprzestrzeniła się wskutek udanego zamachu rewolucjonistów na cara Aleksandra II w marcu 1881. Kilka miesięcy później (sierpień) uczyniono z Ochrańny potężną wszechrosyjską i zagraniczną siłę uderzeniową, mającą pacyfikować coraz to silniejsze lewac-



Ukazująca rewolucyjny gniew społeczeństwa rosyjskiego przeciwko władzy grafika z pierwszej dekady XX wieku



kie bandy, które zmierzały do obalenia caratu. Formalnie była podporządkowana Departamentowi Policji MSW, lecz z biegiem lat uzyskała autonomiczną wręcz niezależność.

Głównym instrumentem Ochrony stali się bezzwłocznie agenci działający „pod przykryciem” (wtyczki wewnątrz organizacji „wywrotowców”), a pierwszym dużym poligonem działań rozgrywka (przed połową lat 80-ych XIX wieku) z Narodną Wolą, organizacją rewolucyjną uważającą terror za główne narzędzie walki. Chociaż „narodnikom” udało się wysadzić w powietrze cara Aleksandra II, jednakże oficer Ochrony Grigorij Sudiejkin zdołał wetknąć do organizacji kilku swoich agentów (studentkę Babiczewą, braci Diegajewów), tak iż przed rokiem 1884 „cała Narodna Wola, jej kierownictwo i jej prasa, była już pod kontrolą Ochrony” (Aleksiej Lewin, 2010).

Wśród epigonów Narodnej Woli znajdowały się rozmaite „wywrotowe” stowarzyszenia o różnych — mniej lub bardziej bojowych — programach walki z caratem. Pałeczkę bezlitosną, stricte terrorystyczną, przejęła Partia Socjalistów-Rewolucjonistów (PSR), a konkretnie jej Organizacja Bojowa (OB), zawiązana u schyłku roku 1901. Szefowie Ochrony nie omieszkali umieścić wewnątrz niej kilku swoich agentów obojej płci, między innymi Azefa.

SZEF TERRORYSTÓW

Wstępując do PSR Azef deklarował oczywiście socjalistyczną kontrcarską ideowość, lecz w istocie miał wszelkie idee gdzieś, interesowały go jedynie wypłaty jurgieltu z rąk kasjera Ochrony. Zdarzało mu się nawet nie ukrywać tego gdy rozmówcą był ktoś, kto nie mógł zgnoić go donosem. Aleksemu Pieszeczonowi bez ogródek powiedział:

— Drogi panie! Czy pan rzeczywiście wierzy w socjalizm?... To dobre dla młodzieży i dla robotników, ale nie dla pana i nie dla mnie.

Zatem może wierzył w sam terror? Jego towarzysz partyjny, Wiktor Czernow, napisze po latach: „On nie wierzył w jakikolwiek ruch masowy będący siłą rewolucyjną — uznawał tylko terror, czyli bezpardonową krwawą walkę. Czuł pogardę do agitowania, uświadamiania i organizowania mas, do wszelkiej propagandy. Zawsze twierdził, że «Rewolucja» to skuteczne uderzenie kilku członków tajnej organizacji bojowej”. Należy i tu wątpić. Azef rewolucję, terror, wszelkie „bojowe”

uniesienia miał w tym samym miejscu co ideę socjalistyczną — w końcowym odcinku jelita grubego. Pasjonowały go, jak już rzekłem, wyłącznie „dniegi”.

Dzięki przebiegłości robił wewnątrz organizacji karierę błyskawiczną. W czerwcu 1903 roku został członkiem Komitetu Centralnego PSR i zaraz potem dowódcą („członkiem zarządzającym”) Organizacji Bojowej, która teraz (sierpień 1904), mocą nowego, dyktowanego przezeń statutu, wyemancypowała się od PSR, stając jednostką samodzielną. Mógł robić co chciał. Aczkolwiek trzy lata później (październik 1906), wskutek wewnętrznej kontestacji, został zdymisjonowany, zaś Organizację Bojową przemianowano na Grupę Bojową KC PSR (jej szefem mianowano Lwa Zilberberga), lecz szybko zadenuncjował całe to towarzystwo i mógł na opuszczony dzięki aresztowaniom tron wrócić bez problemu.

Kierując swą szajką stosował reguły, których nie pochwaliliby żadne grono prawdziwych ideowców. Nie przyjmował do OB żarliwych/gorliwych entuzjastów rozprawy z caratem, naiwnych miłośni-

ków rewolucji, tylko cynicznych łobuzów, którzy tłumili lub „olewali” emocje. Co można uznać za przejaw pragmatyzmu. Podobnie jak selekcję denuncjowanych przez niego. Stanisław Cat-Mackiewicz: „Będąc denuncjatorem wydawał Azef policji taki materiał ludzki, który był mu mniej potrzebny do dalszej roboty. Chętnie wydawał ideologów, publicystów, idealistów, partyjnych hamletów i tego rodzaju większych ludzi. Oszczędzał i chronił przed aresztowaniami zahartowanych pracowników rewolweru i bomby, niezłomnych zbójów, kochających terror” (1961). A wszystko to — cały ów krwawy fedrunek (o którym niżej) — nie przeszkadzało mu grać playboya (co ciekawe: nie przeszkadzała mu w tym również obleśna, napuchła facjata, i ogólny wygląd spasionego wieprza). Szlajał się nie tylko po całej Rosji (od „Peterburka” do Krymu), lecz i po całej Europie (Niemcy, Dania, Szwecja, Szwajcaria, Francja; ulubioną jego „metą” wakacyjną było Alessio na włoskiej Rivierze, skąd urywał się do Monte Carlo, by przy ruletce pozbyć się paru rubelków).

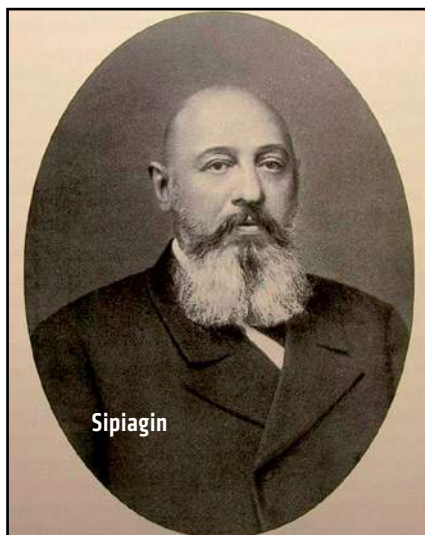


Akwarela Borysa Kustodiewa z 1905 roku, pokazująca uliczną (także zamachową, terrorystyczną) gorączkę rewolucyjną

ZAMACHY NA OKRĄGŁO

Podczas ówczesnej, przedrewolucyjnej rosyjskiej „zabawy w policjantów i złodziei” Azef oszukiwał każdą ze stron, i od każdej brał pieniądze („eserowców” finansowo wspierała też zagranica, dostarczał im fundusze m.in. sławny brytyjski szpieg Sidney Reilly). Setki rewolucjonistów należących do różnych organizacji zostało wydanych Ochronie przez Azefa, lecz równocześnie z rąk ludzi Azefa ginęli dygnitarze państwowi i agenci państwowych służb (Ochrany także). Był „podwójnym agentem” — prowokatorem obustronnym. Wszystkich zamachów, które zorganizował, nie zdołam nadmienić w krótkim eseju — oto te główne:

Celem personalnym bojówek PSR z natury rzeczy byli kolejni szefowie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czyli urzędowi zwierzchnicy wszystkich carskich tajnych służb. 2 kwietnia 1902 roku student uniwersytetu kijowskiego Stepan Bałmaszow, przebrany za adiutanta wielkiego księcia Siergieja, wszedł do gmachu ministerstwa, poczekał na przyjazd



Sipiagin



Plehwe

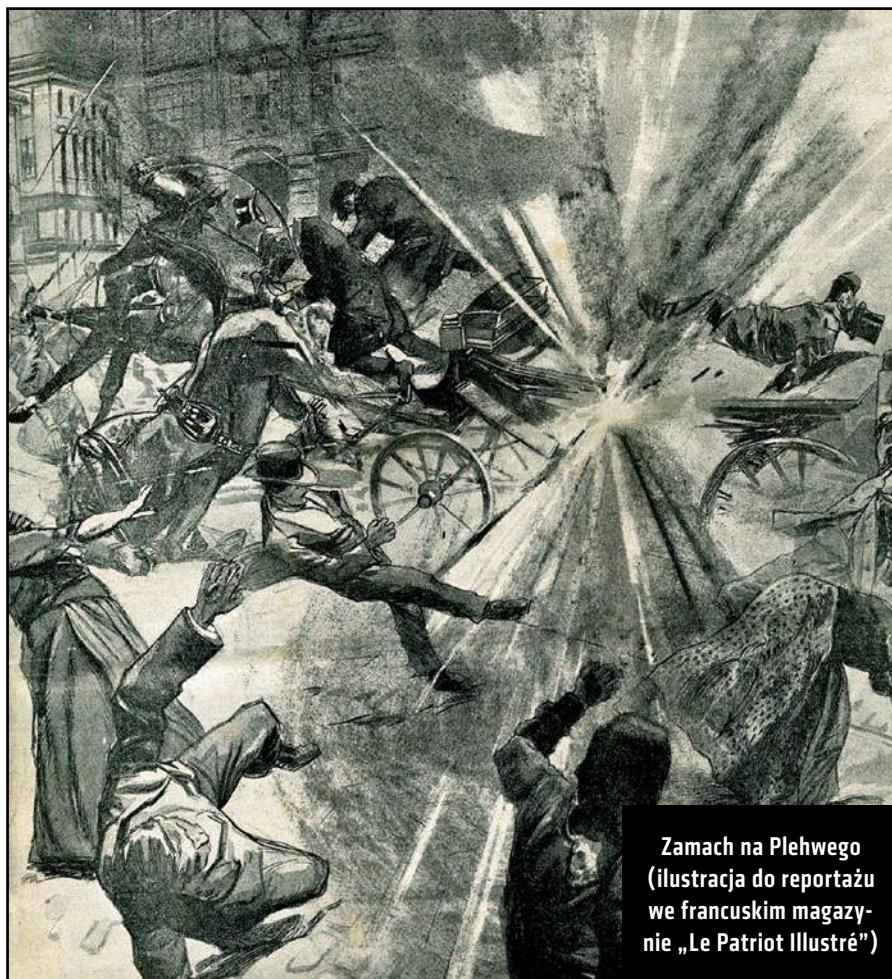
Następcą Sipiagina został Wacław Plehwe. 28 lipca 1904 roku wysłani przez Azefa terroryści obstawili cały Prospekt Izmailowski, którym Plehwe miał jechać do Pałacu Zimowego z raportem dla cara. Każdy „miotacz” (tak ich zwano) niósł bombę o dużej sile wybuchu. Karetą Plehwego, ubezpieczaną innymi pojazda-

mi Ochrany, pędziła w antyzamachowym tempie, lecz wskutek jakiejś przeszkody zwolniła na moment koło hotelu „Warszawskiego”, gdzie czaił się Jegor Sazonow (kryśwa „Abel”). Ciężka przezeń bomba trafiła okno drzwiczek pojazdu, rozrywając na strzępy stangretę, żandar- ma i Plehwego. Ciężko ranny Sazonow



Stepan Bałmaszow

ministra Dimitrija Sipiagina, wręczył mu zalakowaną kopertę (wewnątrz znajdował się wyrok śmierci) i strzelił dwa razy, trafiając w szyję i żołądek. Sipiagin zmarł nim dowieziono go do szpitala, a Bałmaszowa powieszono.



Zamach na Plehwego (ilustracja do reportażu we francuskim magazynie „Le Patriot Illustré”)



Jegor Sazonow

■ otrzymał wyrok bezterminowej katorgi i wkrótce (1910) popełnił samobójstwo.

4 lutego 1905 roku wielki książę Siergiej Aleksandrowicz, gubernator Moskwy, stryj i wpływowy doradca cara Mikołaja II, wyjechał kareta z Pałacu Nikolskiego i kie-



Wielki książę Siergiej Aleksandrowicz

dy dotarł do Placu Senackiego poczęstowano go bombą rzuconą przez „miotacza” Iwana Kalajewa spod Nikolskiej bramy Kremla. Trup na miejscu. Zanim Kalajewa powieszono, odwiedziła go w więzieniu Butyrki żona wielkiego księcia, Elizawieta Teodorowna, i wręczyła mu święty obrazek, nalegając:

— Proszę to wziąć ode mnie, będę się modliła za pana.



Zabójca księcia — Iwan Kalajew (zdjęcie wykonane przez policję bezpośrednio po zamachu)

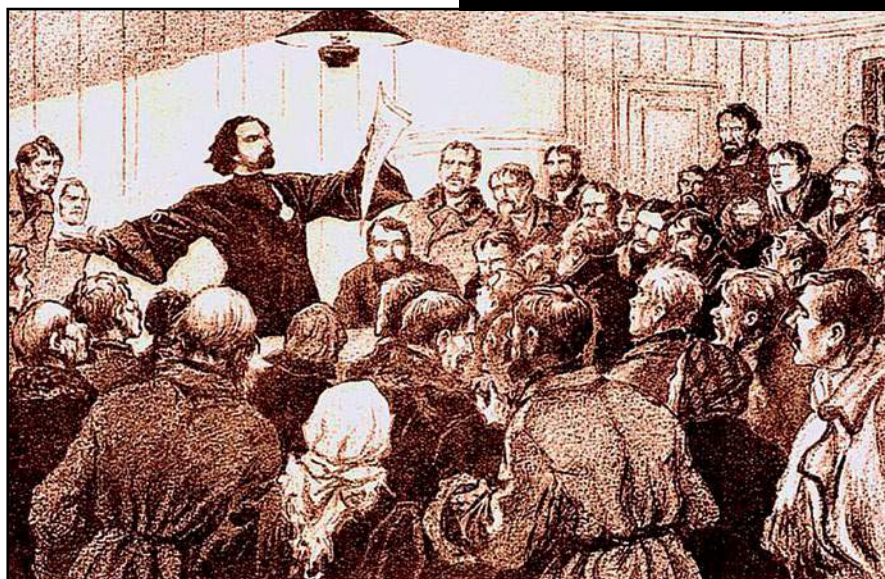
Wszystkie te organizowane przez Azefa zamachy wstrząsały całą Rosją i światową opinią publiczną. Bardzo głośna była również egzekucja popa Gieorgija Apollonowicza Hapona, którego na całym świecie rozślawiła „krwawa

niedziela” (22-I-1905), kiedy to plutony żandarmerii zmasakrowały przed Pałacem Zimowym pokojową demonstrację robotników (z górą tysięcy zabitych) organizowaną przez Hapona — ta rzeź była detonatorem radykalizacji proletariatu rosyjskiego. Hapon grał przeciwnika caratu, lecz kierowała nim głównie chciwość, więc Departamentowi Policji udało się kupić go bez trudu. O czym dowiedział się Azef, który bardzo nie lubił konkurencji, kazał tedy swoim ludziom zgładzić Hapona. Popa zwabiono do willi pod Petersburgiem i powieszono na haku wiosną roku 1906.

Obok licznych udanych zamachów zdarzały się też „bojowcom” Azefa nieudane próby, jak choćby atak na generała-gubernatora Moskwy Fiodora Dubasowa (ma-



Pop Gieorgij Hapon (Gapon) judzący i sportretowany fotograficznie



Wojciech Kossak,
„«Krwawa niedziela»
w Petersburgu”



rzec 1906), lecz bilans ogólny był wielce satysfakcjonujący „eserowców”.

WPADKA

Jesienią 1906 roku do „eserowca” Rostowskiego (członka petersburskiego komitetu PSR) przyszła tajemnicza dama z listem od niejakiego Miejszczikowa zawierającym informację, że Ochrana uplasowała wewnątrz partii kilku swych

agentów, a pośród nich są „zesłaniec T.” oraz „inżynier Azijew”. Drugie sformułowanie wskazywało na Azefa, lecz gremia partyjne wzięły to za prowokację policyjną, wykluczając, by dowódca Organizacji Bojowej PSR zdradził (udane zamachy stanowiły legitymację jego oddania). Nato miast pierwszą informację potraktowano bardzo serio, bezzwłocznie kojarząc ją z podejrzanym już wcześniej Nikołajem Tatarowem, który spędził na syberyjskim zesłaniu 5 lat. Tatarow był istotnie prowokatorem Ochrany, czego nie wiedział Azef, który — jak już mówiłem — z pasją likwidował konkurentów. Tatarowa zastrzelono w warszawskim mieszkaniu jego ojca, popa Jurija Tatarowa. Tym razem upiekło się jeszcze wirtuozowi prowokacji, lecz „sprawa Tatarowa” dowodziła, iż demaskowanie Azefa właśnie się zaczęło, ponieważ niektórzy rewolucjoniści czuli odtąd wobec niego nieufność i baczniej patrzyli mu na ręce. Był wśród nich „eserowiec” Władimir Burcew, który założył prywatny tajny kon-

trwywiad do wyłapywania „szczurów” czyli „sekretnych sotrudników” reżimowej policji (przykrywką stało się prowadzenie przezeń historycznego czasopisma „Byłoje” i pisanie kroniki ruchu rewolucyjnego).

Burcew—kronikarz dobrze pamiętał, że już w 1903 roku student—agitator N. Kre—stianinow poinformował władze partii, iż według znajomego mu współpracownika policji, niejakiego Pawłowa, Azef to szpicel. Wyśmiano ten zarzut, bo młodzian nie mógł przedstawić żadnych dowodów. Kilka lat później u Burcewa zjawił się sfrustrowany butą zwierzchników pracownik warszawskiej Ochrany Michaił Bakaj i wyznał mu, że na samym szczycie PSR działa agent Ochrany o kryptonimie „Raskin”, lecz nie znał jego nazwiska. Burcew był przekonany, iż „Raskin” to jedna z wielu partyjnych i policyjnych ksywek Azefa („Tołstij”, „Walientin Kuźmicz”, „Iwan Nikołajewicz”, „Winogradow”), ale znowu nie miał dowodów. Tymczasem Bakaj zadenuncjowany przez Azefa (który dowiedział się o wszystkim) wyładował na katordzie.

Szczęście uśmiechnęło się do Burcewa A.D. 1908. W pospiesznym pociągu zauważył znajomego arystokratę, byłego dyrektora Departamentu Policji MSW, Aleksego Łopuchina. Przysiadł się, a wiedząc, że Łopuchin to liberał, którego zdymisjonowano za kontestowanie prowokatorskich metod służb specjalnych, począł go męczyć o wyjawienie mu nazwiska prowokatora noszącego pseudo „Raskin”. Dygnitarz długo się opierał i dopiero gdy dojechali do jego stacji, biorąc walizkę mruknął:

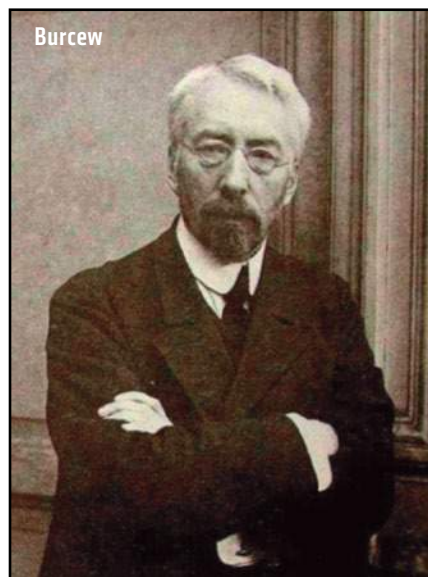
— Żadnego Raskina nie znam, a inżyniera Jewno Azefa widziałem wszystkiego kilka razy.



Zamach bombowy Organizacji Bojowej PSR
(scena z rosyjskiego filmu fabularnego)



Azef



Burcew



Łopuchin



Za te słowa, które dla Burcewa były potwierdzeniem identyfikacyjnym, Łopuchin został później (1909) skazany na zesłanie, a sam Burcew, gdy powiadomił partię, stanął przed sądem Komitetu Centralnego PSR jako oszczerca! Wybronił się wszelako, i raz puszczony w ruch machiny podejrzeń nie dało się już zatrzymać.

KONIEC GRY

Powołany przez KC PSR sąd rozpatrywał podejrzenia wobec Azefa do końca roku 1908. Prócz świadectwa Łopuchina i dawnego donosu Kriestianinowa przywoływano też stare, obciążające go zeznania członka Ochrazy odeskiej, Sorokina, i kontrAzefowskie świadectwa saratowskich „*eserowców*”, lecz sądzącym brakowało pewności, a to skutkowało brakiem jedności (tylko czterech spośród osiemnastu żądało wyroku śmierci, reszta była chwiejna). Gdy jednak Azefa wezwano na kolejne przesłuchanie, a ten — wystraszony — uciekł, wątpliwości się pozbyto. Wyrok („*skazanie prowokatora współpracującego z carską tajną policją*”) opublikowały „*Znamia Truda*”, centralny organ PSR. „*Eserowskim*” tropicielom (w rosyjskim policyjnym slangu zwano takich inwigilatorów „*fillerami*”) nie udało się zdrajcy zlokalizować. Zaszły się bowiem pod fałszywym nazwiskiem w Niemczech, u swej kochanki „*Heddy*”.

Azef był żonaty i dzieciaty, lecz z wiernością małżeńską było u niego jak z wiernością polityczną. Kochanki zmieniał niczym przysłowiowe rękawiczki, aż jedna wzięła go wreszcie na krótką smycz. Historycy nie znają jej nazwiska, tylko inicjał („*pani Ż.*”) i pseudonim sceniczny: „*La Bella Heddy de Hero*”. Była niemiecką artystką kabaretową o pysznej urodzie i kiepskiej reputacji, chętnie produkującą się w Petersburgu, gdzie Azef poznał ją podczas występu kawiarnianego. Stracił dla niej głowę jak sztubak, co mocno denerwowało jego kolegów partyjnych, bo szastał pieniędzmi, by jej imponować. Jeździli po całej Europie i dalej — najchę-

niej do Hiszpanii, Grecji i Egiptu — zatrzymując się w drogich kurortach, balując w drogich lokalach, przesiadując w teatrach i kasynach. Żołdu denuncyjnego od Ochrazy starczało na wszystko.

Ostatnie kilka lat życia (1909–1918) Azef spędził jako obywatel Berlina Aleksander Neumaier (Neymeyer), kupiec prowadzący sklep bławatny. Kupił go za biżuterię „*Heddy*”, bo jego własne oszczędności, trzymane w rosyjskich obligacjach, wyparowały wskutek upadku tychże. Przebierał się i nosił peruki, gdyż był już sławny — wszystkie europejskie gazety publikowały zdjęcia Azefa. Niemieckie władze wiedziały wszelako kto zacz, więc kiedy wybuchła I Wojna Światowa został aresztowany bez posta-



wienia mu formalnych zarzutów (myślał, że Niemcy aresztowali go jako agenta rosyjskiego, tymczasem aresztowali go jako niebezpiecznego rewolucjonistę!). Przesiedział 30 miesięcy i wkrótce po zwolnieniu zmarł (24–IV–1918) wskutek niewydolności nerek, której się nabawił hulaszczym życiem (sam twierdził, że przez koszarne warunki pobytu w celi więzienia Moabit). Grzebano go 26 kwietnia 1918 roku na berlińskim cmentarzu

Wilmsdorf. Za trumną szły tylko dwie osoby: „*Hedda*” i jej matka.

* * * * *

Przypadek Azefa budzi parę refleksji natury ogólnej. Penetrowanie organizacji spiskowych „*wtyczkami*” ma brodę sięgającą wczesnego Antyku lub jeszcze starszą. „*Kiedy zbiera się czterech spiskowców, dwaj z nich to moi ludzie*”. Z ust którego szefa policji bądź żandarmerii wyszła ta sentencja? Historycy pewności tu nie mają — przypisuje się te słowa de Sartinesowi (szefowi policji króla Ludwika XV), Lepinowi (francuskiemu prefektowi policji przed I Wojną Światową) i sławnemu ministrowi policji cesarza Napoleona Józefowi Fouchému. Ten ostatni — chociaż miał swoich „*kretów*” w siatce wandejskich szuanów — nie zdołał zapobiec wigilijnemu (1800) zamachowi na Pierwszego Konsula tzw. „*machiną piekielną*” w uliczce Saint-Nicaise (20 trupów, 60 rannych, kilkadziesiąt domów zniszczonych). Azef ciągle podniecał swych kamratów wizją zamachu na samego cara, lecz dyskretnie paraliżował wszelkie usiłowania zmierzające w tym kierunku. Konkluzja: żadna liczba „*wtyczek*” umieszczonych wśród spiskowców przez służby specjalne reżimu nie jest w stanie uchronić państwa/mocarstwa przed ruiną, gdy system gnije. Ochraha miała agentów nie tylko w PSR, lecz i wśród bolszewików (Malinowski et consortes), a jednak bolszewicy obalili carat. Żadna liczba kapusiów uplasowanych w organizacjach dżihadystowskich nie uchroni Starego Kontynentu przed islamizacją jeśli Europa będzie dalej moralnie gnić. ©©



Jewno Azef na wakacjach w Ostendzie roku 1909



XXIV TARGI
WYDAWCÓW
KATOLICKICH

XXIV TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

12 – 15 kwietnia 2018

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda FENIKS 2018



Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl

www.swk.pl



Patron medialny:



ORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR





Kłamczucha doskonała

FOT. PAP



Tomasz Lenczewski

Ewelina Dunin-Borkowska kłamała tak dobrze, że zwiodła nie tylko wielu mężczyzn, lecz także nawet SB. Służba zerwała z nią współpracę dopiero wtedy, gdy została zatrzymana za kradzież hotelowych ręczników

Byla nieodrodną córką Mieczysława hr. Dunin-Borkowskiego vel Newlina (1905–1971), przedwojennego i okupacyjnego dziennikarza, pracownika polskojęzycznej i kolaboranckiej radiostacji Wanda we Włoszech w 1945 r. oraz współpracownika wywiadu Polski Ludowej. Swoje imię zawdzięczała babce Ewelinie z domu Mazarak h. Newlin. Wychowywana samotnie przez matkę, którą ojciec opuścił jeszcze w 1939 r., żyła marzeniami o wielkim świecie, które usiłowała realizować w warunkach socjalistycznej rzeczywistości.

HEROINA ROMANSU

Zanim rozpoczęła „karierę dziennikarską”, była trzykrotnie mężatką. Tuż po maturze w lipcu 1958 r. poślubiła Adama Kiss-Orskiego, mistrza szermierki, późniejszego działacza polonijnego w Austrii. Małżeństwo trwało ok. półtora roku, a jego rodzina nie zachowała o tym związku najlepszego wspomnienia. Jej drugim mężem był S.W., chemik, o starym kresowym nazwisku. Kiedy zadzwoniłem do niego po przeszło 50 latach od rozvodu z Ewelina, wzdrygnął się na samo wspomnienie o niej. Powodem tego były m.in. okoliczności narodzin ich syna Patricka, który zaraz po przyjściu na świat okazał się być dzieckiem pozamałżeńskim, owocem związku Eweliny z dziennikarzem W.J.R. To spowodowało proces o zaprzeczenie ojcostwa, który sprawił, że syn otrzymał nazwisko rodowe matki. Niedługo potem samotna matka poślubiła Andrzeja Skierkowskiego, majora Wojskowych Służb Wewnętrznych. I to małżeństwo rozpadło się po kilku latach.

Hrabianka Ewelina przez całe życie umiejętnie kręciła się wokół mężczyzn, których wiele przewinięto się przez jej życie. Była niską, szczupłą blondynką o niebieskich oczach, zawsze zadbaną i elegancko ubraną. Potrafiła wywrzeć wrażenie na rozmówcach. Szczególnie podczas pierwszych kontaktów. W 1966 r. tak potrafiła zafascynować jednego z tajnych współ-

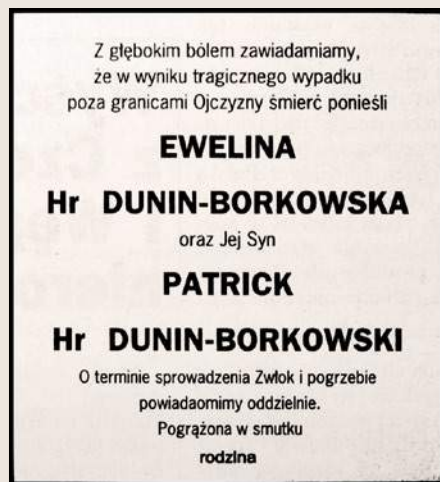
pracowników Służby Bezpieczeństwa, że ten w raporcie podejrzewał ją o pracę w komendzie milicji lub o udział w niewyjaśnionym do dziś napadzie na bank przy ul. Jasnej w Warszawie. To spowodowało jej pierwszy kontakt z SB, podczas którego opowiedziała o spotkaniach z dziennikarzem „Newsweeka”. Wtedy jednak nie skorzystano z jej usług, ponieważ okazało się, że ma jedynie sporadyczne możliwości dotarcia do niego.

KARIERA DZIENNIKARSKA

Przypomniano sobie o niej dopiero, kiedy rozpoczęła „karierę dziennikarską”. Początkowo miała pracować w redakcji tygodnika „Przyjaźń”, organu Towarzystwa Przyjaźni-Polsko Radzieckiej. Stamtąd rzekomo dzięki protekcji redaktora naczelnego Stanisława Junga przeszła w maju

Anna. Informowała swoich mocodawców o planach i zamierzeniach dziennikarzy zachodnich akredytowanych w PRL, co miało szczególne znaczenie ze względów operacyjnych. Za swoje usługi była wynagradzana kwotami rządu kilkuset złotych. Jej raporty – zarówno pisemne, jak i telefoniczne – były dość ogólnikowe. Pozwalały jednak zorientować się w planach podróży dziennikarzy, ich komentarzach, zwłaszcza prywatnych. Ewelina meldowała o wszystkich, z którymi się stykała. Szczególne miejsce zajmowali tu Klaus Bednarz (1942–2015), znany przedstawiciel ARD w Polsce, oraz szwajcarski korespondent Jürg Bissegger. Kariera Eweliny w Interpressie nie trwała zbyt długo, bo tylko do połowy lat 70. Nie pomagały jej intrygantwo, plotkarstwo oraz liczne romanse z dziennikarzami. Nie gardziła również kolegami z demoludów, co w przyszłości miało jej pomóc w nieco innej już roli. Opowiadała swoim adoratorom o porzuceniu przez męża czy jego tragicznej śmierci, względnie ciężkiej chorobie dziecka. Trafiła to niejednokrotnie na podatny grunt wśród mężczyzn skorych do pomocy.

Po dłuższych analizach spływających raportów innych tajnych współpracowników jej mocodawcy z SB doszli do wniosku, że wszystko, co Borkowska usiłowała im wmawiać o sobie, było kłamstwem. Okazało się, że nie była nigdy członkiem partii ani Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a jej znajomość języków obcych pozostawia wiele do życzenia. Nie mówiąc już o skandalach w życiu towarzyskim i zawodowym oraz braku przygotowania do pracy dziennikarskiej i administracyjnej. Współpracownicy SB działający bardziej z pobudek ideologicznych stwierdzili, że Borkowskiej imponuje zachodni styl życia. Cechą wyróżniającą miało być przy tym podkreślanie przez nią arystokratycznego pochodzenia ze specjalnym akcentowaniem przydomka Dunin i tytułu hrabiowskiego. Jeśli chodzi o to ostatnie, to Ewelina usiłowała rzeczywiście olśniewać tym młodych oficerów SB, wspominając o swoim ojcu mieszkającym podówczas w republice San Marino i jego bujnym życiorysie. To ostatnie zostało jednak zbagatelizowane przez wyższych oficerów MSW. Zostało też zauważone, że jej raporty o dziennikarzach zachodnich w Polsce zawierały konfabulacje. Pojawili się w nich rzekomi szpiedzy (np. dziennikarz japoński) czy nieistniejąca grupa organizująca przez Polskę przerzut osób pochodzenia żydowskiego z Węgier.



1971 r. do Interpressu. Istnieje jednak druga wersja – że pomógł jej w tym ojciec jej syna, wówczas pracownik tej agencji prasowej. Początkowo pracowała w sekcji korespondentów akredytowanych, a później została koordynatorem pracy ekip telewizyjnych programu TV NRF. W związku z kontaktami Eweliny z dziennikarzami zachodnimi SB nawiązała z nią współpracę. Została zwerbowana w charakterze kontaktu operacyjnego pod pseudonimem



Jak wspominał jej drugi mąż: „Kłamstwo było jej chlebem powszednim. Nawet kiedy kupowała bułki, twierdziła, że nabyła gazetę”. Mimo to nawet po jej odejściu z Interpressu nie zerwano z nią kontaktu operacyjnego. Ewelina wciąż roztaczała wokół siebie wizję osoby mającej szerokie znajomości w różnych środowiskach, którymi służyły były zainteresowane. Pomagano jej w uzyskaniu paszportu, gdy jej służbowy stracił ważność, a ona pilnie musiała wyjechać do „nowej pracy” w redakcji „Czerwonego Sztandaru” w Wilnie, do której rekomendował ją towarzysz Jerzy Łukaszewicz z Komitetu Centralnego.

Współpracę zakończono z nią dopiero w 1980 r., kiedy została zatrzymana przez Milicję Obywatelską w związku z systematycznym okradaniem z pościeli hotelu Światowid w Łodzi podczas kolejnych noclegów. W chwili zatrzymania miała przy sobie podrobioną legitymację dziennikarską Interpressu. Wówczas postanowiono też o jej wyrejestrowaniu z ewidencji SB i archiwizacji akt współpracy.

KOBIETA INTERESU

W warunkach epoki gierkowskiej niepracująca kobieta mogła dorobić m.in. pokątnym handlem i wyjazdami do krajów demokracji ludowej. Dzięki kontaktom z cudzoziemcami Ewelina często korzystała z towarów deficytowych. Po odejściu z Interpressu rozpoczęła wojażę po Czechosłowacji, NRD i Węgrzech. Podejrzewano ją wtedy o wielokrotne wyjazdy w celach handlowych. Nawet zatrzymano jej wkładkę paszportową na demoludy, ale wskutek interwencji SB sprawę zamknięto. Borkowska opowiedziała przy tym kolejną bajeczkę, że jej podróże były związane ze współpracą z dawną redakcją. Była na tyle bezczelna, że w kolejnych składanych wnioskach paszportowych zawsze wpisywała dwa fakultety studiów wyższych – Państwową Wyższą Szkołę Filmową w Łodzi (1964) oraz Wydział Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego (1976). Wkrótce zaczęła dopisywać stopień doktorski, rzekomo zdobyty w Moskwie. W istocie nawet nie rozpoczęła studiów wyższych.

Inwestowała zarobione pieniądze w syna Patricka. Młodzieniec po maturze rozpoczął działalność polityczną. W okresie Solidarności związał się z komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej, a po ogłoszeniu stanu wojennego wstąpił w szeregi ZSMP. Wkrótce rozpoczął kandydacki staż partyjny w PZPR i działał w PRON. Również jego matka wstąpiła do tej organizacji

i w publikacjach prasowych z okazji święta 1 Maja była wzmiankowana jako działaczka Rady Warszawskiej PRON oraz dziennikarka Interpressu z doktoratem. Niewątpliwie pomagało jej to przy kolejnych eskapadach do demoludów. Zwłaszcza kiedy po 45 wyjazdach w ciągu jednego roku biuro paszportowe ponownie zablokowało jej wkładkę. A na dodatek wpadła na granicy przy próbie przemytu waluty.

Gdy syn został pozytywnie zaopiniowany na studia w Państwowym Międzynarodowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych w Moskwie, Ewelina zyskała pretekst do częstszych wyjazdów w nowym kierunku. Niestety, po roku syn w atmosferze skandalu na tle obyczajowym i w skutek braku postępów w nauce został z uczelni wyrzucony. Niezwłocznie wyjechał ponownie prywatnie do Moskwy i został tam zatrzymany, kiedy usiłował dostać się do dawnego akademika. Deportowano go do Polski i zablokowano mu na pewien czas wyjazdy zagraniczne.

Przy rozwiązywaniu kolejnych problemów Ewelina wykorzystywała również dawne dziennikarskie kontakty. Przedstawiała m.in. zaświadczenia w języku węgierskim, że współpracuje z tamtejszą telewizją. W ten sposób doczekała końca PRL. Chociaż jeszcze rok przed jego upadkiem interesował się nią Wydział XI Departamentu II MSW, związany z zapobieganiem działalności wywiadowczej prowadzonej przez przedstawicieli obcych firm. W 1990 r. zarejestrowała wraz z synem firmę pod nazwą Comhart Computer Import-Export, mieszczącą się w budynku Uniwersytetu Warszawskiego, nieopodal dawnego gmachu KC PZPR. Prowadziła ona działalność handlową polegającą na braniu w komis wielu towarów elektronicznych z hurtowni. Płaciła kontrahentom z opóźnieniem lub starała się w ogóle nie regulować należności. Tłumaczyła się przed nagabującymi ją wierzycielami różnymi zdarzeniami losowymi. Część z nich dawała się nabrać na te wykrety. Kiedy jednak ci bardziej zniecierpliwieni zaczęli ją nadozdy, zdecydowała się szybko opuścić kraj wraz z synem. Wkrótce po ich wyjeździe (czy bardziej ucieczce) w październiku 1992 r. na łamach „Życia Warszawy” ukazał się nekrolog donoszący o śmierci w wyniku

tragicznego wypadku poza granicami kraju Eweliny hrabiny Dunin-Borkowskiej i jej syna Patricka hrabiego Dunin-Borkowskiego. Okazało się, że nekrolog przyniósł do „Życia Warszawy” człowiek, który podał się z nazwiska za sąsiada Eweliny. W istocie podszył się pod tożsamość nieżyjącej osoby. Jednocześnie prokuratorskie śledztwo wykazało przeszło 5,5 mld zł [przed denominacją – przyp. red.] długów firmy Comhart na szkodę kilkudziesięciu wierzycieli.

O Ewelinie słuch zaginął. Rok później na cmentarzu Cimitero Flaminio pod Rzymem pojawiła się płyta nagrobna z danymi Patricka Dunin-Borkowskiego, z czego wynikało, iż zmarł on dopiero w sierpniu 1993 r. Jak ustaliłem w styczniu 1995 r., grób ten został zlikwidowany, a szczątki w nim spoczywające skremowane i przywiezione do



Warszawy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że do dziś w systemie ewidencji ludności PESEL zarówno Ewelina, jak i jej syn nadal figurują jako osoby żyjące. Chociaż dokumenty osobiste, które posiadały, dawno utraciły ważność.

Niewątpliwie Ewelina hr. Dunin-Borkowska należy do typowych przedstawicieli osób dotkniętych zaburzeniem osobowości pod nazwą mitomania, określanym w psychopatologii zespołem Delbrücka. Jego osiowym objawem jest patologiczna skłonność do kłamstwa, mającego na celu podwyższenie samooceny, oparta na opowiadaniu nieprawdziwych historii o swoim życiu, zasługach i osiągnięciach. Podobne objawy charakteryzowały działalność jej ojca. Okoliczności towarzyszące jego śmierci nie są do końca jasne. W świecie ojca Eweliny występowały jednak postacie o głośniejszych historycznych nazwiskach i ludzie o zdublowanych tożsamościach, związani agenturalnie z rozmaitymi służbami. Ewelinie przyszło natomiast zaledwie ocierać się o ten świat, i to głównie w warunkach PRL. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

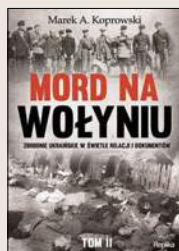
Bohaterowie Wołunia

Według stereotypowej opinii Polacy na Wołyniu i w Galicji Wschodniej zostali wyróżnieni przez ukraińskich nacjonalistów jak jagnięta. Zaskoczeni przez rezunów nie stawiali oporu oprawcom i – w najlepszym przypadku – salwowali się ucieczką. To nieprawda. W wielu miejscowościach Polacy podjęli walkę. Zorganizowali spontanicznie oddziały samoobrony i zamienili swoje miejscowości w silnie umocnione twierdze. Przebraże, Pańska Dolina, Huta Stepańska, Zaszucze, Mizocz, Ostróg. To tylko niektóre z nich. Część z tych twierdz padła po krwawych bojach, ale część wytrzymała do nadejścia bolszewików. Mimo zacieklej ataków przytłaczających siłą UPA polskim obrońcom udało się ocalić życie swoje i swoich rodzin. A często również tysięcy rodaków, którzy z całych okolic ścigali do miejscowości, których broniła samoobrona.

O tej heroicznej, nieco zapomnianej karce naszych dziejów pisze w nowej książce Marek A. Koprowski. Przytacza wiele relacji – to najmocniejsza strona jego piśarstwa – polskich świadków dramatu. Na przykład Antoniego Cybulskiego z Pańskiej Doliny.

„Banderowcy licząc, że zaszokują nas ogniem swoich »harmat«, przystąpili do ataku – relacjonował – ostrzeliwując nas dość silnym ogniem z broni ręcznej. I tu niespodziewanie nadziali się na wysunięte w tym kierunku okopane stanowiska ogniowe, lotniczego erkaemu obsługiwanego przez Władysława Galosa i kilku chłopaków z karabinami, którzy mając dobre rozpoznanie stanowisk atakujących bandziorów, silnym ogniem pocisków oświetlających z równoczesnym rzutem granatów, wybili napastników z animuszu i rozpędu.

Przy naszym niewielkim stanie osobowym, ruchomy manewrowy oddziałek, uzbrojony w najlepszą broń maszynową, bardzo skutecznie wyolbrzymiał naszą liczebność oraz jakość i siłę naszej broni. Po załamaniu się ataku pierwsze linie »strzelić« zaczęły się wycofywać. Około godziny dziewiątej przeciwnik w liczbie około 700 osób, pokonany przez naszą zaledwie 30-osobową obronę, zaczął cofać się do lasu. Górą nasi! ©©



★★★★★
MAREK A.
KOPROWSKI
„MORD NA
WOŁYNIU”, T. II
REPLIKA 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zezowate szczęście

Kiedy wiosną 1959 r. Andrzej Munk przystąpił do realizacji filmu na podstawie „Sześciu wcieleń Jana Piszczyka” Jerzego Stefana Stawińskiego (premiera 4 kwietnia 1960 r.), główną rolę powierzył Bogumiłowi Kobieli. Aktor zagrał ją wręcz brawurowo, okazując się znakomitym odtwórcą posta-

zacji ponad 40 produkcji!). Był również współautorem scenariusza „Do widzenia, do jutra” (wspólnie ze Zbyszkiem Cybulskim i Wilhelmem Machem).

Kobiela był jednak tak znakomitym aktorem, że nawet z roli drugoplanowej potrafił stworzyć prawdziwą perełkę. Krytycy i publiczność zachwycali się jego kawalerem Toledo w „Rękopisie znalezionym w Saragossie” Wojciecha Hasa, a przecież doskonałych aktorów w tej produkcji nie brakowało...

Prześladował go jednak pech, niemal jak Jana Piszczyka. Gdy wreszcie w ambitnym filmie („Ręce do góry” Skolimowskiego) dostał dużą rolę na miarę swoich możliwości, to obraz zatrzymała cenzura i na ekrany wszedł dopiero kilkanaście lat później.

Inna sprawa, że scena z podwójnymi oczami Stalina i paniczna ucieczka Kobieli przeszły do historii polskiej kinematografii.

Trudno powiedzieć, jak potoczyłaby się filmowa kariera pana Bogumiła, gdyby dłużej współpracował z Andrzejem Munkiem. Reżyser ten chyba jako jedyny twórca w kraju potrafił „operować zarówno językiem tragedii, jak i komedii”, będąc „mistrzem w obnażaniu fałszu narodowych stereotypów i symboli”. A Kobiela znakomicie sprawdzał się w rolach tragicomicznych i zapewne jeszcze nieraz spotkaliby się na planie. Niestety, Andrzej Munk zginął w wypadku samochodowym kilkanaście miesięcy po premierze „Zezowatego szczęścia”. ©©

Kobiela nawet z roli drugoplanowej potrafił stworzyć prawdziwą perełkę

ci życiowego nieudacznika i oportunisty, starającego się przetrwać bez względu na okoliczności.

„Zezowate szczęście” ukazywało najnowsze dzieje Polski w sposób odległy od dotychczas obowiązujących standardów. Nie było tam bohaterstwa, tylko szamotanina głównego bohatera z prześladowającym go pechem. Jego problemy nie wynikały z wojennej traumy, nie prześladowały go po nocach „ani wojna, ani obóz, ani chociaż Niemiec z psem owczarkiem”. Piszczyk gotów był na każdy kompromis, akceptował każdą ideologię, ale i tak zawsze ponosił klęskę. I te jego niepowodzenia z kobietami...

Niestety, właściwie już nigdy więcej Kobieli nie powierzono równie znakomitej roli. Co gorsza, Piszczyk go zasznufladkował, aktor grywał dużo, ale z reguły były to epizody lub role drugoplanowe (wziął udział w reali-



Piotr Semka

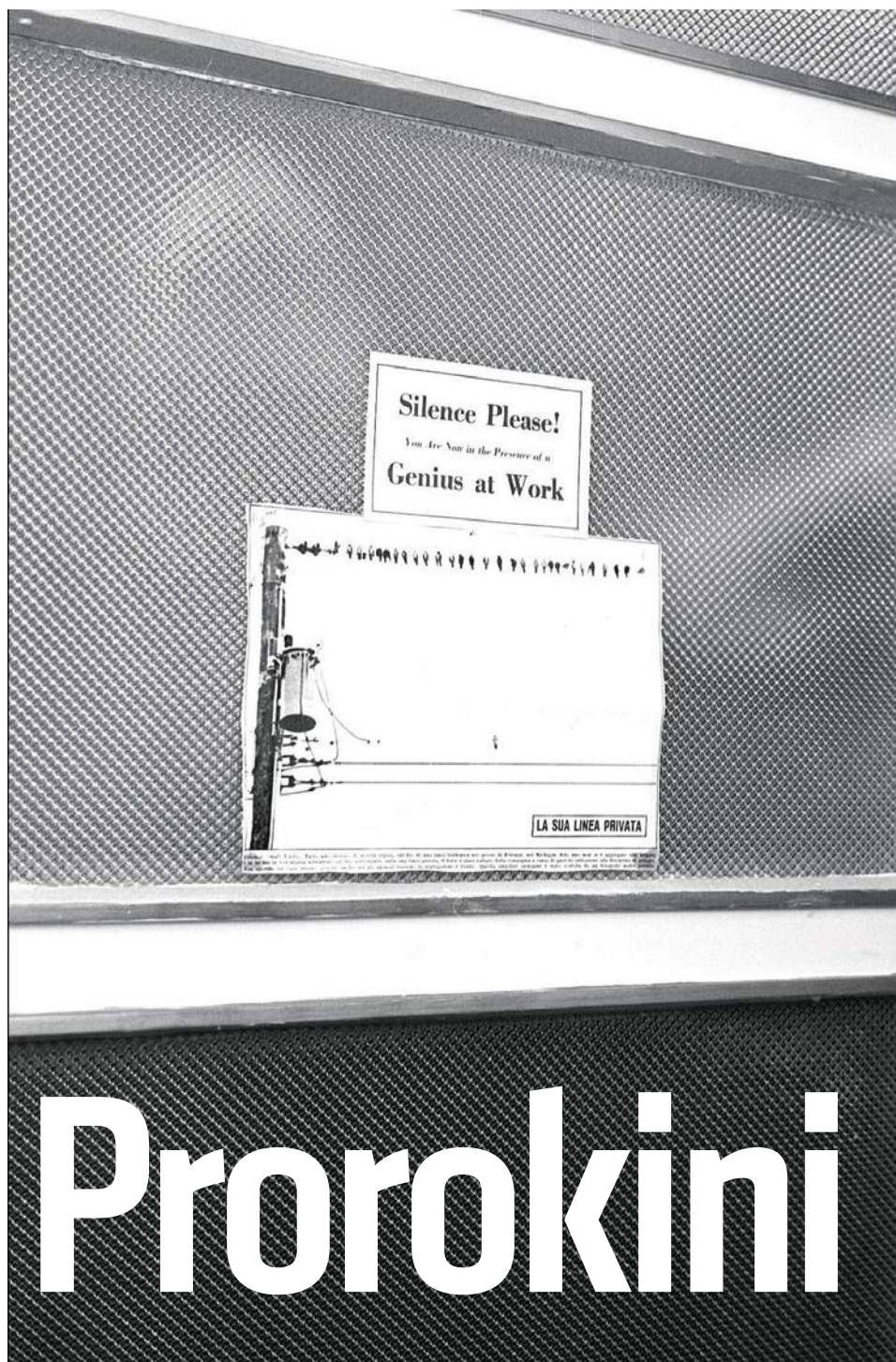
Od śmierci Oriany Fallaci minęło już ponad 11 lat, ale jej emocjonalny krzyk przestrogi przed niepokojącymi cechami islamu jedynie zyskuje na aktualności

Pisarka i dziennikarka z Florencji nie znalazła, jak dotąd, w krajach Zachodu równie przenikliwych i tak samo odważnych następców. Liberalno-lewicowe elity na spełnianie się jej przepowiedni w ciągu ostatnich trzech lat zareagowały zaklinaniem rzeczywistości. Jeszcze bardziej gorliwym powtarzaniem postępowych przesądów, które Oriana Fallaci tak dobitnie obnażyła. Jak ta niegdyśiejsza zwolenniczka zmian obyczajowych doszła do swych przestróg kierowanych do świata Zachodu? Dlaczego to właśnie ona wykrzyczała przesłanie „Wściekłości i dumy”, które stały się potem tytułem jej słynnej książki. Wściekłości na ślepotę Zachodu wobec islamizacji ich krajów i dumy z tego, co uczynił świat łańciski przeciwieństwem krajów muzułmańskich.

I ostatnie pytanie: Dlaczego mimo brutalnych faktów jej przesłanie napotyka wciąż tak silny opór w większości krajów zachodnich?

Widziałem ją tylko raz w życiu. To musiała być zima 1981 r. Stałem na schodach dawnego Hotelu Morskiego w Gdańsku-Wrzeszczu, który wtedy zamieniono na kwaterę główną Solidarności. „To ta słynna włoska dziennikarka” – szeptali bardziej wtajemniczeni. Trudno było jej nie zauważyć. Modny kapelusz, wielkie okrągłe okulary, które były jej znakiem firmowym, i efekciarskie futro z norek, w którym przyleciała z Włoch, najwyraźniej przekonana, że Polska to kraj arktycznych mrozów. Otoczona swoją świtą jak każda gwiazda, z jakąś asystentką i tłumaczem. Świadoma swojego statusu i pełna wrodzonej dystynkcji.

Wizyta dziennikarskiej gwiazdy z Italii nie była wtedy niczym nadzwyczajnym w tandetnym PRL-owskim hotelu, który stał się nagle jednym z najważniejszych miejsc w Europie. Co rusz po schodach Morskiego przelatywały tuż



Prorokini

z BBC, CBS, ABC czy najważniejszych dzienników. Wywiad z Wałęsą, po którym Fallaci przybyła do Gdańska, przeprowadziła w mieszkaniu szefa Solidarności na osiedlu Zaspa. Po latach wyzna, że „Lechu” zrobił na niej wrażenie bufona i cynika. Czego więc szukała w Hotelu Morskim? Szczepnie mówiąc, nie wiem.

Może chciała na własne oczy zobaczyć, jak wygląda sztab nowej robotni-

czej rewolucji? Skojarzenia z Instytutem Smolnym Lenina pociągało wtedy wielu lewicujących gości z Zachodu. Oriana Fallaci wybiła się do statusu dziennikarskiej celebrytki w latach 70. Nie sposób wykluczyć, że wzorzec słynnej wówczas Oriany zainspirował Andrzeja Wajdę do stworzenia postaci przebojowej reportażystki Agnieszki z filmu „Człowiek z marmuru”.



Oriana Fallaci w 1963 r.
FOT. LEEMAGE/EAST NEWS

A wojny jeszcze nie były opakowane w PR-owską otoczkę.

Włoska dziennikarka doskonale wykorzystywała swoją kobiecość. To dzięki niej uchodziły jej płazem beczelne pytania. Zaskakiwała satrapów tak mocno, że pozwalali jej na robienie ze sobą wywiadów, po których i tak pisała, co chciała. Była Włoszką i nieprzypadkowo to w jej kraju wymyślono powiedzenie, które mogłoby być mottem jej twórczości: „Jeśli nawet to nieprawda, to dobrze wymyślona”. W 1990 r., po wydaniu swojej powieści „Inszallah” o Bejrucie ogarniętym wojną domową, powoli traciła reporterski żar. Nie była już tą samą pasjonatką, która jeździła na wojny od Wietnamu do Libanu. Odezwały się różne choroby, ale i rosło rozgoryczenie. Jej poharatany życiem osobistym, degrengoladą polityczną jej rodzinnych Włoch. I wreszcie dały znać zwykłe wypalenie i rozczarowanie dziennikarstwem.

Wyjechała do Ameryki, zamieszkała na nowojorskim Manhattanie, mocowała się tu z pisaniem. I właśnie tu, wydawałoby się dziesiątki tysięcy kilometrów od ogarniętych wojną państw Trzeciego Świata, 11 września 2001 r. zapukała do jej drzwi świat wojny, od którego uciekła pod koniec XX w.

WOJNA ZA OKNEM

„Mój dom jest w centrum Manhattanu i około dziewiętej rano miałam poczucie zagrożenia, które może nie było skierowane we mnie bezpośrednio, ale z pewnością mnie dotyczyło. Takie uczucie jak w czasie bitwy, kiedy każdym porem skóry wyczuwasz nadlatującą kulę czy rakietę”. Zapewne setki wspomnień innych świadków ataków z 11 września pełne są zapewnień o takim przeczuciu. Jednak w przypadku reporterki, która poznała, co znaczy świszcząca kula w Wietnamie czy Libanie, takie słowa brzmią wiarygodnie. Wojny wyostrzają zmysły.

„Uczucie nadal władało mną niewytłumaczalne, niezrozumiałe, więc włączyłam telewizor. [...] na każdym kanale [...] widać było jedną z wież World Trade Center, która od osiemdziesiątego piętra w górę płonęła jak gigantyczna zapalka. Spieć? Roztrzępany pilot, który stracił kontrolę nad swoim małym samolotem. [...] Jak sparaliżowana patrzyłam dalej i kiedy patrzyłam [...], na ekranie pojawił się samolot. Wielki

biały, liniowy samolot. Leciał bardzo nisko. I lecąc niezwykle nisko, kierował się ku drugiej wieży jak bombowiec, który nadlatuje nad cel”. [...] Nie pytał mnie, co czułam w tamtej chwili czy trochę później. Nie wiem. Nie pamiętam. Byłam bryłą lodu”.

Ta bryła lodu kilka godzin później zapłonęła ogniem gniewu. „Nie wiedziałam, co zrobić. Jak być przydatną, jak pomóc. I właśnie kiedy zadawałam sobie pytanie: co-mam-zrobić, co-mogę-zrobić, telewizja pokazała Palestyńczyków – rozradowanych, klaszczących z powodu masakry. [...] Więc jak żołnierz, który wyskakuje z okopu i rzuca się na wroga, rzuciłam się na moją maszynę do pisania i zaczęłam robić to jedno, co potrafię – pisać”.

Tak powstał najpierw gigantyczny artykuł, który wydrukował dziennik „Corriere della Sera”, a na jego bazie wyłoniła się potem książka „Wściekłość i duma” – jej najważniejszy manifest – ostrzeżenie przed krucjatą islamu.

Gdy czyta się ten poruszający esej, widać, że dojrzewał on gdzieś w głębi jaźni autorki dziesiątkami lat. Kiedy zaczął się ten proces? Może wtedy, gdy w Wietnamie odkrywała, że wietnamski komunizm potrafił być o wiele bardziej perfidny niż to, co robili Amerykanie? A może gdy w Pakistanie odkrywała, jak okrutne potrafi być islamskie prawo? Gdy w Iranie mogła przyjrzeć się z bliska ajatollahowi Chomeinemu i gdy ogłądała, jak rewolucja islamska zgina kark kobietom, które odrzuciły czador? Gdy w Bejrucie widziała, jak Palestyńczycy zmienili piękne, niemal europejskie miasto w kupę gruzów w imię fanatyzmu muzułmańskiego? Gdy na najpiękniejszym placu Florencji somalijscy uchodźcy rozbili namioty i obsikiwali renesansowe baptysterium? Gdy niepokojąco pewni siebie imigranci arabscy próbowali napastować, a gdy kobieta broniła się, rzucali jej w twarz gniewną pogrozkę: „Znam swoje prawa!”?

Te wszystkie emocje, obserwacje i lęki zatrzymywała zbyt często dla siebie. Wiedziała, że dzienniki, dla których pisała, nie zniosą zbyt wiele takiej prawdy w epoce, gdy królował dogmat „dobre kraje Trzeciego Świata kontra zli imperialiści amerykańscy”. Teraz Oriana Fallaci wyrzuciła z siebie wszystko to, o czym pisała zbyt ogólnie lub zbyt wążąc słowa.

Tak powstawał apel do Zachodu, by zrozumiał, że wzbraniając się przed

Lata 60. i 70. były idealnym czasem dla takich jak ona. Wrzenie świata z rywalizacją Moskwy i Waszyngtonu w tle było dla dziennikarzy nieustającym źródłem inspiracji. Wtedy jeszcze liczył się naoczny reportaż, a nie teksty na bazie Internetu czy tweety. Jej generacja była zafascynowana „Trzecim Światem”, choć po latach okaże się, że to, co tam zobaczyła, skłoniło ją do otrzeźwienia.



Oriana Fallaci przeprowadza wywiad z ajatollahem Chomeinim w 1979 r. w Iranie. FOT. WWW.ORIANA-FALLACI.COM

■ uznawaniem swojej kultury za lepszą od islamskiej, otwiera drogę do barbaryzacji obyczajów. Numer „Corriere della Sera” z tekstem Fallaci – jak ona sama podaje – rozszedł się w milionowym nakładzie. Nawet jeśli w istocie była to połowa tej liczby, to świadczy ona o wstrząsie, jaki wywołał jej tekst. A potem były ogromne nakłady książki tłumaczone na dziesiątki języków.

Nikt z celebrytów medialnych nie odważył się wcześniej wypowiedzieć pewnych słów. Ona to zrobiła.

„Ludzie, obudźcie się, obudźcie się! Zastraszeni perspektywą płynięcia pod prąd, bojąc się wyjść na rasistów [...], nie rozumiecie lub nie chcecie zrozumieć, że toczy się już Odwrotna krucjata. Zaślepieni krótkowzrocznością i głupotą Politycznie Poprawnych, nie zdajecie sobie sprawy lub nie chcecie zdać sobie sprawy, że toczy się wojna religijna. Wojna, którą oni nazywają dżihadem. [...] Wojna, która jest prowadzona po to, by zniszczyć naszą cywilizację, nasz styl życia i umierania, modlenia się lub niemodlenia, jedzenia, picia i ubierania się, i studiowania, i cieszenia się. Otepieni propagandą fałszu nie przyjmujecie do wiadomości lub nie chcecie przyjąć do wiadomości, że jeśli nie zaczniemy się bronić, to dżihad zwycięży. [...] Jaka jest logika w szanowaniu tych, którzy nie szanują nas? Jaka godność w obronie ich kultury czy rzekomej kultury, jeśli oni okazują pogardę naszej?”

Nie wszystkie jej diagnozy przetrwały próbę czasu. W 2001 r. Oriana Fallaci

zakładała, że sieć Al-Kaidy będzie przeciwnikiem Zachodu na długie lata. Czas pokazał, że Osama bin Laden, architekt zamachu na Amerykę sprzed 16 laty, poniósł karę za swój czyn, a jego organizacja została zdziesiątkowana. Trafność zachowało jej ostrzeżenie przed pokojowym zalewem państw Zachodu przez masy imigrantów, którzy w miejscach, gdzie tworzą większe wspólnoty, rządzą się własnymi prawami i narzucają innym swoje obyczaje. I niezwykle trafne są jej obserwacje wobec feministek, które tak bezlitosnie wobec tradycyjnej kultury Zachodu są absolutnie obojętne wobec wrogości kultury islamu w stosunku do kobiet.

PARADOKS FALLACI

Dla konserwatystów nie jest nowością gorzka obserwacja, że wiele z ich nienowych spostrzeżeń ma szansę przebić się dopiero wtedy, gdy wygłosi je ktoś „nawrócony” z obozu liberalnego establishmentu. Tak było z Orianą Fallaci. W swoich ostatnich książkach wyraziła to, co głosili od lat 70. np. francuscy emigranci z Algierii, którzy z własnych, kolonialnych doświadczeń wiedzieli, jak kończą się sny o multi-kulti, i obserwowali potem powtórkę tych eksperymentów w Marsylii czy Tulonie. Orianę słuchano jednak nieco łaskawiej. Była nawet, mimo swoich antyislamskich „herezji”, jakoś oswojona i swoja. Może dlatego, że w swych krytykach islamizacji Zachodu odwoływała się wciąż do zrozumiałych dla lewicy haseł laickości i feminizmu.

W Polsce prowadziło to niekiedy do zaskakujących łamańców. W 2001 r. artykuł Fallaci z „Corriere della Sera” jako pierwsza wydrukowała „Gazeta Wyborcza”. W 2006 r., gdy działacz wspólnot muzułmańskich we Włoszech Adel Smith pozwał włoską pisarkę do sądu, list w jej obronie podpisała plejada polskich celebrytów mediów, biznesu i polityki – z Adamem Michnikiem, Katarzyną Kolondą-Zaleską, Henryką Bochniarz, Tadeuszem Mazowieckim i Władysławem Frasyniukiem. W tym samym roku włoska pisarska otrzymała od „Tygodnika Powszechnego” Nagrodę Orłów Jana Karłowicza.

Kiedy jednak w 2015 r. pojawiła się w Europie fala uchodźców z Afryki i z terenu Azji, środowiska, które dekadę wcześniej broniły Fallaci, rozpetwały kampanię na rzecz bezwarunkowej i bezrefleksyjnej akcji przyjmowania uchodźców.

W swojej książce „Wściekłość i duma” Fallaci kpiła z jednego z włoskich premierów, który wzywając do przyjmowania uchodźców muzułmańskich, mówił w telewizji: „Mój wujek też był emigrantem. Dobrze pamiętam wujka, który wyjechał do Ameryki ze swoją tekturową walizką”. Fallaci spokojnie tłumaczyła w książce, dlaczego takie porównania to demagogia.

Jednak dokładnie taki sam typ argumentacji królował w 2015 r. w kregach, z których wywodzili się sygnatariusze polskiego listu w obronie Fallaci. Zamiast o „wujku z tekturową walizką” przypominano, że Polacy winni przyjmować „obcych”, bo „sami byli dobrze przyjęci w Persji w 1942 r., gdy Anders wyprowadził tam tłumy łagierników z Rosji”.

Wpływ Fallaci na elity lewicy i liberałów na Zachodzie okazał się niewielki. Jednak jej ostrzeżenie zmieniło w wielu krajach Zachodu bezrefleksyjny stosunek do imigracji. W jeszcze większym stopniu jej ostrzeżenie zostało wysłuchane w krajach Europy Środkowej, które nie zgodziły się na odgórny, przymusowy przydział kwot imigrantów. Niedawny, polityczny zwrot w jej ojczystej Italii to także efekt spóźnionego, ale skutecznego przyjęcia przesłania z ostatnich pięciu lat jej życia. Być może na dłuższą metę Oriana Fallaci okaże się prorokiem także we własnym kraju. Ona, wściekła i dumna, córka renesansowej Florencji. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



UCZCIĆ NIEMCÓW NA MONTE CASSINO?

Miejscowi hotelarze wraz z niemiecką organizacją spadochroniarzy chcieli umieścić pamiątkową tablicę w miejscu dowództwa niemieckich desantowców uczestniczących w bitwie pod Monte Cassino. Ich zdaniem tablica miała być wyrazem „pamięci o ofiarach absurdu i przemocy wojny” oraz upamiętniać wszystkich cywilów i wojskowych poległych w bitwie. Zaprotestowały władze regionu Lacjum i rzymski oddział Stowarzyszenia Partyzantów i ich rodzin. Ostatecznie pomysł „potępienia faszyzmu” poprzez uczczenie faszystowskich żołnierzy uciął burmistrz miasta Cassino, który ogłosił odwołanie ceremonii.

FOT. MAC

KULTURA DLA NAGUSÓW

Muzeum Palais de Tokyo, które w Paryżu prezentuje sztukę współczesną, zaproponowało miejscowemu stowarzyszeniu nudystów możliwość darmowego zwiedzania wystawy 5 maja dla tych, którzy przyjdą nago. Chęć wzięcia udziału w takim zwiedzaniu wyraziło na Facebooku prawie 20 tys. osób. Jednak wejściówek było tylko 100. To kolejny przyrządek zdobyty przez nagusów w Paryżu – w ubiegłym roku wywalczyli wydzielanie dla nich części lasu Vincennes. Co będzie następne? Może jakiś urząd dla nagich petentów albo szkoła?

WEGAŃSKIE PRZEDSZKOLE

We Frankfurcie latem zacznie działać pierwsze przedszkole w Niemczech, w którym dzieci będą karmione tak jak weganie – nie dostaną do jedzenia nie tylko mięsa, lecz także nie zobaczą na talerzykach jajek czy produktów mlecznych. Pomysł przeraził nawet polityków z Partii Zielonych. Sceptycyzm oficjalnie

wyraziło też Niemieckie Towarzystwo Żywnościowe. Władze miasta z jednej strony przekonują, że podopieczni tej placówki będą włączeni w badanie naukowe dotyczące żywienia wegańskiego u dzieci, a z drugiej zapewniają, że maluchy będą systematycznie badane i w razie złych wyników urzędnicy będą interweniować. Trudno powiedzieć, co gorsze – przymus zabaw nietypowych dla płci w polskich równościowych przedszkolach czy przymus żywieniowy w niemieckiej placówce.

TEATR ZAPROSIŁ TERRORYSTÓW

Belgijski teatr z Gandawy zamieścił w mediach ogłoszenie, w którym obwieścił, że poszukuje aktorów w przeszłości walczących jako bojownicy Daesh. W ten sposób zaplanowano nabór do przedstawienia szwajcarskiego reżysera Milo Raua, który zasłynął już wcześniej z rekrutowania dzieci do przedstawienia o pedofilu. Na prasowe poszukiwania bojowników ISIS zareagował minister kultury Flandrii, uznając, że sztuka ma jednak pewne granice. Teatr przeprosił. ©©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dublińczycy

Zanosi się na pierwszą wojnę polsko-irlandzką, bo Irlandczycy nie chcą wydać Polsce oskarżonego o handel narkotykami Artura C.

Byłoby szkoda. Irlandczycy dali światu Joyce'a, od którego zapożyczyłem tytuł, Wilde'a, Swifta, a na dodatek aksamitne piwo Guinness i pieszczącą podniebienie whiskey Bushmills. A jako że łączy nas z nimi smutna historia i predylekcja do napojów wysokokowych, polsko-irlandzkie wieczory zazwyczaj kończą się nad ranem pełnym zbrataniem i przyjaźnią na lata, choć nie bez pewnego uszczerbku dla zdrowia.

W pachnącym guinnessem Dublinie na podstawie polskiego wniosku zatrzymany został pan C. Obrońcy Polaka udało się sprawę przeciągnąć i doprowadzić do sądu najwyższego. Chwytnąjąc się ostatniej deski ratunku, podniósł, że w związku ze zmianami w polskim sądownictwie jego klient nie może liczyć na sprawiedliwy proces. Pani sędzia zwróciła się o wydanie opinii w tej sprawie do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w Liście, w którym postawiła własną, druzgocącą diagnozę. Adwokat też napisał w tej sprawie oświadczenie. Oba pisma miejscami proszą się o pytanie, czy aby dublińscy praw-

nicy redagując je, nie korzystali z handlowych usług pana Artura C.

Niemniej imponuje spryt adwokata, który tak skutecznie broni swego klienta. Przebiegłość Irlandczyków nie darmo obrosła anegdotą. Centrum Dublina. Leje jak z cebra. Przed pubem przemocony do suchej nitki dublińczyk łowi ryby na wędkę w kałuży. Podchodzi drugi: „Nie wygłupiaj się. Chodźmy do pubu. Postawię ci whiskey”. Po trzeciej szklaneczce rozochociony dobroczyńca postanowił zakpić sobie z wędkarza: „Sean, a ile ryb złowiłeś w tej kałuży?”. „Ty jesteś już ósmą”. Sláinte. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Z Włodzcykiem, chemikiem pracującym nad nowiczkiem rozmawia Piotr Włodzcyk

Pomogłem stworzyć potwora

PIOTR WŁÓDZCYK: Jakie szanse mają Siergiej Skripal i jego córka na przeżycie najbliższego roku?

WŁÓDZCYK: Życzę im jak najlepiej i bardzo im współczuję, ale ich rokowania wyglądają tragicznie. Do zabicia na miejscu dorosłego mężczyzny wystarczy miligram (jedna tysięczna grama) nowiczoka. Wygląda jednak na to, że zostali oni otruci mniejszą ilością, więc ta trucizna będzie ich męczyła, ale ostatecznie wygra z nimi. Mimo że nie umarli od razu, wyrok śmierci został już na nich wykonany.

Jak szybko trzeba podać antidotum, żeby uratować życie człowieka otrutego nowiczkiem?

Na tego bezwzględnego zabójcę nie ma skutecznego antidotum. Można

podawać pewne środki, które mogą nieco pomóc, odwlec śmierć, ale nic nie jest w stanie jej zatrzymać. Amerykańscy eksperci z dziedziny biochemii przyznają, że nawet dziś nie ma prawdziwego antidotum na nowiczoka. Gdy pracowaliśmy nad nim w latach 80., widziałem, co ta trucizna robi ze zwierzętami. To nie jest śmierć, to są tortury.

Co konkretnie dzieje się z otrutym człowiekiem?

Mój przyjaciel Andriej, świetny inżynier, otruli się w czasie prac nad tą bronią. Do wypadku doszło w 1987 r., w laboratorium, na skutek źle podłączonej wentylacji. Andriej powiedział, że jest mu słabo. Dali mu jakieś leki, ale szybko zasnął. Zabrali go do szpitala, tylko że

personel nie miał pojęcia, co mu jest. To wszystko było ściśle tajne, więc nie można było powiedzieć lekarzom, co tak naprawdę mu dolega. Andriej zmarł na skutek tego zatrucia.

Nowiczok jest 50 razy bardziej zabójczy od sarinu, 10 razy groźniejszy od gazu VX. To potworny zabójca. Paraliżuje centralny układ nerwowy, niszcząc go kawałek po kawałku, mięśnie przestają działać. Pierwszy sygnał alarmowy to zawężenie pola widzenia, potem pojawiają się wymioty i problemy z oddychaniem. Człowiek zaczyna się dusić, ponieważ mięśnie przestają działać, aż wpada w konwulsje. Skripala i jego córkę znaleziono w konwulsjach na ławce...

Mieli szczęście, że od razu trafili do szpitala, a tamtejsi specjaliści szybko zorientowali się, że to była trucizna. Jednak, jak już wspominałem, Skripal i jego córka są mimo najlepszej opieki w tragicznej sytuacji.

Nie ma pan wątpliwości, kto za tym stoi?

Absolutnie nie, chociaż nigdy się nie spodziewałem, że go użyją. To był dla mnie szok.

Na sto procent stała za tym Rosja. Ten kraj ma monopol na tę truciznę. Jeszcze raz podkreślę, że do użycia go potrzeba wysokich technologii, byle kto nie jest w stanie tego zrobić. Nowiczok to jak odcisk palca Rosji.

Dlaczego go w takim razie użyli?

Ponieważ są aroganccy do granic możliwości. Podejrzewam, że byli przekonani, iż nikt nie odkryje, jaka konkretnie była to trucizna. Widać jednak, że nawet zidentyfikowanie przez Wielką Brytanię nowiczoka nie za bardzo ruszyło Putina i jego ludzi. Takie zabójstwa zawsze mają jeden cel – zastraszenie innych, którzy mogą myśleć o zdradzeniu sekretów Rosji. „Z wami stanie się to samo, jeżeli nas zdradzicie” – mówi za pośrednictwem nowiczoka Putin. To straszne, ale niemal bezkarnie gra w ten sposób na nosie demokratycznego świata.

Jak pan dziś patrzy na to wszystko? Kawał życia spędził pan na pracy nad potwornymi rzeczami. Jak podaje pan w swojej książce, ok. tysiąc osób pracowało nad samym nowiczkiem. Natomiast cały sowiecki program rozwoju broni chemicznej zatrudniał 30–40 tys. ludzi.

Żałuję, że brałem udział w pracach nad tą bronią. Bardzo źle się z tym czuję.

Wiem, że spoczywa na mnie część winy. Nie da się ukryć, że uczestniczyłem w działalności kryminalnej. Wprawdzie to nie ja go wymyśliłem, ale pracowałem nad nim, testowałem go pod każdym kątem i doskonale rozumiałem, jak bardzo niebezpieczna jest ta substancja.

I nigdy nie pojawiały się jakiekolwiek wątpliwości?

Byłem chemikiem, profesjonalistą. Robota to robota – tak do tego podchodziłem. Wtedy wszyscy myśleliśmy, że to ma chronić Związek Sowiecki przed atakiem wrogich wojsk.

Sowiecki rząd chciał coraz to potężniejszej broni chemicznej, żeby każda kolejna trucizna była jeszcze straszniejsza od poprzedniej. W końcu doszedłem do wniosku, że przecież to nie będzie skuteczna broń przeciw rozproszonym wojskom wroga, a zamiast tego to idealna broń masowego rażenia przeciw cywilom, przeciw miastom. Ta zmiana świadomości u mnie zbiegła się z upadkiem ZSRS.

W 1992 r. „Moskowskije Nowosti” opublikowały pański tekst, w którym ujawnił pan informacje

na temat programu rozwoju nowiczoka. Czyli, używając dzisiejszego języka, był pan sygnalistą.

Byłem bardzo zawiedziony, że Rosja ukrywa istnienie tej potwornej broni w momencie, gdy powstawała konwencja o zakazie broni chemicznej. Chciałem to nagłośnić, żeby ludzie wiedzieli, że coś takiego istnieje. Po napisaniu artykułu, w którym ujawniłem istnienie nowiczoka, zostałem aresztowany, trafiłem do więzienia i czekałem na proces.

Rosyjskie władze umorzyły jednak sprawę przeciw panu. Reuters twierdzi, że stały za tym naciski państw zachodnich. Dzisiaj to nie do pomyślenia, ale początek lat 90. w Rosji to była zupełnie inna epoka.

Wydawało się, że muszą mnie za to zabić. Nie zabili jednak. Stwierdzili ostatecznie, że nie ujawniłem żadnych państwowych tajemnic i dali mi spokój.

Nie boi się pan nowiczoka?

Teraz, kiedy mam 83 lata, już mnie chyba nie zabiją. Bóg nade mną czuwa.

Ameryka też nad panem czuwa.

Tak, Ameryka, moja druga ojczyzna, też nade mną czuwa. W 1995 r. wyko-

rzystałem szansę i przeniósłem się do USA – komisja pod przewodnictwem Ławrowa dała mi paszport! USA miały wtedy specjalny program dla rosyjskich naukowców – Soviet Scientists Immigration Act, więc łatwo było się przenieść do Ameryki. Departament Stanu był tu bardzo pomocny.

To akurat nie powinno dziwić.

Szybko dostałem zieloną kartę, Ameryka dała mi obywatelstwo.

Jaka powinna być odpowiedź Zachodu na użycie nowiczoka?

Przede wszystkim jestem zawiedziony reakcją Trumpa. Telefon do Putina z gratulacjami po wygranych wyborach? Jak tak można? Rosję może utemperować jedynie zabranie pieniędzy najbliższemu otoczeniu Putina. Nic innego nie będzie skuteczne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wit Mirzajanow jest rosyjskim chemikiem, brał udział w pracach nad stworzeniem nowiczoka. Od 1995 r. mieszka w USA. W 2008 r. wydał książkę „Tajemnice państwowe: rosyjski program broni chemicznej od wewnątrz”.

REKLAMA

NIECHCIANI GENERAŁOWIE.

Sosabowski, Maczek, Bór – Komorowski i inni

Niezwykłe powojenne losy polskich oficerów

Bohaterowie i legendarni dowódcy. Po wojnie nie mogli wrócić do Polski. Dawny sojusznik – Wielka Brytania przestała życzliwie traktować wojennych uchodźców w mundurach.

Przestali być potrzebni.

Aby utrzymać rodziny, kawalerowie orderu **Virtuti Militari** zostawali barmanami, tapicerami i nocnymi stróżami.

F wydawnictwo
FRONDA

DO
RZECZY





Olivier Bault

Ciekawą cechą najbardziej zagorzałych krytyków amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa jest ich wyrozumiałość dla komunistów

Weźmy przykład George'a Sorosa. Jak wiadomo, amerykański miliarder nie lubi Donalda Trumpa i wspierał finansowo, przez swoje fundacje, różne antytrumpowe przedsięwzięcia na terenie Stanów Zjednoczonych i nie tylko. Na ostatnim spotkaniu możliwych tego świata w Davos w Szwajcarii pan Soros mówił jasno, co myśli o obecnym prezydencie USA: „Uważam administrację Trumpa za niebezpieczną dla świata”. Finansjer powiedział też, że jego Open Society Foundations (OSF) wydatkuje połowę swojego budżetu na obronę demokracji „bliżej domu”. Jeśli chodzi o komunistyczne Chiny, to ten sam pan Soros uważał już za czasów Baracka Obamy, że: „Mają nie tylko bardziej dynamiczną gospodarkę, ale tak naprawdę lepiej działający rząd niż Stany Zjednoczone”. Samozwańczy obrońca demokracji w USA i Europie powiedział także o Chinach, że muszą brać odpowiedzialność za porządek świata.

Wyrozumiałość dla komunistycznych Chin ze strony lewicowo-liberalnych elit amerykańskich nie jest czymś nowym. Zdumiewający pod tym względem jest tekst pt. „From a China Traveler” napisany przez miliardera Davida Rockefellera dla „New York Timesa” w 1973 r. Powstał po podróży Rockefellera do Chin za czasów rządów człowieka, który przyczynił się do śmierci kilkudziesięciu milionów ludzi. Mowa tu oczywiście o komunistycznym zbrodniarzu Mao Zedongu. Zmarły w 2017 r. w wieku 101 lat David Rockefeller to filantrop w stylu Sorosa (łączyły go z nim powiązania z Rothschildami), jeden z inicjatorów spotkań Grupy Bilderberg od 1954 r., założyciel podobnej do Bilderberg w swoich założeniach, lecz bardziej tajemniczej Komisji Trójsłonnej w 1973 r., kluczowy członek wpływowego think tanku amerykańskich globalistów Council on Foreign Relations (CFR). Po 10 dniach spędzonych w Pekinie, Xi'an, Kantonie i Szanghaju napisał: „Jest się od

razu pod wrażeniem poczucia narodowej harmonii. [...] Niezależnie od swojej ceny chińska rewolucja w sposób ewidentny odniosła sukces, i to nie tylko przez to, iż wytworzyła bardziej skuteczną i oddaną administrację, ale także dzięki temu, że zaszczepiła wysokie morale i wspólnotę celu”. Na końcu dochodzi do następującego wniosku: „Społeczny eksperyment przeprowadzony w Chinach pod kierownictwem przewodniczącego Mao jest jednym z najważniejszych i najbardziej udanych w historii ludzkości”.

Ktoś mógłby powiedzieć, że nie można porównywać słów Sorosa ze słowami Rockefellera napisanymi cztery dekady wcześniej, gdyż Chiny są dziś komunistyczne tylko z nazwy. Czyżby? Prezydent Xi Jinping skupia najwięcej władzy od czasów Mao. Ogólnochińskie Zgromadzenie Przedstawicieli Ludowych dało mu w tym roku przyzwolenie na sprawowanie dożywotniej prezydentury. Teraz Chińczycy komuniści stawiają na rozwój technologii cyfrowych i sztucznej inteligencji, dzięki którym stworzenie komunistycznego raj

lewicowo-liberalnych elit Zachodu, lecz także prowadzą z nimi wspólne przedsięwzięcia. Przykładowo, Jack Ma zainwestował pieniądze w amerykańską firmę Cadre handlującą najdroższymi nieruchomościami w Stanach Zjednoczonych i współpracującą z najbardziej elitarnymi klientami. W firmie tej udziały posiadają także bank Goldman Sachs (jeden z założycieli think tanku Council on Foreign Relations) oraz Jared Kushner. To lewicowo-liberalny polityk, zięć i doradca prezydenta Donalda Trumpa, uważany przez amerykańskich konserwatystów za wtyczkę globalistów w administracji prawicowego „populisty”. Jared Kushner został pod koniec lutego odsunięty nieco na bok, tracąc dostęp do najbardziej poufnych informacji, właśnie z powodu swojej aktywności w sektorze handlu nieruchomościami i obaw, iż może to mieć znaczenie dla bezpieczeństwa państwa. Firma Cadre, którą współzałożył Joshua Kushner, brat Jareda, według „The Wall Street Journal” przy realizacji swoich projektów korzysta z linii kredytowej w wysokości 250 mln dol. przyznanej

Słabość do

wydaje im się wreszcie w zasięgu ręki. „Komunizm jest celem kraju i Komunistycznej Partii Chin” – pisała w sierpniu ub.r. gazeta Komunistycznej Partii Chin „Global Times”. Cytowany w artykule założyciel i prezes chińskiego giganta e-handlu JD.com, Liu Qiangdong, uważa że Chiny mogą stworzyć prawdziwe komunistyczne społeczeństwo dopiero teraz, dzięki postępowi technologicznemu, oraz że nie będzie już podziału na ludzi biednych i bogatych, a wszystkie firmy będą państwowe. Jego konkurent Jack Ma z Alibaby jest podobnego zdania: „Dzięki dostępowi do danych wszelkiego typu możemy być w stanie znaleźć niewidzialną rękę rynku”. Innymi słowy, dzięki komputeryzacji i rozwojowi sztucznej inteligencji gospodarka będzie mogła być centralnie zarządzana, jak to powinno mieć miejsce w komunizmie.

PIENIĄDZE I POGLĄDY

Chińczycy komuniści nie tylko spotykają się z dużą wyrozumiałością ze strony



FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

przez firmę Soros Fund Management. Firma Sorosów jest także – obok Chińczyka Jacka Ma i Kushnerów – ważnym udziałowcem firmy Cadre. Inne przykłady interesów amerykańskiej lewicy z komunistycznymi Chinami podaje dziennikarz śledczy serwisu Breitbart News Peter Schweizer. Schweizer zasłynął książką „Clinton Cash”, traktującą o pieniądzach i korupcji Clintonów. W marcu br. opublikował książkę pt. „Secret Empires”. Odsłania w niej, jak za czasów Baracka Obamy podróżował wiceprezydenta Joe Bidena i sekretarza stanu Johna Kerry’ego zaowocowały napływem chińskich pieniędzy do firm, których synowie tych dwóch polityków byli współwłaścicielami.

Wspólne interesy to jedno. Równolegle istnieje zaś także pewna wspólnota poglądów wobec programu wyborczego Donalda Trumpa. Zarówno amerykańskim lewicowo-liberalnym globalistom, jak i komunistycznym Chinom nie podobają się hasła prezydenta o potrzebnym nacjonalizmie gospodarczym. Jednak to nie wszystko. Ludzie tacy jak Jared Kushner,

nistę Menga Hongweia, który w Chińskiej Republice Ludowej pełni jednocześnie funkcję wiceministra ds. bezpieczeństwa publicznego.

W momencie, gdy „populista” i „nacjonalista” Donald Trump wznosi hasło „America First”, amerykańska lewica widzi w Chinach potencjalnego czempiona globalnego porządku światowego. Najwyraźniej nie przeszkadza im to, że w samych Chinach partia komunistyczna za pomocą nowych technologii intensyfikuje z roku na rok inwigilację obywateli, przekształcając Chiny w pierwsze państwo totalitarne ery cyfrowej, jak to pokazywał niedawny raport organizacji Human Rights Watch.

WOJNA RAS

Wyrozumiałość bogatych, zagorzałych krytyków Donalda Trumpa dla komunistów i ogólniej – dla radykalnej, antydemokratycznej lewicy – objawia się także na froncie wewnętrznym. Dobrym przykładem tego stanu rzeczy jest ich stosunek do organizacji radykalnej afroamerykańskiej lewicy Black Lives Matter (BLM). Organiza-

nych. Dla Ignatieva „jeśli jesteś białym mężczyzną, to nie zasługujesz na to, aby żyć. Jesteś rakiem, jesteś chorobą, biali mężczyźni nigdy nie przyczynili się do czegokolwiek pozytywnego na świecie. Tylko mordują, eksploatują i gnębią niebiałych!”. BLM jest częścią tego ruchu o marksistowskich korzeniach, który w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej walkę klas zastąpił walką ras oraz walką realnych i wydumanych mniejszości wszelkiego typu.

Cały ruch Antifa, bardzo aktywny w protestach przeciwko Trumpowi oraz w brutalnych napadach na jego zwolenników, ma korzenie komunistyczne, czego nie pokazywał dokument CNN „Unmasking the leftist Antifa movement” wyemitowany w sierpniu ub.r. CNN, podobnie jak inne lewicowo-liberalne media, okazuje dużą wyrozumiałość, a nawet sympatię dla działaczy Antify. Ideologię tego ruchu najlepiej oddał profesor prawa Mike Isaacson z Uniwersytetu Nowojorskiego: sam antykomunizm to już faszyzm. Choć amerykańskie media o tym nie mówią, organizacje Antifa w Ameryce nie kryją się ze swoją komunistyczną ideologią. Przykładowo, organizacja Red Guards Austin chętnie afiszuje się z sierpem i młotem, a na swoim portalu internetowym gloryfikuje największych zbrodniarzy w historii ludzkości, tj. Stalina i Mao Zedonga.

ZMOWA

Marksistowskie organizacje, takie jak Black Lives Matter czy Revolutionary Communist Party (RCP), uczestniczyły w zajściach w Charlottesville latem ub.r., a pomimo tego największe media amerykańskie napadły na prezydenta Donalda Trumpa, gdy ten potępił zarówno lewicowych, jak i prawicowych radykałów. Zaraz po tych zajściach przewodnicząca demokratów w Izbie Reprezentantów, Nancy Pelosi, wpisała się w dyskurs skrajnie lewicowych organizacji, żądając odwołania manifestacji grupy Patriot Prayer (Modlitwa Patriotyczna). Pani Pelosi nazywała to wydarzenie, skupiające w większości zwolenników Donalda Trumpa, manifestacją białych suprematystów.

Było to otwarte zaproszenie do przemocy skierowane do lewicowych radykałów amerykańskich! Była to także kolejna ilustracja zмовы amerykańskiej liberalnej lewicy z komunistami i innymi spokrewnionymi grupami przeciwko rządowi demokratycznie wybranego prezydenta.

komunistów

George Soros czy miliarder i filantrop, były burmistrz Nowego Jorku, Michael Bloomberg są również zwolennikami paryskiego porozumienia klimatycznego. W sierpniu 2016 r. Bloomberg mówił na konwencji demokratów, że Trump to niebezpieczny demagog i oszust, któremu nie można pozwolić na wygranie wyborów. W czerwcu 2017 r., w kontekście porozumienia klimatycznego, które Trump wypowiedział, oświadczył z kolei, że Chinom należą się pochwały, iż są wzorem dla innych krajów. Takich wypowiedzi amerykańskich krytyków Trumpa było dużo więcej.

Istnieją równolegle także inne tropy wskazujące na pewien sojusz amerykańskiego tzw. Deep State („głębokiego państwa”, czyli odpowiednika polskiego „Układu”) z komunistycznymi Chinami. Chodzi np. o poparcie Council of Foreign Relations dla zwiększonego udziału Chin w tworzeniu stałej siły policyjnej ONZ i przyzwolenie na objęcie w listopadzie 2016 r. stanowiska przewodniczącego międzynarodowej agencji policyjnej Interpol przez chińskiego komu-

cja ta dostaje dziesiątki milionów dolarów od takich lewicowo-liberalnych fundacji, jak Fundacja Forda, Center for American Progress – organizacji założonej przez bliskiego współpracownika Clintonów Johna Podestę – czy Open Society Foundations Sorosa. Black Lives Matter została założona przez lewicowe działaczki Alicję Garzę, Patrisse Cullors i Opal Tometi, wcześniej związane z aktywizmem na rzecz równości społecznej, likwidacji więzień, masowej imigracji, LGBT, obrony mniejszości itp. Założycielki tego ruchu otwarcie podają za swoje wzorce postacie takie jak Assata Shakur, dawna członkini komunistycznych organizacji terrorystycznych Black Panthers i Black Liberation Army.

Hołd tej postaci latem ubiegłego roku oddała także organizacja Women’s March, która z poparciem mediów i Hillary Clinton organizowała wielkie protesty kobiet przeciwko prezydentowi Trumpowi w latach 2017 i 2018. Innym źródłem inspiracji dla Black Lives Matter to rasistowskie teorie stalinisty-maoisty Noela Ignatieva, członka Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczo-



Zapomniana autostrada



Adam Zubek

Kiedyś Wisła była jednym z najważniejszych szlaków komunikacyjnych Europy.

Czy reaktywacja gospodarcza Wisły to dobry pomysł?

Ten dzień mieszkańcy Gdańska z pewnością pamiętali długo. W porcie „gęsto ustawione na brzegu chorągwie mieszczan, piesze i konne, i tłumy gapiów dobrze widzieć mogły piękne oblicze królowej, majestatycznie opartej o jedwabne poduszki przy oknie stateczku, obitego wewnątrz i zewnątrz czerwonym suknem”. W ten sposób odbyła swoją podróż z Warszawy do Gdańska ukochana Jana III Sobieskiego, Marysieńka. Z tej

drogi wodnej korzystali inni królowie – Zygmunt I popłynął na swą koronację do Krakowa w górę rzeki, w ten sposób podróżował z Krakowa w drugą stronę Zygmunt August. W 1593 r. Zygmunt III Waza zabrał w taką podróż do Gdańska królową Annę Austriaczkę, siostrę Annę, dworzan i wojsko. Nic dziwnego, ta droga była przetarta już od stuleci.

Patrząc dziś z mostów czy to warszawskich, krakowskich, czy toruńskich na tę pustynię wodną, którą od dziesięcioleci



Wisła na tym obrazie aż roi się od różnych „obiektów pływających”. Malarz, słyszący z „fotograficznego” podejścia do pejzażu, nie domalował tych łodzi, tratw, szkut dla urody. Tak właśnie wyglądała wiślana autostrada, także w czasach króla Stasia.

KRZYŻACKA BRAMKA

Zapewne jako pierwsi komunikacyjne walory Wisły docenili kupcy wędrujący Szlakiem Bursztynowym. Po opuszczeniu Wielkopolski gdzieś w okolicach Bydgoszczy korzystali z transportu wodnego, docierając w ten sposób najkrótszą i najszybszą drogą na jantarowe wybrzeże. Wiele wskazuje na to, że z podobnej trasy skorzystał praski biskup Vojtěch Slavíkovec w swojej misji do Prusów, której tragiczny finał uczynił biskupa Świętym Wojciechem – patronem rodzającego się państwa.

Wydaje się, że pierwszym towarem, który zdominował transport, było drewno; poważniejsze towary pojawiły się na Wiśle dopiero wtedy, gdy zdały egzamin najdawniejsze „jednostki pływające” – pletnice (plenice), czyli tratwy z powiązanych bali drewnianych. Te były jednocześnie „statkiem” (czasem z kabiną w postaci szałasu i kambuzem, czyli paleniskiem) oraz towarem – sprzedawano je w całości w porcie gdańskim lub elbląskim. Podobnie było z „kokoszkami” – tratwami ze skrzyniową obudową. Nadawały się do transportu zboża. Po wyładowaniu towaru były demontowane i sprzedawane na opał, a załoga wracała drogą lądową.

Nie dowiemy się, któremu niderlandzkiemu szyprowi jako pierwszemu wpadł do głowy pomysł, żeby w Gdańsku zamiast drewna załadować zboże. Mogło to się zdarzyć już w wieku XII, bo z pierwszej połowy XIII w. mamy już dowody na wiślany transport zboża. Nie był to jeszcze transport na duże odległości, zboże najprawdopodobniej pochodziło z Kujaw. Dość szybko jednak żeglarze i kupcy zawijający do Gdańska i Elbląga z Danii, Flandrii, Szwecji, Anglii i Francji zorientowali się, że nie tylko drewno, lecz także zboże z Polski to bardzo dobry interes. Narodził się popyt, trzeba było zadbać o podaż. Niestety, właśnie wtedy gdy zaczęły się zarysowywać interesujące perspektywy, pojawiła się nad brzegami dolnej Wisły poważna przeszkoda – Zakon Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Krzyżacy.

Zaledwie w dwadzieścia lat po zaproszeniu ich przez Konrada Mazowieckiego zaczęli wojnę handlową z księstwem kujawsko-łeczyckim na tle swobody żeglugi na dolnej Wiśle i przewozu towarów. Kilkadziesiąt lat później, w 1309 r., bezprawnie zagarnęli całe Pomorze Gdańskie, odcinając odradzające się po rozbiciu dzielnicowym państwo polskie od dostępu do morza. Przez kolejne 150 lat władcy Polski próbowali odzyskać ten dostęp. Pierwsze wyczuły, że tracą szansę na krociowe interesy, pomorskie miasta: Gdańsk, Toruń, Chełmno i Elbląg, które zakładając Związek Pruski, zbuntowały się przeciw władzy Zakonu. Wsparcie polskiego władcy, Kazimierza Jagiellończyka, zapoczątkowało wojnę 13-letnią. Nikt chyba wtedy nie przewidywał, jak przełomową datą w dziejach Polski był moment podpisania kończącego tę wojnę pokoju toruńskiego w 1466 r. Odzyskanie dostępu do morza i swoboda żeglugi na Wiśle stały się źródłem potęgi Rzeczypospolitej na kolejne trzy stulecia.

ZŁOTE WIEKI

Wisła stała się tym, czym są dzisiaj wszystkie drogi krajowe, szybkiego ruchu, autostrady, linie kolejowe, a nawet połączenia lotnicze razem wzięte. Do wspomnianego stwierdzenia prof. Mielczarskiego, że Wisła stała się najważniejszą gospodarczo arterią wodną świata, należy się może mała poprawka – świata rozumianego europocentrycznie. Tak się bowiem złożyło, że ten europocentryczny, zachodni świat w kolejnych dziesięcioleciach, zwłaszcza w wieku XVI, stanął w obliczu kryzysu. Kraje zachodniej Europy zaczęły się szybko urbanizować i industrializować i nagle okazało się, że zaczyna brakować najbardziej podstawowych rzeczy – energii i żywności, czyli drewna i zboża.

Na wiślanej autostradzie pojawiły się poważniejsze jednostki pływające, przy ładowności których błędą nasze tiry. Szkuta była płaskodennym statkiem rzeczynym wyposażonym w żagiel i wiosła. Zabierała ok. 50 łasztów zboża (ok. 100 ton), czyli więcej niż dwa tiry. Takim statkiem można było już wrócić do domu, w górę rzeki. Podobne były dubasy, ale zabierały o połowę mniej ładunku. Pośrednią ładowność (35 łasztów) miały komiegi i galar, były to jednostki bezzagłowe i najczęściej spotykał się taki sam los jak tratwy – stawały się surowcem opałowym. Wkrótce nurt Wisły

jest Wisła, trudno sobie wyobrazić, że w wiekach XV, XVI i XVII była to najważniejsza gospodarczo arteria wodna świata. Tego sformułowania użył niegdyś gdański historyk, prof. Stanisław Mielczarski. I nie miał się z prawdą. Wisła dożywała ówczesny Zachód i miała swój udział w wielkich podróżach geograficznych epoki renesansu, zapewne także w odkryciu Ameryki. Nie jest też fantazją artystyczną znany obraz Canaletta z widokiem na Warszawę z praskiego brzegu.



■ zaroił się od ówczesnych „starów”, „żuków”, „nysek”, „tarpanów”, a nawet „maluchów”. Miały jeszcze bardziej oryginalne nazwy niż nasze samochody z minionej epoki: lichtany, pobitki, łyżwy, byki, kozy, jadvigi. Czy potrafimy wyobrazić sobie Wisłę, po której płynie w stronę Gdańska ok. 500 sztuk, 500 dubasów, 1000 komięg i kilkaset traw? Tak szacują znawcy dawnej gospodarki spławów towarów w ciągu jednego sezonu.

Na redzie portu gdańskiego zaczęły się ustawiać kolejki statków niderlandzkich, angielskich, francuskich, nawet hiszpańskich. Dlaczego nie wożono tych towarów drogami lądowymi? Historycy policzyli: przewóz np. zboża łądem kosztowałby dwukrotnie więcej. Wisła, poza tym, że jako wielka rzeka sama w sobie stanowiła dogodną drogę spławu, miała jeszcze ten atut, że swym dorzeczem obejmowała większą część terytorium państwa polskiego. Jest to wręcz nie do uwierzenia, ale mieliśmy wtedy kilkadziesiąt portów śródlądowych. Portami były nie tylko miasta nadwiślańskie – Toruń (ten był wówczas portem morskim!), Bydgoszcz, Grudziądz, Solec Kujawski, Włocławek, Płock, Warszawa, Wyszogród, Zakroczym, Nieszawa, a na południu Kazimierz Dolny, Sandomierz i Kraków, lecz także takie, jak Drohiczyń, Brańsk, Maków, Goniądz, Tykocin, Pułtusk, Ostrołęka, Łomża czy Nowy Sącz. Do wszystkich tych miejsc dostarczano w sezonie wozami zboże, drewno i inne towary, nawet z najdalszych regionów Rzeczypospolitej.

Różnorodność środków transportu była równie wielka jak różnorodność przewożonych towarów. Na masową skalę, oprócz zboża, spławiano smołę, wosk, miód i popiół drzewny zwany potażem. Lista produktów spożywczych była długa: chmiel, mak, len, konopie, kminek, mięso, tłuszcze, jajka, piwo. Ciekawe, że pojawiały się takie towary, jak miedź (dostarczana aż z Węgier), żelazo czy ołów, ale także takie, które na owe czasy należałoby zaliczyć do wytworów wysoko przetworzonych: garnki, drut, lemiesz, noże, mydło, witriol, płótno, sukno. Statki, te większe, żaglowe, które odbywały drogę powrotną, w górę rzeki, oczywiście nie wracały puste. Przewożono przede wszystkim ryby, wśród których królował śledź, na którego zawsze był popyt, bo po sty w tych czasach trwały niemal dwieście dni w roku. W górę rzeki wędrowały też

towary kolonialne, metale, wełna, tkaniny. Dziwna sprawa była z solą – ta wędrowała w obie strony.

Na Zachodzie pisano o Polsce, że jest „spichlerzem Europy i magazynem materiałów do budowy statków”. Drewna do budowy statków poszukiwali wtedy Hiszpanie i Portugalczycy. Nie można wykluczyć, że polska dębina lub sośnina posłużyły do budowy Kolumbowych statków. Może Santa Marii, może Pinty lub Ninii. Rolę drewna w owych czasach porównuje się dziś do znaczenia ropy naftowej. Nic dziwnego, że już w drugiej połowie XVI w. udało się nam, niestety, wylesić znaczne połacie kraju. Kochanowski pisał:

„Gdzie poźrzę, wszędy rąbią: albo buk do huty,

Albo sośnię na smołę, albo dąb na szkuty”.

Po ogołoceniu Mazowsza spławiano drewno pochodzące z Żywiecczyny, z Wołynia, z Podlasia. Były to kolosalne ilości. W podobnym tempie rósł wywóz zboża. Druga połowa wieku XVI i pierwsza XVII były rekordowe. Dopiero w dobie rozbiorowej, gdy Wisła została pocięta granicami, stała się rzeką niemal martwą.

TO SE NE VRATI

To chyba pamięć o złotych wiekach Wisły sprawia, że temat transportu rzecznego wciąż wraca w dysputach o polskim transporcie śródlądowym. Chciałoby się jednak powiedzieć „to se ne vrati”. Polska międzywojenna podjęła

wych, często w nieprawidłowy sposób, spowodowała tzw. erozję gleb – kolosalny spływ materiału glebowego do Wisły. Nurt rzeki przestał być przewidywalny. Powstaje wiele wciąż zmieniających się wysp – piaszczystych, płaskich łąk lub wyższych, porośniętych krzewami i drzewami. To dziś królestwo ptaków – uważa się, że unikalne na skalę europejską.

W czasach PRL również próbowano reanimować hasło transportu rzeczowego. Głośna była w latach 70. historia z transportem fiatów do Gdańska, który zakończył się zatopieniem całego ładunku. Obecnie z wielkim entuzjazmem Polska przystępuje do porozumienia AGN (Europejskie porozumienie w sprawie głównych śródlądowych dróg wodnych o międzynarodowym znaczeniu). Prezydent Andrzej Duda ratyfikował niedawno to porozumienie, a wcześniej rząd przyjął „Założenia do planów rozwoju śródlądowych dróg wodnych w Polsce na lata 2016–2020 z perspektywą do roku 2030”. Czy rzeczywiście dokonano całościowej analizy nakładów do zysków? I zysków do strat? Jak zamierzamy poradzić sobie z kapryśnym charakterem naszych rzek, zwłaszcza Wisły? Jaki los czeka obszary chronione dziś w ramach unijnego systemu Natura 2000? Na odcinku między Dęblinem a Płockiem mamy osiem obszarów Natura 2000 i dziewięć rezerwatów. Czy uwzględniono skalę niezbędnych inwestycji, i to w sfery od lat u nas nierozwijane, jak tabor rzeczny czy infrastruktura portowa?

Jest to wręcz nie do uwierzenia, ale mieliśmy wtedy kilkadziesiąt portów śródlądowych. Do wszystkich dostarczano w sezonie wozami zboże, drewno i inne towary, nawet z najdalszych regionów RP

ten temat, bo wydawało się oczywiste, że to zaniedbania zaborców przyczyniły się do upadku żeglugi na Wiśle. Chociaż były też przyczyny naturalne. Profesor Aleksander Gieysztor w swoim opracowaniu na temat roli Wisły w średniowieczu wskazywał na ewolucję środowiska Wisły w związku ze zmianami klimatycznymi. W XVIII w. objawił się z kolei proces dziczenia Wisły, który trwa do dzisiaj. Jedną z przyczyn było... odkrycie Ameryki, któremu świat zawdzięcza upowszechnienie uprawy ziemniaków. Uprawa na wielką skalę na terenach nadwiślańskich roślin okopo-

wa? Spodziewany jest znaczący udział funduszy europejskich. Już można sobie wyobrazić zacierających rączki inwestorów z Niemiec czy Holandii, gotowych „zagospodarować” nam te fundusze.

Warto zastanowić się, czy Wisła nie wypełniła już wszystkich swoich powinności i nie zasługuje na „odpoczynek”. A może przyjdzie kiedyś taki czas, że zabraknie miejsca na kolejne autostrady, drogi szybkiego ruchu i linie kolejowe, a w powietrzu na nowe korytarze lotnicze, i wtedy przypomnimy sobie o tej najstarszej, niezawodnej autostradzie.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Zła zmiana. Dla łapówkarzy

W 2017 r. ujawniono w Polsce ponad dwa razy, i to sporo ponad dwa razy, więcej przestępstw korupcyjnych niż w 2016 r. Czym wytłumaczyć ten skokowy wzrost? Jeśli nie jakąś nagłą eksplozją nieuczciwości wśród Polaków, a nie ma ku temu żadnych – ani słabych, ani tym bardziej mocnych – przesłanek, to chyba tylko narastającą determinacją ludzi tropiących takie przestępstwa.

Takich ludzi są z pewnością grube tysiące. Ich symbolami w ostatnich latach stali się Mariusz Błaszczak – jako do niedawna szef MSWiA, Mariusz Kamiński – koordynator służb specjalnych, i Zbigniew Ziobro – minister sprawiedliwości i zarazem prokurator generalny. Takich ludzi na pewno są grube tysiące, lecz w czasach sprzed rządów PiS – sprzed rządów Ziobry, Kamińskiego i Błaszczaka w podległych im urzędach – z jakichś powodów efekty ich pracy nie były aż tak imponujące jak w tej chwili. Z jakichś powodów wcześniej jakby z mniejszą stanowczością podążano śladem sygnałów o korupcji, jakby mniej zdecydowanie dążono sprawy już prowadzone. Chociaż trzeba też jasno i mocno zastrzec, że z ostatecznym ogłaszaniem sukcesu w walce z panoszącą się w Polsce korupcją trzeba poczekać – w końcu nie każdy podejrzan, w tym nie każdy podejrzan o korupcję, staje się później oskarżonym, a tym bardziej nie każdy oskarżony – skazanym.

Wszelako już dane dotyczące liczby wszczynanych śledztw, a co za tym idzie – odkrytych przestępstw korupcji, robią piorunujące wrażenie. Jak informuje „Rzeczpospolita”, w 2016 r. (do końca listopada) przestępstw takich ujawniono 14,5 tys., a w 2017 r. (też do końca listopada) – ponad 32 tys. Spośród nich aż 19 tys. wykryto dzięki materiałom operacyjnym policji (w 2016 r. – zaledwie 7 tys.), a zwalczające korupcję wśród białych kołnierzyków Centralne Biuro Śledcze Policji ujawniło w 2017 r. trzy razy więcej takich przestępstw niż rok wcześniej. Z letargu wybudzone zostało też Centralne Biuro Antykorupcyjne i dziś nie ma właściwie tygodnia, by nie przypominało o swoim istnieniu, dobierając się do skóry nieuczciwym ludziom.

W tym kontekście owa – z niekłamaną lubością przywoływana przez „Wiadomości” TVP – zapowiedź Grzegorza Schetyny, lidera Platformy Obywatelskiej, że po przejęciu władzy jego rząd zlikwiduje CBA, brzmi wyjątkowo niefortunnie. Brzmi jak obietnica powrotu do czasów niedawnej bezkarności dla – porównując wyniki walki z korupcją „za PiS” i walki z korupcją „za Platformy” – ponad połowy skorumpowanych. Brzmi jak obietnica dobrej zmiany (po obecnej, złej) – dla łapówkarzy. I jak obietnica złej, wprost fatalnej zmiany (po obecnej, dobrej) – dla ich ofiar. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Jak uniknąć losu niewolnika

Nassim Taleb w swojej najnowszej książce „Skin in the game” pisze, że w starożytnej Grecji i Rzymie w bogatych rodzinach funkcję „głównego księgowego” rodziny pełnił niewolnik. Dlaczego? Miał bardzo wiele do stracenia, gdyby popełnił oszustwo, bo rodzina mogła po prostu zabić niewolnika. A człowiek wolny nie mógłby ponieść takiej kary. Już wtedy rozumiano, że pracownik w firmie jest tym bardziej pracowity i lojalny, im więcej ma do stracenia. I nie chodzi tylko o życie lub majątek, lecz także o zdolność do pracy w innej firmie. W XX w. zwalniani wieloletni pracownicy IBM nie mogli łatwo znaleźć pracy w innych firmach, bo byli zbyt przesiąknięci ówczesną kulturą korporacyjną IBM, nawet śmiali się z innych dowcipów.

W krajach rozwiniętych w XXI w. nie ma formalnego niewolnictwa, ale mechanizm opisany powyżej pozostał. Korporacje starają się, aby pracownik był lojalny i pracowity, a żeby tak było, musi mieć dużo do stracenia. Dlatego wymyślono mieszkania i domy na kredyt we frankach szwajcarskich, bo zadłużony po uszy pracownik będzie pracował jak niewolnik, bo gdy straci pracę, nie spłaci kredytu i straci też mieszkanie.

W odróżnieniu od przedsiębiorców, którzy mają szerokie kompetencje przez cały czas weryfikowane przez rynek, pracownicy stają się coraz bardziej wyspecjalizowani,

wykonują zadania w korporacji od – do, bardzo specyficzne dla danej korporacji, dokładnie opisane procedurami, co zwalnia z myślenia i powoduje, że takie kompetencje są potem mało warte na rynku. Bo w firmie często łatwiej jest nauczyć pracownika od zera, niż spowodować, żeby pozbył się nawyków z innej firmy, które mogą przeszkadzać w pracy.

Jak uniknąć losu niewolnika XXI w.? Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie kupować na wczesnym etapie kariery zawodowej własnego mieszkania lub domu na kredyt. Wynajmować. Po drugie, uczelnie wyższe powinny przede wszystkim kształcić szerokie kompetencje, które są potrzebne w dowolnej firmie, niezależnie od sektora czy formy własności, takie jak umiejętność krytycznego myślenia, przedsiębiorczość czy biegła znajomość języka angielskiego. Po trzecie, pracując w danej firmie, trzeba się starać o w miarę częste zmiany zakresu zadań, uczestniczyć w szkoleniach, brać udział w kursach on-line, które często są za darmo. Warto też zainwestować w pozyskanie kompetencji, które będą cenione na rynku w kolejnych dekadach. Obecnie przykładem takich kompetencji jest umiejętność analizy różnego rodzaju danych i wykorzystania oprogramowania do takiej analizy.

Polacy powinni być społeczeństwem ludzi wolnych. ©©

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

TEST „DO RZECZY”: ZESTAW BEZPRZEWODOWY LOGITECH MK540 ADVANCED

To zestaw dla osób, które przed komputerem przesiadują całymi dniami. Mysz dobrze leży w dłoni. Ogromną zaletą klawiatury jest zaś to, że jest ona odporna na zapracowanych miłośników kawy i wszelkich innych napojów, które – nie wiedzieć dlaczego – jeśli mają się rozlać, to rozlewają się w pobliżu komputera. Odporność na zalanie – producent ostrzega jednak, że bezpiecznie można rozlać maksymalnie 60 ml cieczy – to pierwszy plus tego zestawu.

Druga zaleta: banalnie prosta konfiguracja nowego sprzętu. Wystarczy podłączyć do komputera jeden mały odbiornik USB, aby móc korzystać z zaszyfrowanego połączenia bezprzewodowego.

Pełnowymiarowa klawiatura jest jednak wygodna. Duże klawisze pracują płynnie i stosunkowo cicho. Podpórkę na nadgarstki docenią zaś ci, którzy muszą godzinami pisać, korygować, redagować lub wprowadzać kolejne tony danych.

Aby ułatwić wykonywanie zadań pracownikom biurowym, szwajcarscy projektanci pomyśleli też o kilku przydatnych skrótach. Na przykład nad klawiaturą numeryczną znalazło się miejsce dla klawisza wywołującego kalkulator. Z kolei przy górnej krawędzi rozlokowano klawisze multimedialne.



Również klawisze funkcyjne można łatwo dostosować do własnych potrzeb, co znacznie przyspiesza wykonywanie codziennych zadań.

Z kolei na plecach klawiatury umieszczono podpórki, które umożliwiają podniesienie jej o cztery stopnie lub osiem. Przydatne są również gumowe stopki, zapobiegające ślizganiu się klawiatury.

Teoretycznie w przypadku gier ta klawiatura również może się sprawdzić, ale najbardziej zapaleni gracze powinni jednak postawić na sprzęt produkowany specjalnie dla nich – z mechanicznymi przełącznikami, które mają dużo lepszy czas reakcji.

Smukła mysz, której boki pokryto przyjemną w dotyku gumą, sprawdzi się w przypadku zarówno użytkowników lewo-, jak i praworęcznych. Ja sam do długiej pracy przed monitorem wolę nieco grubsze gryzonie, na których można oprzeć

całą dużą dłoń, ale i z tym urządzeniem pracuje się dość wygodnie. Dla graczy mysz ta kompletnie się nie nadaje – nie ma tu bowiem żadnych dodatkowych przycisków poza dwoma głównymi oraz kółkiem do przewijania. Pasjansa da się nią ułożyć, ale do bardziej zaawansowanych gier lepiej kupić inny model.

Dużym plusem jest z kolei deklarowany przez producenta czas pracy na baterii, które w klawiaturze trzeba wymienić raz na trzy lata, a w myszy – co półtora roku.

Co z designem? Powiedzmy szczerze: prosty wygląd klawiatury i myszy nikogo nie rzuci na kolana. Jakość zastosowanego plastiku jest jednak dobra, a oba elementy zestawu funkcjonalne. Przyzwoita cena – 249 zł – sprawia zaś, że przy zakupach sprzętu warto wziąć ten zestaw pod uwagę.

Jacek Przybylski

JAJA Z JAJKA

Co było pierwsze: jajko czy kura? Filozoficzne rozważania są okazją dla różnej maści cwaniaczków, wykorzystujących je do wyciągnięcia kasy od tzw. młodych wykształconych z wielkich miast kochających rozważania w rodzaju: „Czy mój yang jest równie sexy jak yin?”

albo: „Czym jest brak biletu komunikacji miejskiej wobec nicości wszechświata?”. I na taką grupę docelową nastawili się producenci The Thinking Egg reklamowanego jako „myślące jajko” i przekonujący potencjalnych nabywców: „Czas zwolnić. Zastanów się nad swoim życiem”.

Owe „myślące jajko” to w praktyce nic innego jak jajowata kulka, której kształt powoduje, że „kulnięta” z ręki właściciela na płaską powierzchnię wykonuje ruch na niewielkiej powierzchni po torze przypominającym z grubsza koło i wraca w okolice turlającego. Prawdziwa głębia czasu, kosmosu i nowoczesnych technologii. Korpomistyka. Magia „myślącego jajka” polega też na tym, że można je ponosić w dłoniach, medytując, jak twierdzi producent, o „większej świadomości w życiu codziennym”. Nie jest bowiem zbyt duże – ma średnicę 17 mm i wysokość 23 mm. Korpolutki i rozmaite rozfilozofowane lewaczki kochają się w doszukiwaniu połączeń używanych przez nich przedmiotów z charakterologią, numerologią i rozmaitym hokus-pokus, więc i tu producent uderza w ich potrzeby, argumentując, że jajka wyprodukowano z materiałów „rewitalizujących” – mosiądz, albo też „wspierających koncentrację” – drewno sosnowe lub „uspokajających” – z rzadkiego minerału zwanego howlitem. Niezła ściema.



Preferuję jajka dobrze podsmażone z boczkiem ewentualnie kielbaską i cebulką, ale – jak widać – na Kickstarterze The Thinking Egg też ma fanów. Można je tam kupić za ok. 50 zł za sztukę. Nie spieszc się – dostawa dopiero w październiku.

STÓŁ PRAWIE DO SPANIA

Prawie czyni różnicę, jak głosiła pewna reklama. Producent The Sobro Smart Side Table, czyli całkiem ładnego wizualnie „inteligentnego biurka”, też przekonuje, że jego mebel umieszczony w pobliżu łóżka przyniesie znaczącą różnicę w jakości snu i komforcie śpiącego. A wszystko dzięki bezprzewodowej poduszce ładującej, szufladzie z chłodzeniem termoelektrycznym, głośnikom Bluetooth, oświetleniu LED i inteligentnym funkcjom uśpienia. Plusy? Niezaprzeczalne. Cicha szuflada z termoelektryczną chłodnicą pozwoli na przechowanie całą noc w pobliżu łóżka chłodnego napoju, diody umieszczone w tylnej części stołu pozwalają na stworzenie różnych symulacji oświetlenia, m.in. efektu zachodzącego słońca, a głośniki emitują dźwięki ponoć ułatwiające zasypianie. Przy czym konstruktorzy Sobro zastrzegają, że nie dają gwarancji wytłumienia chrapania partnera. Do tego delikatne światło z przodu biurka, które ma sprawić, że zasnęły trafi tam, gdzie musi, no i oczywiście bezprzewodowe ładowanie baterii dla dwóch telefonów zainstalowane w blacie biurka. Fajne. Mniej fajna jest cena – ok. 1,5 tys. zł na portalu Indiegogo. Dostawa w październiku. ©© **Wojciech Wybranowski**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI





Od elektromobilności nie ma już odwrotu



Jacek Przybylski

Rząd chce wydać ok. 30 mld zł, by w Polsce najpierw zaroilo się od e-autobusów i e-dostawczaków, a potem od osobowych elektryków. Do 2020 r. ma powstać ponad 6 tys. punktów ładowania

Czy milion samochodów elektrycznych do 2025 r. to nadal realistyczny cel? – Możemy dyskutować, czy będzie to 800 tys., 1,2 mln czy inna liczba. Dla mnie najważniejszy jest fakt, że mamy cel. Natomiast wskazanie kierunku rozwoju przemysłowi motoryzacyjnemu, sieciom energetycznym czy samorządom ułatwi jego realizację. Może też sprawić, że tym razem to nie Polska będzie powielać amerykańskie czy francuskie schematy wdrażania elektromobilności, ale wyznaczać trendy dalszego rozwoju tej gałęzi przemysłu. Chcielibyśmy, aby inne kraje podążały za naszym wzorem – zaznaczył podczas debaty w redakcji „Do Rzeczy” Michał Kurtyka, podsekretarz stanu w Ministerstwie Energii. – Opinie ekspertów wskazują, że między 2020 a 2021 r. pojazd elektryczny stanie się bardziej atrakcyjny finansowo dla konsumenta. Jestem przekonany, że wówczas samochodów tego typu będzie przybywać skokowo – prognozował minister, podkreślając, że zmniejszenie liczby aut spalinowych pomoże też rządowi w walce ze smogiem w centrach miast.

– W krajach, które obecnie są liderami w sektorze elektromobilności, takich jak np. Norwegia, silna rola państwa była kluczowa. I choć możemy się spierać, czy wyznaczony przez polski rząd poziom miliona aut jest zbyt ambitny czy też nie, to postawienie takiego celu jest konieczne dla

rozwoju branży – zauważył Jacek Ławrecki dyrektor ds. komunikacji Fortum Power and Heat Polska sp. z o.o. – Połączenie swego rodzaju interwencjonizmu państwowego, wykorzystanie dużego doświadczenia i zaangażowania firm energetycznych oraz stworzenie koalicji innych podmiotów zainteresowanych elektromobilnością to rozwiązanie, które pozwoli Polsce nie tylko doszłusować do tych, którzy są obecnie liderami w tej branży, lecz także pomoże wysunąć się na czoło tego wyścigu – dodał dyrektor Ławrecki.

Zgodził się z nim Andrzej Szady, główny specjalista ds. infrastruktury e-mobility w firmie Enspiron z Grupy Energa. – Ambitne cele rządu są potrzebne, aby biznes wiedział, że będzie miał rynek zbytu na swoje produkty i usługi. Na Zachodzie zaczęto od budowy infrastruktury ładowania w miastach, bo to właśnie do poruszania się po nich służą dziś głównie samochody elektryczne – stwierdził. Jego zdaniem bardzo ważna jest też edukacja społeczeństwa. – Samochód elektryczny nie jest jeszcze dla kogoś, kto chciałby pokonywać nim kilkaset kilometrów dziennie. Jeżeli jednak ktoś tylko sporadycznie wyjeżdża poza miasto, to już może myśleć o hybrydach typu plug-in lub autach elektrycznych, które na jednym naładowaniu mogą przejechać ponad 100 km, więc idealnie nadają się do trybu miejskiego – dodał.

OD BUSPASÓW DO ULG

Wiceminister Michał Kurtyka przekonywał również, że ustawa o elektromobilności, która weszła w życie 22 lutego obecnego roku, przewiduje cały wachlarz korzyści dla kierowców samochodów elektrycznych, m.in. możliwość poruszania się po buspasach, jak również bezpłatnego parkowania w centrach miast. Władze miast mają też prawo rozszerzyć te przywileje, wprowadzając np. strefy czystego transportu, do których wjeżdżać mogą bezpłatnie tylko samochody elektryczne, wodorowe lub gazowe. – Problem z rozwojem elektromobilności polega na tym, że

z jednej strony samochodów elektrycznych nie będzie przybywać, jeśli nie będzie sieci ładowarek, a z drugiej jeśli nie będzie aut, to zabraknie chętnych do inwestowania w sieć. Udział państwa w tym procesie jest więc bardzo istotny – zauważył Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego.

Zgodnie z rządowym planem rozwoju elektromobilności w latach 2019–2020 w Polsce ma powstać 6 tys. punktów ładowania o normalnej mocy oraz 400 punktów szybkiego ładowania.

– Kierowcy nie będą się więc już musieli obawiać, że staną w polu, bo na trasie brakuje stacji ładowania umożliwiającej naładowanie akumulatorów – zaznaczył wiceminister Kurtyka.

– Obserwacje rynków zachodnich pokazują, że większość ładowań odbywa się w domu lub w miejscu pracy. Szybkie ładowarki instalowane są przy trasach przelotowych. Wraz z rozwojem rynku będzie też spadała cena stacji ładowania. Te planowane w Krajowych Ramach 6 tys. stacji w Polsce to więc tylko początek. Celem będzie zapewne kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy stacji ładowania, aby zapewnić zapotrzebowanie przy stale rosnącej liczbie pojazdów – przekonywał Andrzej Szady.

– Na podstawie naszych doświadczeń, chociażby w Norwegii, w której jesteśmy liderem systemów ładowania, ważne są maksymalna prostota i przyjazność systemu. Kierowca auta elektrycznego podejżdża, płaci za czas ładowania, a rachunek dostaje wraz z rachunkiem za energię elektryczną. Ta prostota jest ważna, bo wiele barier dotyczących rozwoju samochodów elektrycznych tkwi tylko w naszych głowach – zauważył dyrektor Jacek Ławrecki z Fortum Power and Heat Polska sp. z o.o. – W początkowym etapie rozwoju tradycyjnej motoryzacji szacowano, że światowy popyt na auta nie przekroczy miliona, bo będzie brakowało wykwalifikowanych szoferów. Niektórym do głowy nie mogło przyjść bowiem, że właściciel samochodu



O przyszłości elektromobilności w Polsce w redakcji „Do Rzeczy” dyskutowali (od prawej): prof. Mirosław Siergiejczyk oraz prof. Włodzimierz Choromański z Politechniki Warszawskiej, prezes Instytutu Jagiellońskiego Marcin Roszkowski, wiceminister energii Michał Kurtyka, dyrektor ds. komunikacji Fortum Power and Heat Polska sp. z o.o. Jacek Ławrecki oraz główny specjalista ds. infrastruktury e-mobility w firmie Enspiron z Grupy Energa Andrzej Szady, a także Piotr Gabryel i Jacek Przybylski z tygodnika „Do Rzeczy” FOT. PROFESJONALNA.TV

mógłby nim jechać sam. Podobne zmiany w mentalności mogą nastąpić w wyniku rozpowszechniania się samochodów elektrycznych. Być może w miastach będziemy korzystać z samochodów współdzielonych, a większe odległości pokonywać pociągami – dodał dyrektor Ławrecki.

Zdaniem prezesa Marcina Roszkowskiego obecnie istotną barierą rozwoju elektromobilności jest cena samochodów elektrycznych. – Po przekroczeniu pewnej skali te pojazdy będą jednak stawały się coraz tańsze – prognozował. Zgodził się z nim Andrzej Szady. – Nowe auta mają coraz pojemniejsze baterie i coraz większy zasięg, a jednocześnie coraz atrakcyjniejszą cenę. Gdy samochody elektryczne będą kosztować 110–115 proc. ich odpowiednika spalinowego, będą stawać się coraz bardziej popularne – przekonywał, dodając, że w rozwoju polskiej elektromobilności dużą rolę może odegrać car-sharing, który daje ludziom możliwość poznania samochodów elektrycznych i który może zmienić podejście kierowców do użytkowania oraz posiadania aut.

Zanim to się stanie, do kupna „elektryków” mają też zachęcać przywileje fiskalne. – Znieśliśmy akcyzę na samochody elektryczne. Podwyższyliśmy również z 20 do 30 tys. euro odpisy amortyzacyjne dla przedsiębiorców, co jest szczególnie istotne, bo obecnie trzy czwarte nowych pojazdów w Polsce to auta dla firm. Dzięki temu już dzisiaj przedsiębiorcy, porównując opłacalność zakupu nowego samochodu z tradycyjnym napędem i tego z silnikiem elektrycznym, dostrzegają więcej korzyści w posiadaniu w swojej flocie e-auta. Pojazdy elektryczne zaczynają być w pełni konkurencyjne – tłumaczył wiceminister

energii Michał Kurtyka. – Teraz musimy już tylko dołożyć element powszechnie dostępnej infrastruktury ładowania i jestem przekonany, że w segmencie firmowych pojazdów sporo się zmieni – dodał. Aby we flotach samochodów służbowych zaczął szybko rosnąć odsetek elektryków, konieczna jest też zmiana podejścia firm leasingowych, dla których dziś podstawową barierą jest brak rynku wtórnego tego typu samochodów, a więc brak informacji, po jakiej cenie będzie można odsprzedać auto elektryczne po kilku latach jego użytkowania.

MILIARDY DO WYDANIA

– To największy program przemysłowy, jaki zbudowaliśmy. Angażujemy spore kwoty, aby ten rynek uwiarygodnić i aby był on źródłem innowacji oraz nowych pomysłów na miasto przyszłości – zauważył wiceminister energii. Na działania popularyzujące elektryki na polskich drogach rząd w ustawie o elektromobilności przewidział ok. 19 mld zł. Oprócz tego przyjęta przez rząd w zeszłym tygodniu ustawa o Funduszu Niskoemisyjnego Transportu powinna przynieść dodatkowo ponad 6 mld zł, m.in. na rozwój infrastruktury do ładowania pojazdów elektrycznych. A do tej kwoty można jeszcze dodać wkład Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, szacowany na ok. 4 mld zł, a także wart ok. 3 mld zł program rozwoju transportu bezemisyjnego Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Rząd szacuje, że zanim prywatne elektryki staną się popularne, w miastach najszybciej przybywać będzie elektrycznych autobusów. – One już per saldo są tańsze niż te z tradycyjnym napędem. A co

kluczowe, e-busy są również ekologiczne i ciche – wyjaśnił wiceminister Kurtyka.

– Drugim segmentem rozwoju elektromobilności będą lekkie elektryczne samochody dostawcze. Popyt w Polsce na tego typu pojazdy to ok. 60 tys. sztuk rocznie. Dopiero potem będziemy wchodzić stopniowo w pojazdy indywidualne – prognozował wiceminister, zauważając, że np. niemiecki Deutsche Post samodzielnie na swoje potrzeby tworzy auto dostawcze.

– Od elektromobilności nie ma już odwrotu, bo świat zmierza w tym kierunku. Trzeba jednak pamiętać, że samochód przyszłości zamieni się w pojazd zarządzany poprzez aplikacje informatyczne. Potrzeba więc zespołu fachowców, którzy będą potrafili takie auto serwisować, a więc zachodzi potrzeba kształcenia inżynierów w tym obszarze – zwrócił uwagę prof. Mirosław Siergiejczyk, kierownik Zakładu Telekomunikacji w Transporcie i prodziekan ds. rozwoju i współpracy z gospodarką Wydziału Transportu Politechniki Warszawskiej. Andrzej Szady z firmy Enspiron zauważył także, że musi się też zmienić m.in. sposób dokonywania przeglądów okresowych samochodów czy szkolenia strażaków, którzy przyjeżdżają do wypadków.

Profesor Włodzimierz Choromański, kierownik Zakładu Systemów Informatycznych i Mechatronicznych w Transporcie z Wydziału Transportu PW, przekonywał zaś, że skoro ok. 60–70 proc. wartości samochodu przyszłości będą stanowiły elementy związane z IT, to jest to wielka szansa dla Polaków. Profesor Choromański przekonywał też, że warto jednocześnie prowadzić prace nad samochodem elektrycznym i autonomicznym.

Jan Pieniążek

Dlaczego bank centralny dba o niską, ale jednak dodatnią, inflację?





Gdy inflacja wymyka się spod kontroli i ceny zaczynają rosnać w galopującym tempie, pieniądze w portfelach bardzo szybko tracą swoją wartość, społeczeństwo szybko ubożeje i – po początkowym szturmie na sklepy w obawie przed dalszym wzrostem cen – popyt w gospodarce może się radykalnie obniżyć. Dodatkowo ludzie tracą zaufanie do krajowej waluty, które trudno będzie odrobić przez wiele lat. Kiedy jednak ceny spadają przez zbyt długi czas, konsekwencje dla gospodarki mogą być równie groźne.

GDY CENY ROSNĄ ZA SZYBKO...

Świecące pustkami sklepowe półki. Zamknięta większość szkół i szpitali. Bezrobocie sięgające 80 proc. Tak w 2008 r. wyglądało życie w Zimbabwie, gdy inflacja sięgnęła rekordowego poziomu 231 mln proc. Do szalonego wzrostu cen doszło po tym, jak władze kraju skonfiskowały gospodarstwa rolne należące do białych farmerów i odmówiły spłaty długu zaciągniętego w Międzynarodowym Funduszu Walutowym, co doprowadziło do całkowitego załamania systemu finansowego kraju i utraty zaufania do lokalnej waluty.

Na nic zdały się podejmowane przez rząd próby opanowania inflacji, np. nakazywanie producentom i dystrybutorom obniżania cen produktów o połowę. Ceny podstawowych towarów oraz usług i tak podwajały się co 24 godziny.

Tak szybki wzrost cen sprawił z kolei, że – aby kupić bułki, mleko czy olej jadalny – mieszkańcy tego afrykańskiego kraju musieli brać ze sobą duże plastikowe torby wypełnione banknotami. Władze wypuściły więc na rynek banknot o nominale 100 bilionów zimbabweńskich dolarów. Opozycja kiła zaś, że rządzący wówczas krajem Robert Mugabe zrobił z ludzi „biednych trylionerów”. Bycie milionerem czy nawet trylionerem w czasach galopującej inflacji ma bowiem niewiele wspólnego z prawdziwym bogactwem. Przeciwnie – w Zimbabwie większość mieszkańców żyła poniżej progu ubóstwa. Za trylion zimbabweńskich dolarów nie można zaś było kupić nawet tygodniowego biletu na autobus. Miesięczna pensja pracowników strefy budżetowej nie wystarczała nawet na dzienny bilet autobusowy.

W szczytowym momencie, w 2008 r., hiperinflacja sięgnęła – według szacunków Międzynarodowego Funduszu Walutowego – aż 500 mld proc. Ulice

były zaśmiecone banknotami, których po prostu nie opłacało się zbierać.

W 2015 r. Zimbabwe porzuciło swoją walutę i zmusiło mieszkańców do obowiązkowej wymiany oszczędności na dolary amerykańskie po bardzo nieatrakcyjnym kursie. W przypadku pieniędzy zgromadzonych na kontach za jednego dolara amerykańskiego władze żądały aż 35 miliardów dolarów zimbabweńskich, a przy wymianie gotówki kurs wymiany wynosił 250 miliardów zimbabweńskich za jednego USD.

Obecnie z monstrualną inflacją – wywołaną przez kryzys gospodarczy będący wynikiem nieudolnej polityki gospodarczej socjalistycznego prezydenta Wenezueli Hugona Cháveza i jego następcę Nicolasa Maduro, a następnie pogłębiony w wyniku nagłego spadku cen ropy – zmagają się

500 mld proc.

**TAKI POZIOM W SZCZYTOWYM MOMENCIE
OSIĄGNĘŁA HIPERINFLACJA W ZIMBABWE**

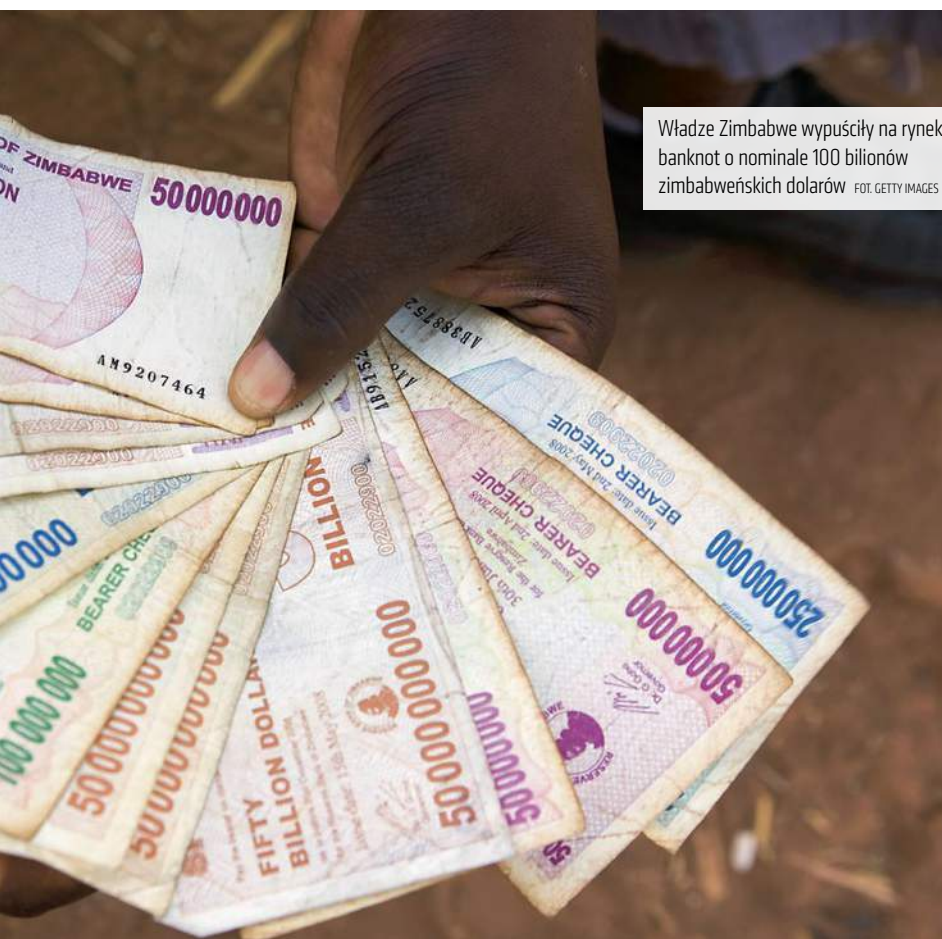
mieszkańcy Wenezueli. W 2017 r. ceny w tym kraju wzrosły o ok. 2,6 tys. proc. Według prognoz Międzynarodowego Funduszu Walutowego w tym roku ceny towarów mają szybować w górę pięciokrotnie szybciej (ok. 13 tys. proc.). Brakuje żywności, gazu oraz leków, a nawet jeśli ktoś wypatrzy już jakąś nową dostawę, to ma problem z zapłatą, bo chociaż pensja minimalna w styczniu 2018 r. została podwyższona o 40 proc., to średnie miesięczne zarobki w przeliczeniu z bolivarów na czarnorynkowy kurs dolara wynoszą niewiele ponad 2 dol. miesięcznie. Przez hiperinflację zdecydowana większość Wenezuelczyków żyje poniżej progu ubóstwa. Nie stać ich na podstawowe produkty czy usługi. Jak informują amerykańskie media, doszło już do tego, że najbardziej potrzebni mieszkańcy muszą eliminować z jadłospisu kolejne posiłki – część Wenezuelczyków w ciągu dnia zjada tylko skromny obiad, którzy z reguły składa się z ryżu, makaronu oraz fasoli. Dodatkowo państwowy system opieki zdrowotnej jest na krawędzi upadku, coraz gorzej funkcjonują też komunikacja publiczna, gospodarka komunalna i inne usługi finansowane z budżetu państwa.



Hiperinflacja występowała często w okresie powojennym, kiedy władze decydowały się pokryć emisją pieniądza dług powstały w trakcie wojny. Stosunkowo niedawnym przykładem takiej hiperinflacji jest przypadek Jugosławii ze stycznia 1994 r. Miesięcznie ceny rosły tam aż o 313 mln proc., a ceny podwajały się co półtora dnia.

Po I wojnie światowej okres koszmarnego hiperinflacji i mającej straszliwe skutki polityczne przeżyli Niemcy. W październiku 1923 r. miesięczny wskaźnik inflacji w Republice Weimarskiej wyniósł 29,5 tys. proc., a ceny podwajały się średnio co niecałe cztery dni (dzienny wskaźnik wzrostu cen w szczytowym momencie wynosił średnio 21 proc.). Pieniądże tak szybko traciły wartość, że robotnikom pensję wypłacano dwa razy dziennie. W piecach palono zaś plikami marek o niskich nominatach, bo i tak było to bardziej opłacalne niż kupowanie za nie węgla.

Największa hiperinflacja w historii dotknęła Węgry między 1945 r. a latem roku 1946. Władze dodrukowywały pieniądze w takim tempie, że w szczytowym momencie inflacja wynosiła aż 13 kwa-



Władze Zimbabwe wypuściły na rynek banknot o nominale 100 billionów zimbabweńskich dolarów FOT. GETTY IMAGES

drylionów, a ceny podwajały się średnio co ponad 15 godzin. Skalę tego zjawiska dobrze obrazuje najwyższy dostępny nominal będący w obiegu – w 1944 r. było to 1 tys. pengő, pod koniec 1945 r. – 10 mln pengő, a w połowie kolejnego roku aż 100 trylionów (100 000 000 000 000 000 000) pengő. Dopiero wprowadzenie nowej waluty – forinta – pozwoliło Węgrom zapanować nad wzrostem cen.

Według danych amerykańskiego think tanku Cato Institute z hiperinflacją pod koniec II wojny światowej i tuż po niej zmagali się też Grecy oraz Chińczycy. W Grecji w listopadzie 1944 r. miesięczny wskaźnik inflacji wynosił 11,3 tys. proc., a ceny podwajały się co cztery i pół dnia. Z kolei w Chinach szczytowy wskaźnik inflacji w maju 1949 r. wynosił 4,2 tys. proc. – ceny towarów i usług podwajały się wówczas co niecałe sześć dni.

Okresy szalonego wzrostu cen zdarzały się też w Polsce. Pierwszy raz hiperinflację w naszym kraju odnotowano po odzyskaniu niepodległości – utrzymywała się przez cały rok 1923 do stycznia 1924 r. W 1918 r. za jednego dolara amerykańskiego trzeba było zapłacić dziewięć marek polskich (MKP).

W czerwcu 1923 r. jeden dolar kosztował 100 tys. MKP. Pod koniec 1923 r. kurs dolara sięgał już zaś 6 375 000 MKP. Gwałtowny wzrost cen wynikał z prób łatania nadmiernego deficytu budżetowego poprzez dodrukowywanie pieniędzy. Banknoty szybko stały się więc mało znaczącymi kawałkami papieru. „Otrzymałem pensję miesięczną i nie wiem, co robić! Posiadam pieniędzy zbyt wiele, ażeby samemu udźwignąć, i zbyt mało, ażeby zapłacić dorożkarzowi za odwiezienie do domu” – mówił robotnik uwieczniony na karykaturze z 1923 r. przed drzwiami fabryki. Na nic zdały się próby zdławienia wzrostu cen poprzez tzw. podatek inflacyjny. Hiperinflację skutecznie zwalczyły dopiero reformy premiera Władysława Grabskiego, który w 1924 r. zastąpił markę polską polskim złotym, a zamiast Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej stworzył Bank Polski, który pełnił funkcję banku emitenta polskiej waluty (obecnie funkcję tę pełni Narodowy Bank Polski).

Drugi raz z hiperinflacją mieliśmy do czynienia na przełomie lat 80. i 90. 14 marca 1990 r. Główny Urząd Statystyczny ogłosił, że inflacja w Polsce osiągnęła re-

kordowy poziom aż 1360 proc. Przyczyną było m.in. załamanie się gospodarki PRL, zupełne niedostosowanie podaży pieniądza do popytu, a także nagłe urealnienie cen towarów, które przez komunistyczny reżim były sztucznie utrzymywane.

SPIRALA INFLACYJNA

Inflacja to jest po prostu wzrost przeciętnego poziomu cen towarów i usług w gospodarce. Jej skutkiem jest spadek siły nabywczej pieniądza.

„Siła nabywcza” określa ilość oraz jakość towarów i usług, które możemy kupić za konkretną kwotę pieniędzy. Kiedy ceny rosną, za taką samą sumę możemy kupić coraz mniej dóbr.

Obserwowanie wskaźników dotyczących inflacji jest więc ważne np. dla inwestorów oraz osób, które trzymają pieniądze na lokatach czy kontach oszczędnościowych. Aby określić, jaki będzie ich rzeczywisty zysk, muszą oni porównać potencjalną stopę zwrotu z poziomem inflacji. W niektórych przypadkach może się bowiem okazać, że pieniądze trzymane na niskoprocentowanej lokacie nie utrzymują wartości pieniądza.

Skąd się bierze hiperinflacja? Jedną z najczęstszych przyczyn jest nadmierne zwiększanie podaży pieniądza poprzez jego emisję przez bank centralny (jest to wówczas tzw. inflacja pieniężna). Gdy rządy dodrukowują „puste pieniądze”, dochodzi do gwałtownego wzrostu cen (tak było niedawno np. w Zimbabwe, ale psucie własnej waluty mieli na sumieniu już starożytni władcy). Szybki wzrost inflacji prowokuje z kolei ludzi do pozbywania się gotówki i kupna towarów. Nagłe zwiększenie konsumpcji doprowadza do jeszcze szybszego wzrostu cen. Rządy zaczynają więc dodrukowywać więcej pieniędzy, a przedsiębiorcy, oczekując wzrostu inflacji, coraz bardziej podnoszą ceny. Ten samonakręcający się mechanizm – tzw. spirala inflacyjna – prowadzi do hiperinflacji, podczas której ceny rosną już nie tylko z miesiąca na miesiąc, lecz także z godziny na godzinę.

Do względnie wysokiej inflacji może też prowadzić nagły i gwałtowny wzrost kosztów produkcyjnych, wywołany np. wzrostem cen paliw na światowych rynkach.

GDY CENY SPADAJĄ...

Przeciwnościem inflacji jest deflacja, czyli spadek przeciętnego poziomu cen, który powoduje wzrost siły nabywczej pieniądza. Innymi słowy,

■ gdy w gospodarce mamy do czynienia z deflacją, to za tyle samo pieniędzy po pewnym czasie można kupić więcej towarów i usług. Realnie rosną również oszczędności i to nawet wtedy, gdy banki oferują oprocentowanie depozytów na poziomie bliskim zeru.

Długotrwała deflacja jest groźna dla gospodarki – sprawia bowiem, że producenci mają kłopot ze sprzedażą dóbr, a rosnące zapasy zmuszają ich do obniżania cen. Taka sytuacja prowadzi do powstania spirali deflacyjnej: konsumenci i przedsiębiorcy odkładają w czasie wydatki i inwestycje, popyt ulega osłabieniu, a w konsekwencji firmy ograniczają produkcję, zmniejszają płace oraz tną zatrudnienie. Skutkiem deflacji może być też fala bankructw. W efekcie rośnie bezrobocie i wzrasta presja na jeszcze większy spadek cen. Na deflacji traci również państwo, ponieważ niższa wartość sprzedaży prowadzi do zmniejszenia wpływów podatkowych. Taka sytuacja przeważnie prowadzi do zwiększenia deficytu i wzrostu długu publicznego. Najlepiej opisanym przypadkiem spirali deflacyjnej jest ten z okresu wielkiego kryzysu z lat 1929–1933.

To, czy deflacja będzie miała negatywne przełożenie na aktywność gospodarczą, zależy od oczekiwań gospodarstw domowych i przedsiębiorstw odnośnie do kształtowania się cen w przyszłości. Jeśli nie wierzą oni, że spadek cen się utrzyma, to wówczas nie odkładają swoich zakupów w czasie.

Deflacja może być efektem niedostatecznej ilości pieniędzy na rynku. Może jednak wynikać również ze spadku cen surowców energetycznych, np. ropy naftowej na rynkach światowych czy spadku cen żywności na skutek jej nadmiernej podaży. Z taką sytuacją mieliśmy do czynienia do niedawna w Polsce – dla gospodarstw domowych i przedsiębiorstw było oczywiste, że wraz ze wzrostem cen surowców inflacja powróci do dodatniego poziomu. W związku z tym nie zaobserwowano objawów spirali deflacyjnej – wręcz przeciwnie, wzrost gospodarczy w Polsce był przyzwoity, zwłaszcza na tle innych krajów europejskich.

CEL: STABILNOŚĆ CEN

Banki centralne na całym świecie, a w Polsce Narodowy Bank Polski, stawiają sobie za cel stabilność cen lub utrzymywanie inflacji na niskim, ale wciąż dodatnim poziomie. Zgodnie

z ustawą o NBP „podstawowym celem działalności Narodowego Banku Polskiego jest utrzymanie stabilnego poziomu cen, przy jednoczesnym wspieraniu polityki gospodarczej Rządu, o ile nie ogranicza to podstawowego celu NBP”. Zgodnie z obowiązującymi założeniami polityki pieniężnej celem NBP jest ustabilizowanie inflacji na poziomie 2,5 proc. z możliwością odchylenia do plus/minus 1 punktu procentowego.

Aby doprowadzić do realizacji celu inflacyjnego, Rada Polityki Pieniężnej określa co miesiąc wysokość stóp pro-

2,5 proc.

**CEL INFLACYJNY WYZNACZONY
PRZEZ RADĘ POLITYKI PIENIĘŻNEJ**

centowych, czyli ustala, po jakiej cenie bank centralny będzie pożyczał pieniądze bankom komercyjnym. I odpowiednio reaguje na zmiany zarówno w krajowej gospodarce, jak i w zewnętrznym otoczeniu makroekonomicznym Polski.

KOSZYK INFLACYJNY

Jak obliczyć inflację, kiedy ceny jednych towarów – np. komputerów czy telewizorów – spadają, a innych – np. żywności – rosną? Najczęściej wykorzystywaną miarą inflacji jest zmiana wskaźnika cen towarów i usług konsumpcyjnych (ang. consumer price index, CPI). Aby policzyć ten wskaźnik w Polsce, co miesiąc pracownicy Głównego Urzędu Statystycznego zbierają informacje o cenach niemal 1,5 tys. towarów i usług, zaspokajających potrzeby przeciętnego Kowalskiego. W skład koszyka inflacyjnego wchodzi m.in.

żywność i napoje, użytkowanie mieszkania i nośniki energii, transport, zdrowie, łączność, odzież i obuwie, restauracje i hotele, wyposażenie mieszkania i prowadzenie gospodarstwa domowego oraz rekreacja i kultura.

Lista towarów jest regularnie weryfikowana raz do roku, aby dobrze odzwierciedlała aktualną strukturę konsumpcji. Aby opracować system wag, wykwalifikowani statystycy analizują budżety gospodarstw domowych, zbierając dane dotyczące przeciętnych wydatków na towary i usługi. Dzięki temu udział wyżej wymienionych kategorii produktów w wydatkach konsumentów jest na bieżąco dostosowywany do aktualnej sytuacji.

Zmiana ceny produktów czy usług w kategorii, która ma znaczny udział w wydatkach (np. żywność i napoje bezalkoholowe), w większym stopniu wpływa więc na zmianę wskaźnika cen niż zmiana ceny produktu z kategorii o niskim udziale w koszyku (np. edukacja). W 2017 r. ceny konsumpcyjne wzrosły o 2 proc. i tym samym po ponad dwóch latach spadku cen związanego z obniżającymi się cenami surowców inflacja znalazła się ponownie blisko celu inflacyjnego. Głównym powodem wzrostu dynamiki cen było zwiększenie się cen surowców energetycznych na rynkach światowych w drugiej połowie ub.r. Ponadto wzrosły ceny żywności, co miało związek z niekorzystnymi warunkami pogodowymi najpierw na południu Europy, a potem w Polsce, a także wyższymi cenami masła na świecie, a pod koniec roku – mniejszą podażą jaj w kraju. Z kolei ta część inflacji, która w relatywnie dużej mierze zależy od popytu w kraju (inflacja bazowa), choć wzrosła w warunkach przyspieszenia wzrostu gospodarczego, to pozostała umiarkowana na tle historycznym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej.

Rodzaje inflacji

Biorąc pod uwagę przyczyny inflacji, możemy wyróżnić jej dwa główne rodzaje:

- popytowa, a więc związana ze wzrostem popytu w gospodarce, którego przyczyną może być ekspansywna polityka budżetowa lub pieniężna (obniżenie stóp procentowych lub zwiększenie ilości pieniądza w obiegu przez bank centralny – w skrajnym przypadku w nadmiernych ilościach, co może prowadzić do hiperinflacji),
- kosztowa, a więc spowodowana przez wzrost kosztów produkcji związany przede wszystkim ze wzrostem cen surowców (np. naftowej, węgla) lub ze wzrostem płac przewyższającym wzrost wydajności pracy, ale również z osłabieniem się kursu walutowego czy podwyższeniem podatków obciążających producentów.

**Wakacje
przez
cały
Marzec
do 20%
taniej**





Z prof. Arturem Mamcarzem, kardiologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Serce trzeba rozpieszczać

KATARZYNA PINKOSZ: Z sercem utożsamiamy wyższe uczucia, np. miłość. Właściwie dlaczego?

PROF. ARTUR MAMCARZ: Może dlatego, że tak bardzo daje się we znaki, gdy pojawiają się emocje: zakochujemy się, odkochujemy, martwimy, stresujemy. To w mózgu wydzielają się określone substancje, które towarzyszą emocjom, jednak nie odbieramy tego, że on pracuje. A serce daje o sobie znać. Poza tym kojarzy nam się z tym, że gdy go zabraknie, to człowiek nie ma. Musi więc być sprawne.

Udaje się panu namówić studentów, których pan uczy, do zdrowego stylu życia?

Myślę, że w tym zakresie jest poprawa. Gdy zaczynałem studiować, ok. 60 proc. studentów medycyny paliło papierosy, teraz to wyjątki. Wśród lekarzy też jest mniej palących. Ja też kiedyś paliłem, ale od wielu lat już tego nie robię. Widzę też, że studenci są szczupli, część z nich jest aktywna fizycznie. Żeby być skutecznym w namawianiu do zdrowego stylu życia, trzeba dawać dobry wzór. Codziennie jeżdżę na rowerze, staram się wybierać zdrowe jedzenie.

Które z zaleceń dotyczących zdrowego stylu życia są najważniejsze dla serca?

Niepalenie, aktywność fizyczna, właściwy sposób żywienia.

Proste, jednak trudne w realizacji...

Przy wypalaniu nawet jednego papierosa czy dwóch dziennie dwukrotnie rośnie ryzyko zawału serca, udaru mózgu. Warto mówić, że po zaprzestaniu palenia w ciągu pierwszych pięciu lat ryzyko maleje o 20 proc. dla osób, które wypalały 10 papierosów dziennie, i o 60 proc. dla wypalających codziennie dwie paczki papierosów.

Zawsze łatwiej stwierdzić, że po zjedzeniu kawałka czekolady czy bezy pocujemy się szczęśliwi. Żeby osiągnąć ten sam efekt dzięki aktywności fizycznej, trzeba tydzień ćwiczyć – dopiero wtedy pojawia się pierwszy wyrzut endorfin, czyli zadowolenie i oczekiwanie na kolejny trening. Jednak efekty dalekosiężne są diametralnie różne. Jest małe prawdopodobieństwo, że ktoś, kto odżywia się zdrowo, nie pali, rusza się, będzie miał blaszkę miażdżycową, która pęknie, i pojawi się zawał. Taka osoba ma też mniejsze ryzyko nadciśnienia, cukrzycy, hipercholesterolemii. Kiedy jednak te choroby już się pojawiają, konieczne jest leczenie: bezterminowe, do końca życia. Przy nadciśnieniu (a ma je 10 mln Polaków) rośnie ryzyko miażdżycy, zawału i udaru. Podobnie przy wysokim poziomie cholesterolu (ma go 16 mln Polaków) i cukrzycy. Gdy ktoś ma blaszkę miażdżycową, musi brać kwas acetylosalicylowy, statyny, a jeśli jest po zawale, to dodatkowo przez rok drugi lek przeciwplatek, a często także inne leki.

Jak jednak przekonać osobę, która nie wyobraża sobie życia bez szynki, do zamiany jej na warzywa, fasolę i kasze?

Przyjaciel, który miał nadciśnienie, zadzwonił do mnie, mówiąc, że nie będzie brał leków obniżających ciśnienie. Powiedziałem: „Super! Po co ci leki? Przecież to sama chemia. Nie bierz! Jedź do banku,



załóż żonie konto udarowe. Bo jak będziesz miał udar, to może będzie miała szczęście i umrzesz. Wtedy będzie miała za co cię pochować i za co żyć. A jak nie umrzesz, to będzie potrzebowała pieniędzy na pampersy dla ciebie, bo możesz mieć porażenie czterokończynowe, a także na materac antyodleżynowy czy długotrwałą, nie zawsze w pełni skuteczną rehabilitację”.

Przekonał go pan? Bierze leki?

Bierze. A wracając do diety, to jeśli ktoś jest niereformowalny i uwielbia niezdrowe jedzenie, to dobrze by było je zbilansować aktywnością fizyczną. Słodycze, tłuszcze – OK, tylko trzeba to potem spalić, ruszając się. Gorzej, gdy ktoś chce jeść tylko to, co lubi, nie chce się ruszać i jeszcze lubi sobie zapalić. Ludzie sami odpowiadają za siebie. Każdego trzeba traktować podmiotowo, podkreślać, że jest za siebie odpowiedzialny. Jestem lekarzem, cieszę się, gdy udaje mi się uratować pacjenta. Jednak jego zdrowie jest w jego rękach. To jego zdrowie, nie moje.

Pojawił się pomysł, żeby osoby, które prowadzą niezdrowy styl życia, płaciły wyższą składkę zdrowotną. Jest pan za tym?

Tak. Najpierw jednak musi być edukacja. On musi wiedzieć, że więcej płaci, bo nie chce nic zrobić dla siebie. Jeśli nie robi nic dla siebie, to dlaczego mamy mieć regulacje, które to usprawiedliwiają? Chory ma POChP (przewlekłą obturacyjną

ną chorobę płuc), ale pali 40 papierosów dziennie. Nowoczesne leki zmniejszające ryzyko postępu POChP, wygodne w stosowaniu, kosztują pełnopłatnie 300–400 zł. On jednak dostaje je za darmo. Ja tego nie rozumiem. Nie stać go na pełnopłatne leki, ale na papierosy go stać? Uważam, że lepiej te pieniądze przeznaczyć na leki dla dzieci z chorobami rzadkimi, które w żaden sposób nie zawiły swojej choroby.

Są nowe leki przeciwcukrzycowe, które nie tylko kontrolują poziom cukru, lecz także powodują, że pacjent chudnie. W Danii takie leki są refundowane przez rok. Jeśli jednak po roku przychodzi pacjent i waży o 5 kg więcej, to usłyszy od lekarza, że w badaniach klinicznych lek, który dostawał za darmo, powodował schudnięcie o 8 kg. Może więc ten lek dalej brać, ale zapłaci za niego 100 proc. System ochrony zdrowia już mu go nie zrefunduje.

Schudnięcie nie jest jednak takie proste. A pan mówi, że łatwiej schudnąć w miesiąc 10 kg niż 10 kg w ciągu roku...

Tak, łatwiej odchudzić o 10 kg w miesiąc, niż schudnąć 10 kg w ciągu roku. Jeśli ktoś chce schudnąć w miesiąc, to po prostu nic nie będzie jadł. Po roku waży jednak tyle samo, ile przedtem! Dużo trudniej chudnąć każdego miesiąca o kilogram, bo trzeba zmienić styl życia. Jeść codziennie o 200 kcal mniej. To pół ciastka z kremem.

Je pan czasem ciastko z kremem?

Oczywiście, uwielbiam jedzenie! Piję też czasem wino, bardzo dobrze podwyższa poziom dobrego cholesterolu, który chroni przed chorobami serca. Oczywiście trzeba je pić z umiarem.

Jeśli lekarz zabroni pacjentowi wszystkiego, to pacjent zmieni... lekarza, a nie styl życia. Rozmawiam czasem z rozsądnymi dietetykami. Oni nie zabraniają niczego. Ludzie mówią potem: „Byłem u dietetyka, on mi tak fajnie ułożył dietę, że mogę wszystko jeść: szarlotkę, śledzie w śmietanie, tataro, kotlety mielone. Wszystko, co lubię”. Można wszystko, byle z umiarem. Mądrzy dietetycy nie mówią, czego nie jeść, tylko co jeść. Potrzebna jest jednak wiedza. Ludzie uważają, że wędzony łosoś jest zdrowy, a tymczasem nawet w jego małej ilości jest więcej soli niż dopuszczalna dzienna norma. Lepiej kupić surowego łososa, będzie taniej i zdrowiej. Można

go uwędzić, upiec, usmażyć, zamarynować, skropić cytryną, dołożyć zioła, koper. Pyszny! Jednak idzie się na łatwiznę. A wystarczy wyobrazić sobie, ile chlorku sodu trzeba dodać, żeby wędzony łosoś niemal bezterminowo leżał w ladzie chłodniczej.

Nie wszystkim udaje się tak zmienić styl życia, by zapobiec chorobom serca. W Polsce co roku ponad 100 tys. osób ma zawał. To prawda, że objawy zawału są inne u kobiety, inne u mężczyzny?

To mit. W ogromnej większości przypadków zawał u kobiet i mężczyzn wygląda tak samo. Kobiety chorują na serce 10 lat później niż mężczyźni, ale wcale nie rzadziej. Zdarza się, że u kobiet zawał ma mniej typowe objawy, ponieważ kobiety mają trochę mniejsze serce, trochę węższe naczynia krwionośne, układ hormonalny nieco bardziej skomplikowany i w ogóle są bardziej emocjonalnie labilne. Jednak u większości osób zawał ma klasyczne objawy.

Czyli?

Ból umiejscowiony za mostkiem, określany zwykle jako gniecenie, dławienie, pieczenie, ucisk, rozpieranie, rozrywanie. Można go przykryć dłonią. Promieniuje do żuchwy, barków, pleców. Pojawia się strach: „Boli mnie tak, że chyba umrę”. Czasem chory ma objawy vegetatywne: ból brzucha, wymioty, mdłości. Serce gorzej pracuje, więc ciśnienie spada, może dojść do omdlenia. Pojawia się szybkie bicie serca, arytmia, uczucie kołatania serca. Czasem nie ma w ogóle uczucia rozpierania, a tylko lęk, poty, duszność – to mniej typowy przebieg zawału.

Wiele osób próbuje zawał przeczekać: może samo przejdzie...

Niektórzy mówią: „Otworzę okno. Odpocznę”. Albo inaczej: „Co, ja nie wytrzymam takiego bólu?”. Niedawno kolega, kardiolog interwencyjny, opowiadał, jak żona przywiozła męża do szpitala po dobie trwania takiego bólu. Bolało go klasycznie, typowo zawałowo. Kolega pytał go potem, dlaczego tak długo zwlekali. Pacjent powiedział, że żona mu mówiła: „Masz swoje lata, przyjedź pogotowie. A wiadomo, co ci podadzą? Przeczekaj, połóż się, odpocznij, coś dobrego ci ugotuję”. Jednak otworzenie okna nie pomogło, szarlotka też, więc w końcu żona przywiozła go do szpitala. Miał szczęście, bo mógł znaleźć się w grupie 20 proc. osób, które umierają z powodu zawału, zanim dojadą do szpitala.

Od razu trzeba wezwać pogotowie?

Jak najszybciej, a czekając na przyjazd karetki, ułożyć chorego wygodnie, rozluźnić mu ubranie, żeby go nie uciskało. Jeśli jest rozpoznane zawał, to można podać jak najszybciej 300 mg kwasu acetylosalicylowego.

Nie zaszkodzi?

Korzyści przewyższają potencjalne ryzyko. Owszem, gdy ktoś ma krwotoczne zapalenie błony śluzowej, to krwawienie może się zaostrzyć, podobnie jak choroba wrzodowa, refluks. Jednak po jednej tabletki raczej nic złego się nie wydarzy. Zawał powstaje wtedy, gdy pęka blaszka miażdżycowa. Organizm traktuje to jako ranę, podobnie jak skaleczenie na dłoni. Płytki krwi zaczynają „zabliźniać” ranę, ale przy okazji zaczopowują naczynie krwionośne. Tak powstaje zawał. Ten proces trzeba zahamować lub odwrócić. Kwas acetylosalicylowy (aspiryna) działa przeciw-płytkowo – płytki krwi mniej chętnie się zlepiają. To jedna z najskuteczniejszych interwencji w zawałach.

Im szybciej chory znajdzie się w szpitalu, tym lepiej. Nowoczesne leczenie to założenie stentu i udrożnienie naczynia krwionośnego. Jeśli zawał nie jest leczony, to pojawia się martwica i niewydolność serca: kawałek mięśnia przestaje się kurczyć, zmniejsza się objętość krwi, która wydostaje się z serca za każdym skurczem. Im więcej serca ubędzie, tym prawdopodobieństwo, że pojawią się objawy niewydolności serca: duszność, postępujące niedotlenienie wszystkich narządów.

Lepiej temu zapobiec...

Zdecydowanie. Trzeba się badać (cholesterol, ciśnienie), jeść mniej, zwłaszcza cukru, za to więcej warzyw i owoców. Wybierać sport, który się lubi, obniżyć masę ciała. Kapryśne serce ma spore wymagania i nie da się oszukiwać. A jeśli ma nam odpłacać tym, co najlepsze, to trzeba je rozpieszczać. Jak w życiu: jeśli chcemy czegoś dobrego, to musimy coś dobrego dawać innym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Artur Mamcarz

– kardiolog, kieruje III Kliniką Chorób Wewnętrznych i Kardiologii II Wydziału Lekarskiego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Adam bez nazwiska

Kiedy przyglądam się totalnej opozycji, która chce ściągnąć na Polskę sankcje UE, staję mi przed oczyma postacie zdrajców i kary, które spadły na nich za czasów ostatniego sejmku I Rzeczypospolitej.

Jedną z nich było odebranie, oprócz godności, też i... nazwiska, które spotkało jednego z największych sprzedawczyków: Adama Ponińskiego. Nie tylko pozbawiono go zaszczytów, lecz także... zakazano w ogóle podpisywania się jako Poniński. Od tej pory wolno mu było używać tylko imienia – Adam, do którego dodawał przekornie przydatek: „bywszy Poniński”.



FOT. WIKIPEDIA

Był to człowiek kompletnie zaprzędany zaborcom, łapówkarz, aferzysta i szelma, a cynizm polityczny czynił z niego XVIII-wieczną wersję Jerzego Urbana. Nie tylko nie gniewał się za nazwanie go zdrajcą, lecz także przy każdej okazji przyznawał... w sumie uczciwie, że za złoto i ordery sprzeda honor, wiarę, sławę i ojczyznę.

Sumienia jako takiego w ogóle nie posiadał. Już w czasie konfederacji radomskiej w 1768 r. występował w roli lobbysty łapówkowego – doradzał rosyjskiemu posłowi Mikołajowi Repninowi, kogo i za ile przekupić, aby najkorzystniej zrealizować interesy carycy Katarzyny. Później mianowano go marszał-

kiem sejmku rozbiorowego w 1773 r. i właśnie on doprowadził do złamania opozycji Tadeusza Reytana. Na obrazie Jana Matejki ukazany jest jako jeden z głównych wrogów – opasłobrzuchy pludrak w czerwieni, pokazujący wymownym gestem moskiewskich żołnierzy blokującemu drzwi Reytanowi lub też nakazujący usunięcie go z sali.

Z sejmowej sali Poniński wyszedł jako magnat. Otrzymał godność podskarbiego, obłowił się na kasacie zakonu jezuitów, dodatkowo został przeorem Zakonu Maltańskiego z pensją 42 tys. zł rocznie i szefem regimentu pieszego ordynacji Ostrogskich. Przyznano mu tytuł książy i pensję 100 tys. zł rocznie, starostwa: babimojskie i międzyrzeckie. Ogółem z kasy zaborców otrzymał ok. 800 tys. zł, 300 tys. zł ze skarbu Rzeczypospolitej, nie licząc ogromnych łapówek za załatwianie różnych spraw szlachcie. Dostał też zgodę na zbudowanie w Warszawie stałego mostu i prawo pobierania myta przez 10 lat. Dodatkowo był jeszcze stałym jurgielnikiem rosyjskiego ambasadora – od 1775 r. co roku otrzymywał 2400 dukatów.

O ile pod względem cynizmu politycznego Poniński przypominał Urbana, o tyle sposób prowadzenia interesów upodabniał go do niedawnych biznesowych orłów, którym wszystko, co rozpoczynali, kończyło się kraciem, plajtą i aferą gospodarczą. Adam grywał w karty, uwielbiał teatr, co wiązało się z wydatkami na liczne aktorki utrzymanki, organizował bankiety i hulanki. Już w rok po sejmie był w poważnych tarapatkach. W 1781 r. chciał sprzedać urząd podskarbiego; był też dłużnikiem tak wielu banków i magnatów, że jego niewypłacalność spowodowała kryzys finansowy Rzeczypospolitej! Poniński wyprzedawał się jak na licytacji. Sprzedał godność przeora,

w końcu zarekwirowano mu wypłatę ministerialną, a w 1785 r. po ogłoszeniu bankructwa – wierzyciele zajęli nawet pensję sprzedawczyka z ambasady rosyjskiej!

W 1789 r., kiedy Rzeczpospolita zaczęła zdrowieć, Adam, jeszcze wówczas Poniński, został aresztowany przez sąd sejmowy, oskarżony o przekupstwo i samowolne ogłoszenie się marszałkiem sejmku rozbiorowego, do tego dorzucono kilka pomniejszych zarzutów – takich jak bezprawne usunięcie z sejmku Reytana. Poniński natychmiast zapowiedział wydanie współników, co wywołało panikę króla i jego doradców. Prawdopodobnie to właśnie Stanisław Poniatowski pomógł mu uciec z Warszawy do Prus. Uciekiniera zgubiło jednak pijaństwo – uciekając łodzią, wysłał sługę do Torunia po gorzałkę i pierniki. W tym czasie dopadła go pogoń i sprowadziła do Warszawy.

Na Sejmie Wielkim Poniński utracił godności, ordery, urzędy, nazwisko, skazano go też na banicję. Wyjechawszy z Warszawy w mundurze oficera carskiego, ale już tylko jako Adam, powrócił w 1792 r., ubiegając się o łaskę targowiczian, ale był zbyt skompromitowany, aby odzyskać dostojęstwa. Na otarcie łez oddano mu ordery i przyznano 16 tys. dukatów odszkodowania.

Podczas powstania kościuszkowskiego znów uciekł, unikając szubienicy. Wrócił po ostatnim rozbiore i skończył jako żebrak. Zmarł w 1798 r. w rynsztoku i jak przystało na prawdziwego sprzedawczyka, odmówił przyjęcia sakramentów. Ja zaś zawsze, gdy wspominam jego postać, zastanawiam się, jak zabawnie wyglądaliby dzisiejsi europosłowie opozycji, gdyby wzorem Sejmu Wielkiego pozbawiono ich nazwisk. Jak śmiesznie prezentowałiby się wówczas Michał bywszy Boni, Janusz ongiś Lewandowski czy Róża niedysiejsza Thun. ©©

BEATA TYSZKIEWICZ I JEJ MIŁOŚĆ DO... ZIEMNIAKÓW

Uwielbiam ziemniaki pod każdą postacią. Jestem zakochana w ich smaku od dziecka. W naszych polskich kartoflach, nie cypryjskich czy francuskich. Kiedyś jadłam tylko ziemniaki alma, ale zostały zastąpione jakąś inną odmianą i zniknęły zupełnie.

Nie ma już takich kartofli, jakie pamiętam z dzieciństwa na wsi. Jako dziewczynka chodziłam do sąsiadów, którzy w takiej dużej beczce gotowali na parze kartofle dla świń. Pamiętam, jak pięknie „prychały”, a gdy po bardzo długim gotowaniu pękały skórki, to błyszczały jak gwiazdy. Proszę mi wierzyć, że nie sposób się było oprzeć, żeby ich nie jeść. A kartofle z popielnika czy ogniska – no, przecież są przepyszne! Jadło się je razem z sadzą, która chrupała w zębach, człowiek był cały umorusany, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Doszło do tego, że jako dziewczynka z miłości do kartofli potrafiłam fantazjować. Kiedy dzwonił w domu telefon, a rezolutną czterolatkę zawsze rozmowy telefoniczne intrygowały, pierwsza podnosiłam słuchawkę, i ktoś prowadzący z małym dzieckiem rozmowę, zapytał: „A czy ty, dziecko, już

jadłaś obiadek?”, odpowiadałam: „Tak, była zupa kartoflana, na drugie jedliśmy kartofle, a i na deser u nas się je kartofle”. Później ci ludzie, gdy widzieli się z moją mamą, to pytali, co ona temu dziecku na obiad podaje, a ona musiała tłumaczyć, że to tylko fantazje małej dziewczynki uwielbiającej kartofle.

Sami państwo rozumieją, że nie mogę podać innego przepisu niż właśnie na kartofle. Jest to bardzo praktyczna porada i proszę mi wierzyć, że tak przyrządzone pieczone ziemniaki będą wyjątkowo pyszne.

Pieczone ziemniaki w białku

Ziemniaki obieramy, dokładnie myjemy i suszymy. Wytuszenie ich jest ważne, bo wtedy przyjmują powłokę z białka. Każdy ziemniak (ja robię je w całości, przekrawam tylko te największe) przeciągamy rozartym w rękę

białkiem z kurzego jaja. Układamy je w brytfannie wyłożonej papierem do pieczenia, solimy i przyprawiamy ulubionymi przyprawami. Ja obsypuję je kminem. Pieczemy ok. 45 min w temperaturze ok. 180 st. C. Tak przyrządzone kartofle można podawać do wszystkiego – mięs, sosów itp. Jeśli ktoś lubi, to można po wyjęciu z piekarnika okraszyć je lekko masłem. ©©

oprac. raw

Beata Tyszkiewicz jest aktorką filmową i telewizyjną.

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/FORUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Akademia sprzątania

Wydawało mi się, że na temat sprzątania wiem już wszystko. Że mogę się habilitować z odkurzania, układania, zamiatania, wycierania. Jak się okazuje – nie. Ta dyscyplina wciąż się rozwija i wiedzę trzeba aktualizować: pojawiają się nowe technologie, nowe odkrycia.

Chodzi jednak o coś więcej niż hardware – samojezdny odkurzacz i najnowszy model gąbki marki Vileda. Liczy się przede wszystkim fachowa literatura. „Jak ogarnąć dom i nie oszaleć” jest kolejną pozycją na naszym rynku, która przygotowuje do stawienia czoła porządkom domowym. Teoretycznie.

Autorka – Dana K. White – jest Amerykanką. Tylko Amerykanie umieją odważnie i bez kompleksów złapać za ścierkę, a potem o tym napisać traktat. Niestety, skutkuje to 250 stronami głędzenia, mnożenia niekończących się i nieistotnych anegdot z życia. Chyba nawet w maglu opowiadało się ciekawsze historie.

Na przykład problem kupowania regałów na wyprzedażach domowych z pewnością spędza sen z powiek tysiącom polskich kobiet dzielących podobne doświadczenia. „Kiedyś miałam kota na punkcie regałów. Mnóstwo razy znajdowałam na wyprzedażach ten idealny. [...] Kupowałam ten regał, a zaraz potem okazywało się, że nie wchodzi do mojego minivana”.

Albo szekspirowski dramat związany z wyrzucaniem starych papierów: „Kiedy byłam



DANA K. WHITE

„JAK OGARNĄĆ DOM I NIE OSZALEĆ.

SKUTECZNA

I SPRAWDZONA

STRATEGIA WALKI Z BAŁAGANEM”

ESPE 2017

po trzydziestce, natknęłam się na pudło z papierami i książkami z okresu nauki w college'u. Zakładałam, że będzie pełne wspomnień. [...] Po przejrzeniu pudła pozbycie się ponad połowy jego zawartości nie sprawiło mi najmniejszych trudności”. Itp., itd.

Książka jest pretekstem do zasypania czytelnika setkami nikomu niepotrzebnych rad. „Nie przejmujcie się praniem, które będzie za tydzień. Wasmym jedynym smartwieniem jest pranie z tego tygodnia, które czeka w stertach, aż trafi do pralki i suszarki”. „Odkryjcie swój próg zagrzenia”.

Wydawca zapewnia: „Książka naprawdę pomogła tysiącom kobiet na całym świecie”. „Pozwoli zamienić odświętny projekt »sprzątanie« na codzienną aktywność, w 28 dni wyrobić w sobie przydatne nawyki, które mogą zmienić dom, zapanować nad garderobą dzięki Dniowi Prania”.

Dla kogo to wszystko? Nie wiem. Myślę, że pani White powinna wrócić do zawodu instruktora teatralnego, cokolwiek to oznacza, wszak – jak podaje stopka – poza byciem gospodynią domową i matką trojga dzieci – jest to jej drugi zawód. Byłoby to z korzyścią dla wszystkich. ©©

NASZ TEST: BMW M550i

Osiem cylindrów, 4,4 l pojemności i aż 462 KM drzemiących pod maską eleganckiego, niemal pięciometrowego sedana. „Drzemiących” to jednak złe słowo – bestia daje tyle frajdy z jazdy, że przed zakupem warto się upewnić, iż mamy bardzo blisko do autostrady lub sportowego toru. Pokusa przyciśnięcia pedału gazu jest tu bowiem ogromna.

W KABINIE

Dzięki niemal 2 m szerokości we wnętrzu jest bardzo dużo miejsca. Masywne fotele – z opcją podgrzewania, wentylowania i masażu – są bardzo wygodne i dobrze podtrzymują ciało na zakrętach. Niezłe wrażenie robi również gruba, mięsista kierownica. Jakość wykonania jest bez zarzutu.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6)

Zaskakująco duży bagażnik ma 530 l pojemności.

Minusów w tej wersji trzeba szukać nieco na siłę. Przyczepić się można np. do komentarzy głosowych świetnej skądinąd nawigacji – płacąc pół miliona za auto, można oczekiwać lepiej dopracowanego tłumaczenia niż „teraz skręć w lewo”.

JAZDA

Jeśli na światłach na pasie obok stoi BMW z plakietką M550i, to nie prowokujcie bestii. Rzadko który samochód ma bowiem w tej rywalizacji jakiegokolwiek szanse. Auto od zera

do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 4 s (niczym sportowy Aston Martin DB11). Maksymalną prędkość ograniczono elektronicznie do 250 km/godz.

Dzięki maksymalnemu momentowi obrotowemu wynoszącemu aż 650 Nm, który jest dostępny już od 1800 obrotów na minutę, wystarczy musnąć pedał gazu, aby auto błyskawicznie wystrzeliło do przodu. Napęd na cztery koła sprawia z kolei, że samochód nawet na zaśnieżonych drogach trzyma się asfaltu niczym przyklejony. Układ kierowniczy jest niezwykle precyzyjny, a auto wiernie wykonuje wszystkie polecenia swego pana (lub pani).

W najszybszej dostępnej „piątce” świetnie sprawdza się również sportowa, ośmiostopniowa skrzynia biegów. Aby wywołać uśmiech na twarzy miłośnika motoryzacji, nie trzeba jednak nawet ruszać – wystarczy nacisnąć przycisk START i chwilę posłuchać, jak pięknie mruczy osiem cylindrów.

Auto jest świetnie wyciszone, dlatego pędząc autostradą, warto czasem spojrzeć na licznik i sprawdzić, czy w lusterku wstecznym nie widać przypadkiem jakiś niebieskich światełek – nowe policyjne „ścigacze” mają pod maską niemal dwa razy mniej koni, więc sympatyczne chłopaki z drogówki mogą nie zrozumieć, że gdy silnik mruczy tak pięknie, to łatwo zapomnieć, iż limit na autostradzie w Polsce wynosi zaledwie 140, a nie 240 km/godz.

Ten model BMW dobrze sprawdzi się też jako auto dla prezesa – w trybie komfortowym samochód zmienia się w limuzynę, która lekko płynie po drodze, bez trudu niwelując nierówności drogi niczym auto serii 7.

BMW M550i nie jest autem dla sknerusów chcących jak najwięcej wycisnąć z każdego litra

paliwa. Podczas testu samochodów w cyklu mieszanym spalał średnio 13,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP BMW serii 5 zdobyło komplet pięciu gwiazdek. Za dopłatą auto może być również wyposażone w wielu elektronicznych asystentów, którzy ostrzegą przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, zaalarmują, gdy w martwym punkcie lusterek znajduje się inny samochód. Wykorzystujący



kamerę na podczerwień system Night Vision znacząco zmniejsza zaś ryzyko wypadku podczas podróży po zmroku, ostrzegając przed znajdującymi się przed maską pieszymi, rowerzystami czy dzikimi zwierzętami.

CENA

Za świetnie dopracowaną luksusową zabawkę trzeba trochę zapłacić. Cena modelu podstawowego wynosi 422,9 tys. zł. Po dodaniu kilku przydatnych opcji ostateczna kwota na fakturze łatwo może się zbliżyć do poziomu 500 tys. zł.

KONKURENCI

Audi S6, Jaguar F-Type SVR, Lexus GS F, Mercedes E43 AMG © ©

Jacek Przybylski

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**WYWIAD
Z WETERANEM
SPOD
MONTE CASSINO!**

Piotr Zychowicz – Jak Churchill wykiwał Polskę
Douglas Smith – Mroczne tajemnice Rasputina
Marcin Bartnicki – Jak polski konsul ratował Żydów
Sławomir Cenckiewicz – Marzec '68 i Jaruzelski
Grzegorz Wołk – Polski kamrat Che Guevary
Barbara Hulanicki – Komuniści zgładzili mojego ojca
Arkadiusz Karbowski – NSZ kontra AL pod Rzębce
Sławomir Koper – Romanse Bolesława Leśmiana

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Bezlitosna Realpolitik

MARCIN MAKOWSKI: Twoje marudzenie na Rexa Tillersona słyszę prawie od roku, ale pod koniec stycznia powiedziałeś na łamach naszej kolumny, że jego odejście to kwestia miesięcy, a zostanie zastąpiony najprawdopodobniej przez szefa CIA Mike'a Pompeo. No i stało się. Jak odbierasz ruch Trumpa, który zwolnił szefa Departamentu Stanu przez Twittera?

MATTHEW TYRMAND: Zwolnienie w jego stylu, ale sama decyzja mnie nie dziwi. Spora część elektoratu prezydenta nieufnie podchodziła do Tillersona, który nie potrafił zrobić porządku kadrowego w swoim resorcie, skolonizowanym przez ludzi poprzedniej administracji. Dobrze to było widać na przykładzie Polski oraz niemiłosiernego zwlekania z decyzją w sprawie ambasadora Paula Jonesa, który powinien być zastąpiony przez człowieka bliższego Donaldowi Trumpowi. W tym przypadku wybór padł na bizneswoman z Florydy, Georgette Mosbacher. Jeśli chodzi o samego Pompeo, to twardy zawodnik, choć osobiście bardziej kibicowałem Nikki Haley. Mike Pompeo jest interwencjonistą, który powinien kontynuować dotychczasową linię sojuszu militarnego z Polską

w ramach NATO, ale na pewno nie będzie ślepy na reperkusje dyplomatyczne związane z ustawą o IPN. Ten reset kadrowy w departamencie nie przełoży się na reset relacji z Warszawą dopóty, dopóki treść dokumentu nie doczeka się istotnych poprawek. Nie zmieni się też sytuacja „miękkich sankcji”, czyli unikanie spotkań na najwyższym szczeblu do czasu wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Pod tym względem niezależnie, kto by był sekretarzem stanu, wyciek dyskusji, która miała pozostać poufna, znacznie obniża zaufanie do polskiego MSZ. A za nim do polskiego rządu.

Czy twoim zdaniem, patrząc z szerszej perspektywy, zmieni się styl uprawiania polityki zagranicznej USA?

Na pewno Pompeo zamiast Tillersona będzie odczuwalną zmianą z perspektywy polityki wewnętrznej oraz relacji z największymi geopolitycznymi graczami, tj. Rosją i Chinami. Tillerson był stosunkowo miękki, jeśli chodzi o Putina, z którym wiązały go relacje biznesowe jeszcze z czasów szefowania ExxonMobil. Były dyrektor CIA jest znacznie większym realistą

odnośnie do Rosji, co mnie cieszy, szczególnie po zamachu z użyciem broni chemicznej w Londynie, którego tropy prowadzą wprost na Kreml. Idealną sytuacją byłoby wzmocnienie relacji z Polską, która stanowi zaporę dla ekspansji rosyjskiej strefy wpływów, ale obawiam się, że gdy przyjdzie do działań, Pompeo może się okazać pragmatykiem. Polska musi sobie uświadomić, że podobny cel Amerykanie mogą osiągnąć, inwestując militarnie w Rumunię oraz w państwach bałtyckich. Czy mi się to podoba czy nie – tak wygląda obecny stan Realpolitik.

Czy rząd dostrzega powagę sytuacji? Na razie jeden kryzys wydaje się gonić następny, a pomysłem Mateusza Morawieckiego na ucieczkę z defensywy okazała się zapowiedź cięć w kadrze wiceministerialnej oraz... zatrudnienie starych-nowych „speców” od komunikacji.

Myślę, że dostrzega, ale robi za mało i za późno. Ostatnia seria wpadek, przyznawania nagród i odklejenia się od części elektoratu, zaczyna być niepokojąca i przypomina żerowanie na pieniądzech podatnika z czasów Platformy. Dobrze, że Mateusz Morawiecki stara się przynajmniej jakoś kontratakować, zwalniając 20 proc. wiceministrów. Sądę jednak, że to nadal za mało. Miałem okazję rozmawiać do tej pory z wieloma z nich i uważam, że przynajmniej połowa jest całkowicie bezużyteczna na swoich stanowiskach. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego idąc generalnie w dobrym kierunku, premier równocześnie przyjmuje do KPRM kompromitowanych za czasu premierostwa Beaty Szydło oraz odpowiedzialnych za „afery billboardową”. To demoralizujące. Jeśli już raz popsuli krajowy PR, to jakim cudem udźwigną obecne międzynarodowe napięcie? ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Środa 20:30

Gry tajnych służb

NIEZNANE ARCHIWA,
TAJNE DOKUMENTY,
NIEWYJAŚNIONE ZBRODNIE



Zapraszam!
Dorota Kania



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Za życiem

Bartek Królik, muzyk, który rok temu pochwalił się internautom córeczką chorą na zespół Downa, przyznał niedawno, że po prostu nie udało mu się skłonić żony do aborcji, mówił też, że lekarze nawet nie próbowali mu pokazać opcji innej niż aborcja. Na szczęście – dzisiaj już to rozumie – żona była odporna za ich dwoje. Życzę im tyle wspólnego szczęścia, ile znajduję na zdjęciach rodziny Patryka Jakiego, który wykorzystuje każdą okazję, żeby się pochwalić światu cudownym synkiem

Życie dzieci niepełnosprawnych można uratować w ramach obecnego kompromisu aborcyjnego

Radkiem, również chorym na trisomie.

Myślę, że to właśnie Patryk Jaki robi dla dzieci z zespołem Downa więcej, pokazując, ile szczęścia mogą dać swoim rodzicom, niż Kaja Godek, rozpętując na nowo wojnę o aborcję, w której pod szlachetnym pretekstem ochrony życia dzieci z zespołem Downa, chce ustawą zmusić do urodzenia dziecka także kobiety,

które i tak nie mają szans na macierzyństwo, bo po miesiącach niewyobrażalnego cierpienia zakończy się ono porodem i śmiercią dziecka. Niekoniecznie w tej kolejności.

Trudno mi sobie nawet wyobrazić cierpienie matki, która przez całą ciążę wie, że jedyne matczyne szczęście, na jakie może liczyć, to to, że dziecko zdąży się urodzić, zanim umrze i będzie miała te kilka chwil na pożegnanie się z nim. Mam ogromny szacunek dla kobiet, które mają siłę przez to przejść, ale to jeden z tych nielicznych przypadków, w których jako przeciwniczka aborcji nie ośmieliłabym się wtrącić w ich wybór. Tak jak nie ośmieliłabym się oceniać kogoś, kto z miłości zabił swojego śmiertelnie chorego ojca, nie mogąc znieść jego cierpienia. To też przecież zabijanie, ale z rodzaju tych, do których nie mam śmiałości przykładać czarno-białych norm, na jakie może sobie pozwolić człowiek wolny od takich dylematów.

Żeby zabezpieczyć życie dzieci z zespołem Downa, wystarczyłoby wprowadzić zapis, że ani ta choroba, ani żadna inna, która pozwala dziecku żyć, nie może być przesłanką do legalnej aborcji. Życie dzieci niepełnosprawnych można uratować w ramach

obecnego kompromisu aborcyjnego, po prostu go doprecyzowując, nie ma powodu, aby przy okazji ratowania dzieci, które mają szansę na szczęśliwe życie i mogą być wielkim szczęściem dla swoich rodziców, skazywać rodziny dzieci, które takich szans po prostu nie mają, na cierpienie, które sami uznają za ponad ich siły.

Warszawskie hospicjum perinatalne chwali się, że w ciągu siedmiu lat z 593 konsultacji dla matek, u których istniały przesłanki do legalnej aborcji, aż 393 zdecydowało się urodzić dziecko. Ktoś im tam pomógł zobaczyć, że mają wybór i nie będą w nim same. Wspaniały wynik. Jednak większość rodziców dzieci od poczęcia nieuleczalnie chorych nie ma żadnych szans na trafienie do takiego hospicjum, bo jest ich w całej Polsce tylko 14. A przecież jeśli ktoś realnie walczy z aborcją, to właśnie personel tych kilkunastu prowadzonych przez organizacje pozarządowe hospicjów, w których nikt nie próbuje rodzicom narzucać decyzji, a jedynie pomaga dostrzec, że wcale nie musi być tak oczywista, jak zdają się uważać czarnomarszynie. ©©

PODSŁUCHANE

Za ciężką pracę

No, ale, Beata, dlaczego podważasz moją decyzję?

Jaką, Mateusz? Nie przypominam sobie, żebym ci coś podważała.

W Sejmie mówiłaś, że nagrody się ministrom należały. A ja je przecież właśnie zlikwidowałem!

Twoja sprawa. Chciałeś, to zlikwidowałeś. Teraz ty rządź. Nie wiem, o co ci chodzi.

Skup się. Skoro za twoich czasów się należały, a za moich są likwidowane, to jak to twoim zdaniem będzie rozumiane?

Że się przestraszyłeś, co napisze „Wyborcza”? Że miękki jesteś?

Nie! Że za twoich czasów ciężko pracowali, a za moich nie pracowali

ciężko, więc się nie należy! Taki przekaz poszedł!

Jesteś moim szefem, więc lojalnie nie będę się sprzeczała.

Tak? A powiedz mi, moja droga, jakie ty masz dokonania jako wicepremier, co? Ile ty godzin realnie przepracowałaś w ciągu tych stu dni?

Przecież wyraźnie powiedziałam: nie będę się spierać, że za twoich czasów ministrowie nie pracowali ciężko. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Kościół zabija i gwałci”.

ELIZA MICHALIK, publicystka, w Onet Raport

fot. Jerzy Gumowski



Jajeczko Wielkanocne



Jajka były czczone i kultowo dekorowane od prastarych czasów. Liczne cywilizacje pielegnowały wiarę, iż świat powstał z jaja; rozmaite mitologie deifikowały jajo bez umiaru. Przykładowo: mitologia starogrecka opiewała jajo Ledy zapłodnione przez Zeusa udającego łabędzia (z tego jaja miała się wykluć miss Troi, Helena bogdanka Parysa). Starożytni Rzymianie również uważali jajko za symbol powstawania życia, i za najdoskonalszą formę stworzoną przez przyrodę. Mitologia Celtów sławiła druidyjskie jajo wszechmocy (strzegło tego jaja dużo wściekłych węzów, a jego zdobywca miał posiadać wszelakie bogactwa świata). Według mitologii starogreckiej — z jaj wyłęgły się koboldy, czyli dobrotliwe monstra przybierające postać skrzatów, często pełniące rolę opiekuńczych duszków domowych. Itd., itp. Mitologie nowożytne też eksploatowały jajko na rozliczne sposoby („filozoficzne jajo” alchemików, „lecznicze jajo” ludowych uzdrowicieli, znachorów i szamanów, „jajko Kolumba” stawiane pionowo, „jajko Einsteina”, który przez roztargnienie włożył do wrzasku zegarek, a czas gotowania odmierzał trzymając jajko, etc., etc.). Mitologii gastronomicznych także nie brakowało, bo w końcu i żółtka, i białka dostarczają (oprócz kalorii) spore dawki żelaza, wapnia, fosforu, magnezu, manganu, potasu, sodu, cynku, jodu, fluorku, chloru, siarki, witamin i aminokwasów.

Spojrzenia na jajo mają zwykle charakter branżowy. Dla inżyniera jest ono formą bezbłędnie aerodynamiczną. Dla piekarza surowcem o fundamentalnym znaczeniu. Dla architekta skorupa jaja to model konstrukcji posiadającej fenomenalną wytrzymałość. Dla etnografa jajo jest symbolem płodności i urodzaju, czyli życia regularnie się odradzającego. Dla biologa stanowi ono genetyczną pałeczkę sztafety między pokoleniami minionymi a przyszłymi. Dla jubilera to kształt legendarnych brylantów królewskich (Orloff, Dresden, Cullinan) plus arcykosztowne, produkowane chętnie carom przez P. C. Fabergé’a jajka ze szlachetnych metali i kamieni. A dla innych twórców? W literaturze wielkiego formatu znajdujemy wojnę pomiędzy dwoma narodami o to, z którego końca trzeba rozbijać jajko (ten filozoficzny problem miał rozwiązać Guliwer, bohater powieści Swifta), jak też znoszącą złote jaja kurę bazarza La Fontaine’a. W rzeźbie rumuński abstrakcjonista Brâncuși uczy-

nił z jaja („*formy perfekcyjnej i symbolu życia*”) swą dożywotnią „*idée fixe*”, zaś legion sławnych malarzy (od Bruegla i Bosccha, do Dalego i Magritte’a) hagiografował jajo treścią swoich dzieł. Kiedy natomiast zaczęto zamalowywać nie tylko deski i płótna obrazów, lecz same skorupki jaj?

Już starożytni Persowie obdarowywali się wiosną barwionymi czerwono jajami, a zwyczaj ten został przejęty u antycznych Greków i Rzymian (wzmianki na ten temat dają pisma Owidiusza, Pliniusza i Juwenala). Chrześcijanie równie chętnie to zaadaptowali. Grecki rękopis z X wieku notuje klechdę, że zwyczaj wielkanocnego malowania jaj wprowadziła św. Maria Magdalena. Ukazał się jej bowiem przy pustym grobie Chrystusa anioł, mówiąc: „— *Nie płacz, Chrystus zmartwychwstał!*”, pobięła tedy radośnie do domu i zobaczyła, że wszystkie jajka wewnątrz spiżarni zabarwiły się na czerwono. Rozdała te jajka apostołom, a wówczas one przemieniły się w ptaki, co znaczyło, że i ludziom pisany jest wieczny żywot. Inne podanie mówi, że Matka Boska, za radą sąsiadek, wręczyła Piłatowi kopę przesłicznie zdobionych jaj, chcąc tą łapówką



Zygmunt Gloger: „*Zwyczaj malowania jaj wielkanocnych jest powszechny w narodzie*” (1903)



wykupić swego uwięzionego Syna. Jeszcze inne — że ubogi chłop niósł na targ koszyk jaj, a widząc Chrystusa prowadzonego ku Golgocie, postawił kosz i pomógł Zbawicielowi nieść krzyż, gdy zaś wrócił do koszyka, ujrzał, że wszystkie jajka stały się pięknymi „malowanekami”.

Przez następne stulecia przybierało bajek o zdobionych jajkach. Jedno z nich sławi popularna w drugiej połowie XIX wieku powiastka dla młodzieży „**Jajko Wielkanocne**”, pióra niemieckiego kanonika Schmida. To dramat rycerski, a kluczową rolę gra tam pewna „*pisanka*”, dzięki której waleczny mąż wracający z krucjaty przeciw poganom, hrabia Arno von Lindenburg, mógł odnaleźć swą małżonkę Rozalindę, wypędzoną z rodzinnych pieszcząt przez ich zacieklego wroga, hrabiego Hanno von Schrofnecka. Podczas „*happy endu*” hrabia Arno nagradza zbawczą „*pisankę*”: „— *Każę to jajko w złoto i perły oprawić, a dla wiecznej pamięci każę je umieścić nad ołtarzem zamkowej kaplicy!*”. Za Średniowiecza często wieszano jajka wewnątrz kaplic, co Piero della Francesca pięknie zobrazował malowidłem „**Ołtarz Montefeltrow**” (1474). Nie brakowało i polskich podań o „*pisankach*”, jak to z Siedleckiego, gdzie przez wieki utrzymywano, że kamienie, którymi został zatłuczony św. Szczepan, stały się mocą cudu „*jajkami wielkanocnymi*”.

Zwyczaj zdobienia świątecznych jaj przyszedł się w Polsce tuż po wprowadzeniu chrześcijaństwa. Kronikarz Kadłubek pisze (przed 1223) o malowanych jajkach („*pictis ovis*”) przy okazji piętnowania zawistnictwa: „*Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swymi jak z malowanymi jajkami*”. Pił tu Mistrz Wincenty prawdopodobnie do zwyczaju zwanego „*w bitki*” lub „*na wybitki*”, czyli do pisankowych pojedynków: dwaj przeciwnicy stukali się pisankami, i czyje jajko pierwsze pękło, ten przegrywał. Innym zwyczajem było turlanie pisanek na grobach dla uhonorowania zmarłych i zapewnienia im życia wiecznego, jako bowiem już w prehistorii stanowiło symbol odradzania się życia, zmartwychwstania. Opuszczając cmentarz rozdawano pisanki „*dziadom*” (żebakom).

Zważywszy estetykę plastyczną i technikę wykonawczą można dzielić tradycyjne „*jajka wielkanocne*” na trzy rodzaje. Pierwszym („*mazajki*”) było pokrywanie skorupki różnobarwnymi deseniami metodą „*baticową*”, to jest stosowaną przy barwieniu tkanin. Woskiem (rozpuszczonym i zmieszonym z klejem pszczoelim, który zeszkrobano z wnętrza uli) pokryć trzeba było te części skorupki, do jakich nie miała trafić pierwsza farba. Zdejmowanie kolejnych pasm wosku odsłaniało kolejne strefy barwienia skorupki. Co czyniono albo pędzelkami rozprowadzającymi farbę, albo gotowaniem w wywarach. To ostatnie zwłaszcza przy drugim rodzaju „*jaj wielkanocnych*” („*kraszanki*” vel „*byczki*”, czyli jajka farbowane jednobarwnie, „*na gładko*”) i przy trzecim („*rysowanki*” vel „*skrobanki*” vel „*pisanki*”, bo na kolorowej „*polewie*” skorupki rysowano wzory kozikiem, szpilką, odłamkiem szkła, a zwano to „*pisaniem*”, z czego się wzięła dzisiejsza ogólna nazwa „*jaj wielkanocnych*”). Parały się tym głównie niewiasty. Mistrzynie tworzyły istne cuda do koszyczka ze „*święconką*”.

O malowaniu jaj na Wielkanoc pisywano dawniej całe traktaty scjentyczne (Heidelberga 1682, Frankfurt 1705), zaś swoista wiedza chemiczna, czy może raczej zielarska, konieczna była dla dobierania barwników. Wywary farbujące produkowano z roślin. Żeby zyskać żółtą brano szafran lub gotowano łupiny cebulowe, korę dzikiej jabłoni bądź pączki kwiatu knieci błotnej; kolor brunatny zyskiwano z brezylu lub z kory dębu; fioletowy — z kwiatu ciemnej malwy; zielony — z kotków osiki, z liści jemioli lub z młodego żyta; pomarańczowy — z krokusów; czarny — z kory olchowej lub z młodych liści klonu czarnego; czerwony — z robaczek mienionych „*czerwcem*”; wiśniowy — z gotowania kory wiśniowej.

Życzę radosnego „*pisania*” na skorupkach i dzielenia się wnętrzem „*pisanek*” niby opłatkiem. Alleluja! ☺

Waldemar Łysiak



ALIOR
BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER

Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce.**



paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płać za prowadzenie rachunku wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych (także prowadzonych w innych bankach oraz z powiązanego rachunku indywidualnego) LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców” objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl